



Stefan Chwin

Pułapka
reparacji

JESTEŚ PATRIOTĄ ALBO ZDRAJCĄ

XXX TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM ARKADY KUBICKIEGO

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania Niepodległości



1918 • 2018

TARGI KSIĄŻKI
HISTORYCZNEJ



www.historiaikultura.pl

WSTĘP WOLNY

Wystawcy z całej Polski • Największa oferta książek historycznych
Konferencje i spotkania z autorami • Salon Książki Muzealnej

24-27 listopada 2022 r.

ORGANIZATORZY TARGÓW



NARODOWY
INSTYTUT MUZEALNICTWA
I SZTUKI



PATRONI HONOROWI



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



PAN
POLSKA
ACADEMIA
NAPISÓW



PARTNERZY



Warszawski
Transport
Publiczny



Rynek Książki



PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl 87dbc341e7



Chcesz pokoju, nie szykuj się do wojny

Jeśli w życiu publicznym coś mnie jeszcze dziwi, to tylko to, że gdy myślę: oto sięgnęliśmy dna, słyszę pukanie od dołu. Po Polsce ciągle jeździ ważny polityk i opowiada o młodych Polkach, że dają w szyję. Ma duży zestaw podobnych mądrości. Wypisz wymaluj teksty z biesiad, weseł i spędów towarzyskich. Jeśli jest jakaś różnica między nimi a spotkaniami prezesa, to taka, że po weselach ludzie trzeźwieją. A występy prezesa Kaczyńskiego są bezalkoholowe. Wstyd więc dla uczestników większy. Choć nie o wstyd tu chodzi. Bo chórek polityków, którzy odpowiadają na te bzdety, też do sensownych nie należy.

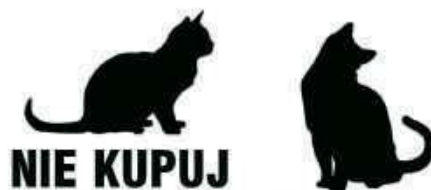
Marnujemy czas. Co gorsza, Polacy tracą z pola widzenia sprawę dla naszej przyszłości najważniejszą. Mamy wojnę na wschodzie, która, raz rozpoczęta, z dużym prawdopodobieństwem może jeszcze się rozszerzać. Z konsekwencjami, których już doświadczamy. Inflacja i drożyzna w kraju frontowym mają naturalne podłoże do dalszego rozwoju. W Polsce debata na temat Ukrainy została praktycznie zamrożona na poziomie, który dyktuje propaganda rządowa. Każda próba racjonalizowania, a nawet tylko przytaczania ocen innych od obowiązujących, kończy się epitetami i zaliczaniem do ruskich onuc. Nie dziwcie się, że w tej sytuacji wymiana poglądów opuściła media i toczy się poza nimi. Mamy nowy drugi obiegi.

Nie ma uczciwej debaty, która pomogłaby ludziom zrozumieć ten coraz bardziej skomplikowany świat. By sprostać takim oczekiwaniom, trzeba liderów z cechami, których od przywódców wymaga prof. Grzegorz W. Kołodko. Pryncypialnością, uczciwością i mądrością. W Polsce mamy wszystko na opak. Tkwimy więc w dziadostwie.

Wspominam o prof. Kołodce, bo jest jednym z niewielu uczonych, ale też praktyków z sukcesami, w czasie gdy był wicepremierem, którzy chcą i potrafią opisywać świat. Ten tu i teraz. Prof. Kołodko patrzy na problemy w skali globalnej. Widzi świat z drugą zimną wojną. I dwoma potężnymi, równoległymi kryzysami neoliberalnego kapitalizmu i liberalnej demokracji.

W książce „Wojna i pokój” z odwagą człowieka świadomego globalnych zagrożeń pisze o konsekwencjach tej wojny dla gospodarki światowej. I oczywiście dla Polski. W odróżnieniu od wielu wcześniejszych erudycyjnych rozpraw ekonomicznych profesora tę książkę może przeczytać ze zrozumieniem każdy. Już na początku prof. Kołodko zderza się z tym, co przy każdej okazji klepią politycy: „Chcesz pokoju, szykuj się do wojny”. Prof. Kołodko swoją przewrotnie zatytułowaną książkę „Wojna i pokój” zaczął od dedykacji: „Tym, którzy walczą o pokój, nie szykując się do wojny”. A dalej jest jeszcze ciekawiej.

BAKOWSKI



**NIE KUPUJ
KOTA W WORKU**

Wypróbuj E-PRZEGLĄD

Sprawdź, jak wygląda
elektroniczne wydanie

Kliknij baner na



tygodnikprzeglad.pl

I zobacz pierwsze strony tygodnika

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Budowa elektrowni jądrowej to nie żart**
O czym nie mówią media i politycy
- 12 Pułapka reparacji**
– rozmowa z prof. Stefanem Chwinem
- 17 Klaps ze skutkiem śmiertelnym**
Reaguj na przemoc
- 20 8 miliardów Ziemian**
– rozmowa z dr hab. Agnieszką Fihel
- 30 Bracia Kowalczykowie ciągle górą**
Odmiany opolskiego patriotyzmu

ZAGRANICA

- 24 A mury rosną, rosną, rosną...**
Świat ogrodzony
- 27 Ameryka podzielona jak nigdy wcześniej**
Wnioski z wyborów połówkowych
- 50 Nina, „Marilyn” i Kira**
Amazonki Mosadu

HISTORIA

- 34 Piewcy niepodległości**
Marginalizowana rola socjalistów

KULTURA

- 38 Poezja po niej zostanie**
Nina Andrycz uzależniona od teatru
- 41 Culturalia**
- 66 Bruno Schulz: Sex-Fiction**

ZDROWIE

- 42 Nie jesteśmy bogami**
– rozmowa z dr. Marcinem Czyżem

OBSERWACJE

- 46 Dziękuję za ślepotę**
Choć stracił wzrok, nie poddał się

PSYCHOLOGIA

- 54 Mordercze fantazje**
Skąd się biorą?

ZWIERZĘTA

- 58 W puszczy nic nie jest oczywiste**
Jarząbek i sówka

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Chcesz pokoju, nie szykuj się do wojny
- 11 Jan Widacki**
Z Kaczyńskim po kraju...
- 19 Andrzej Szahaj**
Moja piątka
- 23 Roman Kurkiewicz**
Niepodległość nic nieznacząca
- 49 Tomasz Jastrun**
Zepsuty cud
- 57 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Zbrodnia i kara



17

KRAJ

KLAPS ZE SKUTKIEM ŚMIERTELNYM

Reaguj na przemoc

27

ZAGRANICA



AMERYKA PODZIELONA JAK NIGDY WCZEŚNIEJ

Wnioski z wyborów połówkowych



58

ZWIERZĘTA

W PUSZCZY NIC NIE JEST OCZYWISTE

Jarząbek i sówka

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. RENATA DĄBROWSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL



f Profesor na cmentarzu (z którego jeszcze wrócił)

Prof. Jan Widacki pisze, że pomnik ułanów poległych w czasie tłumienia rozruchów robotniczych w listopadzie 1923 r. co roku tonie w blasku niezliczonych zniczy i w kwiatach.



Najmieszniejsze jest to, że kwiaty na pomniku ułanów walczących w imię interesów klasy posiadającej składają dzisiejsi przedstawiciele klasy pracującej, nadal czerpiącej z tego, co tamci

robotnicy wywalczyli. To tak, jakby Afroamerykanie z Południa Stanów Zjednoczonych składali wieńce na grobach posiadaczy pól bawełny i ich siepaczy. I jeszcze ich wychwalali pod niebiosa za budowanie kapitalizmu i przedsiębiorczości.

Michał Czarnowski

Ignorancja, ignorancja i jeszcze raz ignorancja! Dziś wiedza ogranicza się do zapamiętywania nagłówków portali internetowych i przekazu dnia sączonego przez main-, a raczej drainstream. Brak krytycznego myślenia opartego na wiedzy. Płycizna intelektualna. Ale to wszystko jest w zgodzie z krzywą Gaussa. Elity intelektualne to tylko maleńki odsetek. W odróżnieniu od PO i tzw. lewicy Kaczyński odrobił tę lekcję.

Marek Głowinkowski

✉ Dlaczego Polacy tak anemicznie reagują na afery wywołane przez PiS?

Bo większości Polaków brakuje aspiracji do życia w lepszym państwie i społeczeństwie. Brakuje przekonania, że może być inaczej. Była pełna miska i ciepło w domu.

Michał Siemiński

Polaków i polskie firmy dobija inflacja. Ochrona zdrowia leży, oświata jest w głębokim kryzysie, brakuje ważnych leków, do tego wojna na Ukrainie. To wszystko sprawia, że racjonalnie myślący ludzie chcą zwyczajnie przecześć do wyborów parlamentarnych. Oczekują też na porozumienie się opozycji w kluczowych sprawach.

Damian Paweł Strączyk

Bo to ich nie dotyczy. 30 lat „demokracji” nauczyło ludzi, że nie mają żadnej sprawczości, a rząd zajęty swoimi sprawami prowadzi wielką politykę. 20-procentowe bezrobocie nie było problemem dla rządu, a ci, którzy do niego doprowadzili, są dziś przedstawiani jako mężowie stanu i nadzieja na normalność. Ludzie naprawdę mają swoje problemy. *Zdzisław Nowak*



Prawdopodobnie dlatego, że przyzwyczaili się do niskich standardów, obowiązujących już od wielu lat. Poza tym dotarła do nich ponura prawda, że jedyną realną alternatywą dla obecnych aferzystów są... również aferzyści, tyle że z innej opcji politycznej.

Katarzyna Kulesza

Składa się na to kilka przyczyn. Po pierwsze, PiS znakomicie radzi sobie z propagandą, która do wielu trafia. Po drugie, ludzie pamiętają nierozliczone afery z przeszłości. I wychodzą z założenia, że „ci też kradną, ale przynajmniej coś dali”. Po trzecie wreszcie, przeciętny człowiek wie, że zdecydowana większość afer pozostaje bezkarne. Uznaje więc, że tak być musi.

Łukasz Marcin Jastrzębski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Płot za milion

Na zorganizowanie wystawy zdjęć na ogrodzeniu terenu budowy spółka Pałac Saski wydała 1 mln zł. Kto bogatemu zabroni?



W połowie listopada **liczba mieszkańców Ziemi przekroczy 8 mld.** Najwięcej mieszkańców mają Chiny (1,426 mld) i Indie (1,412 mld). W 41 państwach liczba ludności maleje. Także w Polsce.

Józef Hen, wybitny pisarz, popularyzator historii, autor biografii m.in. Boja Żeleńskiego i króla Poniatowskiego, **obchodzi 99. urodziny.** Ad multos annos!

W ciągu roku samobójstwa w Polsce popełnia ponad 5 tys. osób. Aż 1,5 tys. dzieci i nastolatków podjęło w 2021 r. próby samobójcze. Przez całą dobę działa Telefon Zaufania dla Dzieci i Młodzieży – 116 111.

Wolontariusze z Grupy Granica podają, że od lipca na granicy z Białorusią zginęły 22 osoby, o pomoc zwróciły się 1642 osoby, w tym 68 dzieci. Odnotowano 254 wywózki uchodźców. Od początku kryzysu na granicy potwierdzono zgon 27 ofiar.

90-letni Andrzej Pilecki, syn rtm. Witolda Pileckiego, który został rozstrzelany w 1948 r., domaga się od państwa **ponad 26 mln zł zadośćuczynienia** i odszkodowania. Pierwsza rozprawa odbędzie się przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Dzieci i żona Pileckiego dostali już odszkodowanie w 1990 r. Otrzymali wówczas 500 mln ówczesnych złotych.

Ukraińska poetka Marianna Kijanowska dostała **Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Zbigniewa Herberta**. Tom poezji poświęcił ludobójstwu w Babim Jarze, gdzie w latach 1941-1943 Niemcy zamordowali ok. 150 tys. Żydów, Polaków, Ukraińców i Romów.

Od lat 70. XX w. w amerykańskich szkołach odnotowano

ponad 2 tys. incydentów z użyciem broni palnej.

Już 30,5 tys. uczniów korzysta z edukacji domowej. W ciągu pięciu lat ich liczba wzrosła z poziomu 7 tys.

Szalejący w wojsku za czasów, gdy ministrem obrony był **Antoni Macierewicz**, a wcześniej pracownik apteki, **Bartłomiej Misiewicz**, zajął się czymś mu bliższym. Nielegalną sprzedażą alkoholu i jego promocją z wykorzystaniem swojego nazwiska. Skończyło się prawomocnym wyrokiem sądu i grzywną 20 tys. zł.

W parze z sukcesami sportowymi **Igi Świątek**, najlepszej tenisistki w rankingu WTA, idą zarobki. W tym roku zarobiła na korcie 9,4 mln dol.

12 osób zginęło w październiku w Tatrach. Nigdy wcześniej nie zginęło tam aż tyle osób w ciągu tylko jednego miesiąca.

W Warszawie testowany jest skonstruowany przez polskich inżynierów autobus napędzany wodorem. Nie emituje żadnych spalin, a produktem ubocznym jest woda destylowana.

Do 20% miejscowości w Polsce nie dociera żaden transport publiczny.

Ponad 77 tys. zapór, tam i służ postawiono na 150 tys. km polskich rzek.

Co trzecia wyeksportowana na świecie pieczarka pochodzi z Polski. W 2021 r. polscy producenci wystali głównie do Wielkiej Brytanii, Niemiec i Francji ponad 232 tys. ton pieczarek o wartości 400 mln euro.

1,2 tys. firm w Polsce zajmuje się produkcją wyrobów kosmetycznych i toaletowych. Wartość rynku kosmetyków sięga 4 mld euro.

PRZEBŁYSKI

Bezwstyd (bez granic)

Wiadomo, że po Instytucie Pamięci Narodowej trudno się spodziewać czegoś sensownego. Usługowa instytucja zmontowana pod potrzeby prawicy, obecnie dojdnej zmiany, za prezesury Nawrockiego, zatrudniającego 2,5 tys. pracowników, mnoży zezowatą wersję historii.

Nie za darmo. Za wierną służbę pracownicy chcą większej kasy. Związkowcy z Solidarności uważają, że średnie wynagrodzenie 6430 zł brutto plus dodatki i nagrody to zbyt mało. Nawet gdy 98% pracowników dodatki już otrzymało w tym roku – w kwietniu 1500 zł, w lipcu – 2300 zł i 700 zł w listopadzie. Bo jak wycenić wstyd?

A jak ocenić słowa związkowców, którzy chcą, „by w IPN relacje opierały się na wartościach etycznych, godności drugiego człowieka i wzajemnym szacunku”? Kpią, bo sami robią na opak.

Hussarya Morawieckiego

To był numer na wydrę. Czyli, jak to mówią, oszustwo szczególnie beczelne. Przypomniane przez „Nie”. W listopadzie 2016 r. po ośmiu latach zapowiedzi i wyciągania kasy spółka Veno Automotive (później Arrinera)



otrąbiła sukces. Polski supersamochód sportowy Arrinera Hussarya z prędkością ponad 300 km/godz. był gotów do pokazu. Skusił się Mateusz Morawiecki, minister rozwoju.

Zasiadł za kierownicą i ogłosił, że to cudo „może konkurować z najbardziej znanymi markami, jest wyjątkową wizytówką polskiej technologii i polskiego eksportu”. Do pieca dosypała jego zastępczyni Jadwiga Emilewicz: „Wszystko, co najlepsze mamy w Polsce, zostało zamknięte w arrinerze hussaryi”. Pic i fotomontaż. W realu deska rozdzielcza była z opla corsy, a zegary, wskaźniki i silniki z audi. W 2019 r. superautko, którego nigdy nie było, trafiło do śmieci. A kasa do cwanych picerów. A Morawiecki? Awansował. I odstawia jeszcze większe numery.

Przejdźcie na dietę (bankową)

Czekamy i jakoś nie możemy się doczekać. W sierpniu Bartosz Urbaniak, szef bankowości agro BNP Paribas, na łamach „Rzeczpospolitej” radził Polakom, by przeszli na dietę roślinną. I przestęgał, że jesienią będziemy mieli spore problemy z wazrywami, bo będzie mało towaru. Tak to się sprawdziło jak reklama „BNP Paribas – bank zmieniającego się świata”. Na kampanię poszły miliony. Nie musimy chyba, choć chętnie to zrobimy, pisać, kto zapłacił za te telewizyjne filmiki, plakaty i bzdety. Zapłacili wkurzeni rolnicy. Także ci, którym francuski bank wyrzucił życie szalejącymi prowizjami i opłatami. I wizytami windykatorów. Może zamiast nich zająłby do nich Bartosz Urbaniak.



Solidarność w IPN *apeluje*

„Zmierzając do Instytutu Pamięci Narodowej, Solidarność w IPN apeluje o to, by kierownik Instytutu, pochylił się nad problemami pracowników IPN, w tym: niskim płacami, brakiem dodatków, za niskie wynagrodzenie w IPN w wyniku ewaluacji, a nie jego dodatków i nagród. Wygłosz na to, w Solidarności, i skierowując IPN-u będą miały w najbliższym czasie o czym rozmawiać.”



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego Jarosław Kaczyński tak często mówi o LGBT+?

DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ,

Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW

Odwotywanie się do homofobii jest obecnie typowe dla propagandy populistycznej na całym świecie i nie wyróżnia prezesa PiS spośród liderów formacji o takim charakterze. Jego celem jest odwołanie się do niskich emocji większości społeczeństwa, gdyż – jak pokazują badania – potencjał mobilizujący takiej narracji jest spory. Jarosław Kaczyński takimi wypowiedziami próbuje ponadto kolejny raz ustawić się w roli reprezentanta ludu wobec wielkomiejskich elit. Jest w tym logika, gdyż akceptacja dla osób nieheteronormatywnych jest znacznie większa w dużych ośrodkach i wśród młodych. Wygląda na to, że Kaczyński odpuścił sobie ten elektorat, dla którego nie ma żadnej oferty, i zabiega o ten starszy, biedniejszy, z prowincji, m.in. poniżając ludzi, którzy i tak na niego nie zagłosują.

NINA DURYS,

aktywistka LGBT+, Fabryka Równości

Dlatego, że cała strategia jego partii opiera się na głębokim sprzeciwie społeczeństwa wobec rządów PO i liberalnej wizji gospodarki. W związku z tym Kaczyński robi, co może, aby podkreślić różnice nie tyle między PiS a PO, dla jego wyborców oczywiste, ile między PiS a lewicą, która potencjalnie mogłaby przyciągnąć część cierpiących

z powodu skutków neoliberalizmu. Prawdopodobnie stąd bierze się ciągłe podkreślanie odmiennego nastawienia do religii, aborcji, praw kobiet czy tradycyjnych hierarchii społecznych, jak również uderzanie w osoby LGBT+. Chodzi o budowanie poczucia, że „oni” stanowią zagrożenie, by w ten sposób stabilizować posiadane poparcie.

ANNA JUREK,

edukatorka seksualna, filozofka

Mogę tylko domniemywać. Może prezes chce zbić kapitał polityczny na opowiadaniu nieprawdy na ten temat? Może, jak większość z nas, czasem czuje, że nie ma wiedzy na jakiś temat, a jednak chętnie się wypowie? Może temat go interesuje? Jeśli chce zbić kapitał, to zagranie jest poniżej pasa, bo uderza w grupę, która i tak ma w Polsce ciężko, a on te trudności potęguje. Jeśli nie ma wiedzy, może ją łatwo zdobyć. Są organizacje, które dostarczają rzetelnych informacji, prowadzą szkolenia i warsztaty, także online. Można podejrzewać podłoże lękowe, ponieważ boimy się tego, czego nie znamy – i w związku z tym zachowujemy wrogo. Warto wtedy: zdobyć wiedzę; porozmawiać z kimś życzliwym i zaufanym o naszych przekonaniach i emocjach; przypomnieć sobie, że słowa mogą budować i niszczyć, i zapytać, którą z tych opcji chcemy wprowadzać w życie.

Not. Michał Sobczyk

Marek Czarkowski

To nie firma Westinghouse Electric Company, której TECHNOLOGIE reaktorów (a nie wykonawstwo!) wybrał polski rząd, będzie budowała u nas pierwszą elektrownię jądrową. Jeśli w 2023 r. zostanie podpisana wiążąca umowa, budowę zajmie się amerykański koncern Bechtel.

Sercem elektrowni mają być ciśnieniowe reaktory wodne AP1000 należące do generacji III+. Westinghouse zaprojektował je na początku XXI w. W grudniu 2005 r. amerykańska Komisja Nadzoru Jądrowego (Nuclear Regulatory Commission – NRC) zatwierdziła projekt, a trzy lata później w Chinach rozpoczęto budowę pierwszych czterech jednostek według nowej technologii. Dziś pracują one w dwóch chińskich elektrowniach: Sanmen znajdującej się w prowincji Zhejiang oraz Haiyang w prowincji Shandong. I są to jedyne na świecie takie reaktory, z którymi Amerykanie wiązali wielkie



Budowa elektrowni jądrowej to nie żart

O czym nie mówią nam media ani politycy

nadzieje. W 2021 r. Chińczycy rozpoczęli przygotowania do budowy kolejnych ośmiu jednostek AP1000 dla elektrowni Lufeng, Xudabao, Sanmen oraz Haiyang. Na początku 2022 r. realizacja tego projektu została jednak znacznie spowolniona, a być może wstrzymana.

Może to się wiązać z faktem, że Chińczycy chcą budować własne reaktory. W latach 2008-2009 Westinghouse zawarł z Chińską Państwową Korporacją Technologii Energii Jądrowej (SNPTC) oraz innymi placówkami badawczymi umowy, których celem było opracowanie projektów większych reaktorów – o mocy 1,4 tys. MWe i 1,7 tys. MWe. Co istotne, właścicielami praw

patentowych na te projekty mieli być Chińczycy. W lutym 2019 r. Shanghai Nuclear Engineering Research & Design Institute ogłosił, że rozpoczął prace projektowe nad reaktorem o mocy 1,7 tys. MWe. Rok później Chińczycy rozpoczęli wstępne prace budowlane przy reaktorze o mocy 1,4 tys. MWe.

Amerykanie liczyli też, że podpiszą umowę na budowę elektrowni Igneada w Turcji. W 2016 r., podczas międzynarodowej konferencji poświęconej energetyce jądrowej w Stambule, Westinghouse ogłosił publicznie, że Toshiba, Westinghouse oraz State Power Investment Corporation (SPIC) przy wsparciu finansowym Chin gotowe są podjąć

się tego wyzwania. Za 17 mld dol. miały powstać cztery reaktory. Negocjacje z tureckim rządem zakończyły się, gdy w marcu 2017 r. Westinghouse zmuszony był w Stanach Zjednoczonych złożyć w sądzie wnioski o ochronę przed upadłością. Powodem były problemy z budową dwóch nowych elektrowni jądrowych w Karolinie Południowej i Georgii. Wydarzenia te przeszły do historii jako *Nukegate scandal*.

Oto w roku 2008 Westinghouse, należący wówczas do japońskiego koncernu Toshiba, podpisał umowę na budowę dwóch nowych siłowni. Prasa amerykańska pisała z entuzjazmem o „narodowym renesansie nuklearnym”. Bo w USA nowych



Budowa 7. bloku elektrowni jądrowej Tianwan w mieście Lianyungang we wschodnich Chinach.

reputacji, ale też zmianą właściciela. Toshiba sprzedała firmę kanadyjskiej spółce Brookfield Business Partners z siedzibą na Bermudach, a w październiku br. odkupiło ją konsorcjum kanadyjskich firm Cameco oraz Brookfield Renewable.

I taka firma ma uczestniczyć w budowie pierwszej polskiej elektrowni jądrowej?

Ile kosztuje elektrownia?

Jeśli ktoś sądzi, że tylko Westinghouse miał problemy z budową elektrowni jądrowych, jest w błędzie. W styczniu br. francuski państwowy koncern Électricité de France (EDF), który także zabiegał o zlecenie na budowę u nas siłowni jądrowej, ogłosił, że budowany przez nich reaktor Flamanville 3 będzie kosztował 300 mln euro więcej, niż prognozowano. A załadowanie do niego paliwa zostało przesunięte o sześć miesięcy. W efekcie opóźnienie uruchomienia tej elektrowni wyniosło... ponad 10 lat! Całkowity koszt projektu, szacowany obecnie na 12,7 mld euro, jest czterokrotnie wyższy, niż zakładano w roku 2004.

Francuzi mają też problemy z budową elektrowni Hinkley Point C w Wielkiej Brytanii. Na razie opóźnienie wynosi dwa lata. Elektrownia ma zostać oddana do użytku w roku 2027. Koszt jej budowy wzrósł z 16 mld do 22,5 mld funtów.

W marcu 2017 r. firma Westinghouse zmuszona była w USA złożyć w sądzie wniosek o ochronę przed upadłością. Powodem były problemy z budową elektrowni w Karolinie Południowej i Georgii.

Zachodni eksperci wskazują, że pierwotne koszty budowy elektrowni jądrowych mogą w trakcie realizacji wzrosnąć nawet trzykrotnie. Co oznacza, że w przyszłości rachunki za produkowany przez nie prąd będą wyższe. A im więcej takich elektrowni, tym gorzej. Nikt o tym w Polsce nie mówi. Panuje wynikający z niewiedzy entuzjazm.

Skąd wziąć fachowców

W czasach PRL istniały przedsiębiorstwa wyspecjalizowane w budowie elektrowni. Elektrownię Kozienice zaprojektowało Biuro Studiów i Projektów Energetycznych Energo-projekt z siedzibą w Warszawie na przełomie lat 60. i 70 XX w. Generalnym wykonawcą zostało Warszawskie Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni i Przemysłu BETON-STAL kierowane przez legendarnego inż. Józefa Zielińskiego. Montażem urządzeń energetycznych, armatury i urządzeń pomiarowych zajmowały się przedsiębiorstwa Energopomiar i Elbud. Były również inne firmy – Instal Lublin czy Energomontaż Północ. Turbiny dla rodzimej energetyki produkował elbląski Zachem. Elektrownię Kozienice budowano w latach 1971-1979. I służy nam ona do dziś.

Obecnie w Polsce nie ma przedsiębiorstw mogących zaprojektować elektrownię atomową. Ani tym bardziej mogących ją zbudować. Nie ma też inżynierów, którzy sprostiliby takiemu wyzwaniu.

Westinghouse, budując elektrownie w Karolinie Południowej i w Georgii, potknął się na pracach ziemnych. Okazały się trudniejsze, niż sądzono, i kosztowały więcej, niż zakładano. Tu nie może być fuszerki, takiej jaką oglądaliśmy przy budowie stadionów na Euro 2012 czy przy budowie autostrad, które niemal natychmiast po oddaniu nadawały się do remontu. A pieniądze, które na to poszły? Stadion Naro-

elektrowni atomowych nie budowano od lat. Prace rozpoczęto kilka lat później i szybko się okazało, że błędy wykonawcze oraz zwykła niekompetencja doprowadziły do wzrostu kosztów z 9,8 mld do 25 mld dol. W efekcie firma Westinghouse Electric Company została objęta sądową ochroną przed upadłością.

Zgodnie z obowiązującym w Karolinie Południowej i Georgii prawem firmy energetyczne podniosły konsumentom stawki za prąd, wliczając w nie koszt budowy owych elektrowni. Jak łatwo się domyślić, wywołało to polityczną burzę, a w konsekwencji postępowanie prokuratorskie. W czerwcu 2021 r. Carl Churchman, były wiceprezes Westinghouse, przyznał się do okłamywania śledczych federalnych, za co grozi mu kara do pięciu lat więzienia. Innemu byłemu dyrektorowi, Jeffreyowi A. Benjaminsowi, prokuratorzy postawili zarzuty oszustwa i spiskowania. Procesy zapewne będą trwały latami.

Nukegate scandal skończył się dla Westinghouse nie tylko utratą

dowy w Warszawie miał kosztować 650 mln zł, a kosztował ok. 2 mld zł. Stadion miejski we Wrocławiu pierwotnie miał kosztować 730 mln zł, a kosztował ok. 947 mln zł. PGE Arena w Gdańsku miała kosztować ok. 428 mln zł – kosztowała 863 mln zł. Koszt modernizacji stadionu miejskiego w Poznaniu wzrósł z 436 mln zł do ok. 750 mln zł. ►

► Z elektrownią jądrową może być podobnie, tylko na większą skalę. Amerykanie już dziś mówią nie o 100 mld, ale o 110 mld zł za pierwszą. W roku 2033, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, koszt może przekroczyć 200 mld zł. Dlaczego?

Wystarczy rzut oka na mapę – aby prowadzić budowę w okolicach Lubiatawa i Kopalina, należy najpierw wybudować solidne drogi, linie kolejowe, a nawet... port morski, który będzie służył do transportu najcięższych i największych elementów elektrowni. Tak zrobili Brytyjczycy i Francuzi w związku z budową Hinkley Point C.

Prace ziemne będą wymagały nie tylko setek ciężarówek, ale również ogromnych ilości cementu, spełniającego specjalne „atomowe” normy wytrzymałości. Na potrzeby brytyjskiej elektrowni wybudowano wytwórnię cementu i mieszalnię betonu. Kosztowało to ogromne pieniądze, których pierwotnie nie ujmowano w kosztach. Pewnie po to, by nie wystraszyć inwestorów.

W Polsce nie ma przedsiębiorstw mogących zaprojektować czy zbudować elektrownię atomową. Nie ma też inżynierów, którzy sprostiliby takiemu wyzwaniu.

Inwestycja będzie wymagała ogromnych ilości... energii elektrycznej. W okolicy Lubiatawa i Kopalina nie ma dużych elektrowni. Dlatego będziemy kupowali prąd ze Szwecji. Na szczęście nasze kraje łączy solidny kabel przesyłowy.

Odrębną kwestią jest budowa nowoczesnej infrastruktury energetycznej do przesyłania produkowanego przez nową elektrownię prądu w głąb kraju. Takiej na północy Polski nie ma. A to także oznacza niemałe koszty.

Reaktory AP1000 są chłodzone wodą. Stąd lokalizacja elektrowni 3 km od brzegu Bałtyku. By wszystko działało sprawnie, trzeba będzie wybudować w najwyższym standardzie tunele, którymi woda morska będzie trafiała do instalacji chłodzących reaktory i będzie z nich odprowadzana. Co to oznacza dla Bałtyku?

Testy, które przeprowadzono w elektrowni Hinkley Point C,

wykazały, że pobiera ona z ujścia rzeki Severn 120 tys. litrów wody morskiej na sekundę, zabijając ok. 182 mln ryb rocznie. W przypadku elektrowni Lubiatawo-Kopalino oznacza to zagładę fauny morskiej między Jastrzębią Górą a Łebą.

Do załatwienia pozostaną jeszcze takie drobiazgi jak zapewnienie mieszkań dla 5-7 tys. pracowników, znalezienie i zatrudnienie setek inżynierów znających się na budowie podobnych obiektów, zapewnienie terminowego wykonania instalacji reaktorów, systemu chłodzenia, rur doprowadzających i odprowadzających wodę itd.

Elektrownie finansują gospodynie domowe

Każdy, kto płaci rachunek za światło, łatwo znajdzie na fakturze takie pozycje jak „opłata mocowa” czy „opłata kogeneracyjna”. Po podpisaniu przez Polskę umowy z Amerykanami będzie musiała się pojawić

„opłata za elektrownię jądrową”. Bo uzyskanie w bankach kredytu na 25-30 mld dol. będzie bardzo trudne.

Dlatego najłatwiej będzie koszt budowy elektrowni wpisać do rachunku za prąd. W Polsce jest to możliwe, gdyż państwo, czyli politycy, w pełni kontroluje szeroko rozumiany rynek energii. PKN Orlen wchłonął ostatnio PGNiG, więc kontroluje rynek paliw i gazu. Enea, Energa itp. kontrolują rynek energii elektrycznej. Kopalnie też są państwowe. Tu nie ma wolnego rynku ani konkurencji. Podniesienie rachunku za światło o 10-20 zł na jedno gospodarstwo domowe będzie proste. To przecież decyzja administracyjna. Ten ruch da rocznie kilka dodatkowych miliardów złotych. Do roku 2033 albo 2036 tych miliardów uzbiera się kilkadziesiąt. W przyszłości, gdy zajdzie potrzeba, łatwiej będzie zebrać dodatkowe środki.

Oznacza to, że elektrownia jądrowa, zanim powstanie, podniesie wszystkim rachunki. A kilka elektrowni jądrowych mocno je wywinduje.

Ten problem mają już Brytyjczycy. Wiadomo, że cena energii elektrycznej produkowanej w elektrowni Hinkley Point C będzie wyższa, niż pierwotnie zakładano, i znajdzie to odbicie w rachunkach dla odbiorców indywidualnych oraz instytucjonalnych. Już w czerwcu 2017 r. zwrócił na to uwagę brytyjski Krajowy Urząd Kontroli, stwierdzając w raporcie poświęconym budowie elektrowni, że zobowiązano konsumentów energii elektrycznej oraz podatników do zawarcia kosztownej i ryzykownej transakcji na zmieniającym się rynku energii. I czas pokaże, czy była ona korzystna, czy nie.

Dlatego cokolwiek się stanie, Polacy i tak zapłacą. Elektrownie jądrowe na dziesięciolecia zakonserwują system, w którym nowoczesne, a więc tańsze, technologie produkcji energii elektrycznej będą okładane opłatami „na energetykę jądrową”.

No bo co zrobi polski rząd, jeśli za 10 lat ktoś wyprodukuje tanie panele fotowoltaiczne, których niewielka powierzchnia zapewni produkcję energii elektrycznej w pełni zaspokajającą potrzeby domu jednorodzinnego? A inna firma zaoferuje tanie magazyny energii, będące w stanie przez długi czas przechowywać nadmiar wytworzonego prądu?

Dziś wydaje się nam, że brakuje prądu. Dlatego jest on drogi i musimy go oszczędzać. Ale możliwa jest sytuacja, która w roku 2020 zdarzyła się w Japonii. Prądu w systemie było za dużo, a jego cena na giełdzie spadła do jednego jena za kilowatogodzinę. Trzy polskie elektrownie jądrowe, plus te istniejące, plus prąd od sąsiadów i przyjdzie nam zmierzyć się z podobnym wyzwaniem.

Na szczęście to odległa przyszłość. Na razie żadna z podpisanych przez Polskę umów na budowę elektrowni jądrowej nie jest ostateczna. Rząd czekają trudne negocjacje. Dlatego będziemy świadkami obrzucania się błotem przez konkurentów. Zresztą... to już się zaczęło.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Z Kaczyńskim po kraju

J eździ sobie prezes Kaczyński po kraju, spotyka się ze swoimi wyznawcami i bredzi. A to coś głupiego i przy okazji obraźliwego powie o osobach LGBT, a to o transpłciowych, ostatnio o kobietach przed 25. rokiem życia, które sobie „dają w szyję” i dlatego rodzą mało dzieci. A wszystkie te brednie bawią go najwyraźniej, bo po każdej takiej głupocie rechocze, w ślad za nim rechoczą zaś zebrani wyznawcy. Szczuje przy tym na ludzi, którzy myślą inaczej niż on – albo w ogóle po prostu myślą.

Ujawnia przy tym swoją mentalność i swoje horyzonty intelektualne. Poziom zakompleksiałego, obrażonego na świat, nie lubiącego ludzi starego, zgorzkniałego półinteligenta.

Czasem prezes udziela swojemu ludowi prostych porad, dzieli się z nim przemyśleniami. Na każdy temat. Ostatnio było o rodzicielstwie.

Mówił np., że kobiety nie powinny rodzić w zbyt młodym wieku, bo do roli matki trzeba dorosnąć. Zdaje się, że za optymalny wiek do rodzenia uznał te 25 lat, ale tu jest problem, z tym „dawaniem w szyję”. Prezes – ekspert od życia w rodzinie, prezes – ekspert od wychowania seksualnego. Stary

kawaler, który nigdy nie założył rodziny, nigdy nie miał żony, nigdy nie wychowywał własnych dzieci ani wnuków, nigdy nie troszczył się o byt najbliższych. Zresztą prezes wzorem wszystkich dyktatorów i dyktatorków jest ekspertem od wszystkiego. Podobnie jak był takim ekspertem założyciel dynastii Kimów w Korei Północnej. Kim Ir Sen znał się na rolnictwie, na metodyce pracy naukowej, na medycynie, na edukacji i z wszystkich tych dziedzin udzielał swojemu narodowi porad. Drukowane po polsku przez ambasadę koreańską i szeroko kolportowane po PRL dostarczały niekiedy zabawnej lektury. Stalin też znał się na wszystkim, z językoznawstwem włącznie. U nas swego czasu gen. Kiszczak także wiedział, jak zwiększyć plony (zaorać miedze i zwiększyć areał), a nawet jak dobierać tytuły prac doktorskich na polonistycę. Tyle że tymi mądrościami raczył zebrany na odprawach aktyw MSW, o czym można przeczytać w powstałych po 1990 r. książkach. No to prezes również zna się na wszystkim. Na przykład na epidemiologii. Kilka lat temu

przestrzegał przed uchodźcami, którzy roznoszą nieznane choroby, pasożyty i pierwotniaki.

Prezes jest poza tym ekspertem w historii najnowszej. Wykrył, że w latach 90. istniał plan przyłączenia Polski do Niemiec i podzielenia jej na landy. Kto miał taki zbrodniczy plan, Kaczyński na razie nie ujawnił. Wie, ale nie powie. Gdzie wynalazł takie rewelacyjne informacje, też nie ujawnił. A powinien. Dowody zdrady państwa powinien niezwłocznie przekazać Ziobrze jako prokuratorowi generalnemu. Jak taka zbrodnia stanu może ująć na sucho! Ale na razie prezes jak Wojski „przerwał, lecz róg trzymał”... W swoim czasie (w kampanii wyborczej) powie zapewne więcej.

Ostatnio także, odwołując się do chyba wciąż jeszcze żywych, wyhodowanych głównie w PRL resentymentów antyniemieckich (straszone wtedy Czają, Hupką, ziom-

kostwami i ich rewizjonizmem, a przodował w tym sam Władysław Gomułka), Kaczyński przeciwstawił suwerenną Polskę rządzoną przez PiS Polsce rzekomo podporządkowanej Niemcom za czasów rządów Platformy. To nie tylko nieprawdziwe, głupie, ale przede wszystkim szkodliwe.

Szkodzące Polsce na arenie międzynarodowej, zaprzepaszczone wieloletni dorobek polsko-niemieckiego pojednania, które nie było łatwe.

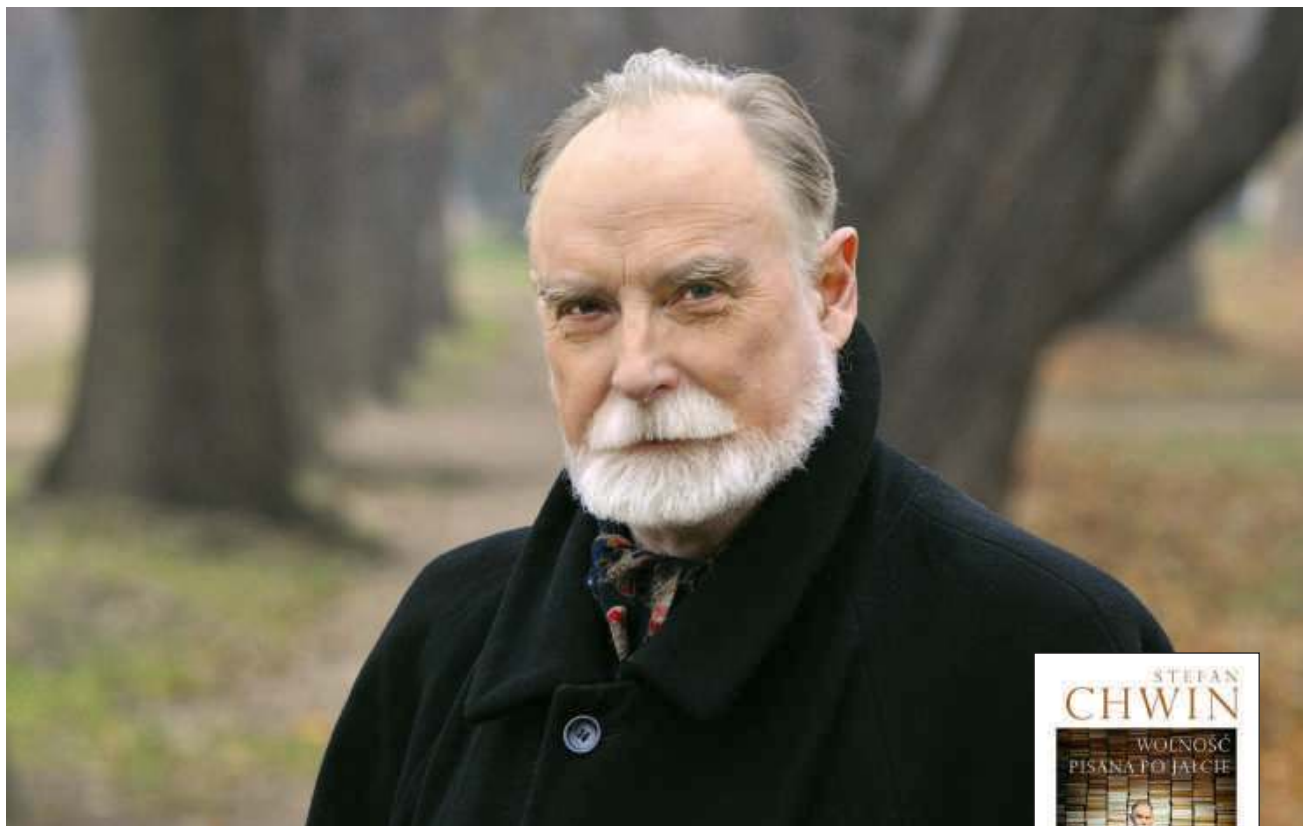
Wszystkie te brednie upowszechnia TVP. Udział TVP w ogłupianiu Polaków jest trudny do przecenienia. Czyżby dziennikarze, a choćby i kadra kierownicza telewizji, nie mieli świadomości, że upowszechniają szkodliwe bzdury? Głupota? Cynizm? A może mieszanka jednego i drugiego?

Słuchacze wyznawcy, a tylko tacy są dopuszczani na te spotkania, zdaje się podzielają poglądy prezesa, rechoczą razem z nim z jego wątpliwych dowcipów. Rzeczywiście problem polega nie na tym, że Kaczyński jest taki, jaki jest, że jest PiS i jest ono takie, jakie jest. Niestety dla Polski jest to, że jedna trzecia Polaków myśli tak jak PiS i jego prezes. Gdyby nie prezes i PiS, znalazłby się ktoś inny, kto przemówiłby w imieniu tej jednej trzeciej, zagospodarował jej emocje i głosy w wyborach. I to jest prawdziwy problem Polski.

Nieszczęściem dla Polski jest to, że jedna trzecia Polaków myśli tak jak PiS i jego prezes.

PUŁAPKA REPARACJI

Jesteś patriotą albo zdrajcą



Rozmawia Robert Walenciak

Czy czeka pan na pieniądze z reparacji?

– Podczas powstania warszawskiego Niemcy zabili połowę kobiet z mojej rodziny – zginęły na skutek bombardowań, w ostrzale artyleryjskim, były bez żadnych skrupułów rozstrzeliwane na podwórkach... Dom w samym centrum Warszawy, w którym mój dziadek miał sklep kolonialny, został całkowicie zburzony. **Spaliło się wszystko?**

– Wszystko. Zostałem więc – podobnie jak moje dzieci i wnuki – przez Niemców pozbawiony nie tylko krewnych, lecz także sporej masy spadkowej. Gdybyśmy to wszystko

PROF. STEFAN CHWIN

– pisarz, eseista, historyk literatury, związany z Uniwersytetem Gdańskim. Członek Rady Języka Polskiego. Ma w dorobku takie tytuły jak: „Hanemann”, „Esther”, „Dziennik dla dorosłych”, „Samobójstwo jako doświadczenie wyobraźni”, „Panna Ferbelin”, „Miłosz. Interpretacje i świadectwa”, „Zwodnicze piękno”, „Srebrzysko. Powieść dla dorosłych”, „Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku”, „Wolność pisana po Jajcie”.

odziedziczyli, żylibyśmy dzisiaj sobie w Warszawie jak królowie, a ja może miałbym mniej liberalne poglądy. Straty, które poniosła moja rodzina, wyceniam ostrożnie na jakieś 200 mln dol., ponieważ życie każdej z tych kilkunastu zabitych kobiet – jak

zresztą życie każdego człowieka – po prostu nie ma ceny. Tymczasem po tym, co się stało, moja rodzina nie dostała od Niemców niczego. I nie sądzę, że kiedykolwiek dostanie. **Nie wierzy pan, że rząd coś od Niemców wyciągnie.**

– Niemcy uważają, że w roku 1953 ówczesny polski rząd zrezygnował z reparacji, więc sprawa jest zamknięta. To jedno. A drugie to moje osobiste spojrzenie. Niemcy nie są dla mnie, jak dla większości Polaków, tylko jakimś krajem z telewizji. Wiele razy tam z żoną byliśmy, odbyłem w różnych miastach ponad 100 spotkań autorskich, poznałem wielu ludzi. Polacy uważają, że trzeba Niemców przycisnąć, żeby zapłacili za dawne zbrodnie. Ale nikt nie zastanawia się, skąd Niemcy mieliby wziąć te pieniądze.

No, po prostu szwaby mają forsy jak lodu, więc mają nam płacić i już.

– Tymczasem te pieniądze trzeba by wyciągnąć z czyjejś kieszeni. I kiedy o tym pomyślę, to trochę robi mi się dziwnie. Bo czy powinienem zażądać reparacji np. od osoby, którą znam od wielu lat, a mianowicie tłumaczki moich książek, rodowitej Niemki, która urodziła się po wojnie, ukończyła slawistykę na uniwersytecie w Heidelbergu, na dodatek ze specjalnością polonistyką? Bo gdyby Niemcy musieli nam płacić, ona też by dostała po kieszeni. Ona zaś od wielu lat tłumaczy polskich pisarzy, promuje polską kulturę, więc teraz powinniśmy zażądać od niej, żeby osobiście partycypowała w reparacjach, które mają być finansową karą za zbrodnie jej przodków? Mówi się, że to państwo niemieckie będzie płacić. Ale co to znaczy – państwo niemieckie? To znaczy, że płacić będą musieli konkretni ludzie, którzy tam dzisiaj mieszkają. Na przykład Niemcy polskiego pochodzenia, którzy dostali obywatelstwo niemieckie. Albo uchodźcy ukraińscy, którzy też to obywatelstwo dostali.

Byłoby to z ich podatków.

– Z ich kieszeni. Następna rzecz: mam wielkie wątpliwości co do zasady prawnej, że Republika Federalna Niemiec jest prawnym kontynuatorem III Rzeszy. Rozumiem, że ta zasada została przyjęta z powodów pragmatyczno-polityczno-ekonomicznych. I miała uzasadnienie, kiedy żyło pokolenie, które, jak to się mówi, miało krew na rękach. To dlatego w dzieciństwie uważałem, że Niemcy muszą drogo zapłacić za swoje zbrodnie.

Bo żyli ludzie, którzy w wojnie brali udział?

– Tak, właśnie dlatego. Ale teraz, jeśli mam dociskać jakąś 18-letnią studentkę z uniwersytetu w Monachium, żeby płaciła ze swojej kieszeni reparacje Polsce, wydaje mi się to trochę odklejone od rzeczywistości. Co ona ma z tym wspólnego? Co prawda, mówi się, że obecne Niemcy dlatego są tak mocne gospodarczo, że oni ciągnęli korzyści z podboju Europy, ale to dotyczy tylko okresu od 1939 do 1944, 1945 r. Bo w 1945 r. Niemcy zostali zmasakrowani, i to jeszcze bardziej nawet niż my. W końcu u nas nie było np. nalotów dywanowych, takich jak na Drezno i Hamburg. Niemcy

Jeśli ktoś powie: dajmy sobie spokój z tymi reparacjami – to dopiero będzie krzyk! Mamy go! Zdrajca!

się podniosły ze zgliszcz dopiero po zakończeniu wojny, i to dzięki amerykańskiemu planowi Marshalla. Poza tym dzisiaj żywi Niemcy, którzy mieliby nam płacić, są absolutnym przeciwieństwem Niemców z epoki III Rzeszy. Twierdzenia, że chcą zbudować IV Rzeszę, żeby nas podbić...

...że powstaje nowe Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego.

– Jak nas przekonuje polska prawica. Ale to są ludzie, którzy albo tam nie bywają, albo po prostu uprawiają zwykłą antyniemiecką propagandę. Natomiast gdy ja tam bywam, to widzę – patrząc choćby na wielonarodowy skład niemieckiego społeczeństwa – że to jest państwo, które nie ma nic wspólnego z nazistowskimi Niemcami. Przecież tam żyje mniejszość muzułmańsko-turecka sięgająca prawie 8 mln. Mamy żądać reparacji od tych zniemczonych Turków, potomków gasterarbeiterów ze Stambułu? Oni są przecież obywatelami Niemiec, więc powinni czuć się spadkobiercami podłych win pokolenia, które już prawie zupełnie wyparowało?

Pan do sprawy podchodzi na poważnie. A tu jest inna intencja. Taka, żeby to w polskiej duszy zagrało.

– No, ja dobrze rozumiem, o co naprawdę chodzi. I pewnie, gdyby mnie dziennikarze niemieccy zapytali, czy jestem za tym, żeby rekompensaty finansowe były wypłacane, musiałbym wypowiedzieć magiczne: TAK! Bo gdybym powiedział co innego, toby mi głowę w Polsce zmyli, że zdradzam naród itd. Przecież trzeba być razem ze swoimi... A poza tym jest jeszcze jeden argument: należy szanować to wielkie polskie cierpienie, tak haniebnie niespłacone. I bronić polskiej godności. Więc jak oni będą nam płacić, to my godność odzyskamy. Ale cóż... Uważam, że to wszystko jest w tej chwili podgrzewane wyłącznie ze względu na wybory.

To się przyjmie w Polsce?

– Oczywiście, że przyjmie! I jeśli ktoś powie: dajmy sobie spokój z tymi reparacjami – to dopiero będzie krzyk! Mamy go! Zdrajca! Ojkofo! Nie ulega wątpliwości, to jest rozgrywane w ten sposób. I dlatego zostało wyciągnięte przed wyborami. Jako pułapka zastawiona na Tuska. Bo jeśli on się nie przyłączy do tej akcji reparacyjnej, od razu będą mieli dowód, że on nie wie, co to patriotyzm. Nie głosujcie na niego, bo on reprezentuje niemieckie interesy! To chwyci. Chociaż, jak patrzyłem na sondaż, zdumiało mnie, że te reparacyjne żądania twardo popiera tylko 51% Polaków.

Wiedzą, że to wszystko są przedwyborcze bajki.

– Połowa Polaków uważa, że to bzdury, na które szkoda czasu. Ale PiS wystarczy do rządzenia 35%, będzie więc mocno grzało zakorzenione w polskiej duszy antyniemieckie resentymenty i kompleksy. Bo i w literaturze, i w naszej świadomości siedzi to bardzo głęboko.

Choć są ważne różnice pokoleniowe.

– Myślę, że tych antyniemieckich jadów, które są we mnie od dzieciństwa, moi studenci już nie czują. Dla nich Erasmus jest znacznie bardziej

► realną perspektywą niż jakieś gładzenie o reparacjach. Oni wolą pojechać w ramach programu wymiany na niemieckie uczelnie, poznać nowych kolegów, traktować ich normalnie. Ale nie wiem, co by odpowiedzieli, gdybym ich wprost zapytał: czy jesteś przeciwko polskim żądaniom reparacji? Bo to pytanie bez wyjścia. Albo jesteś patriotą, albo zdrajcą. Tak to zostało ustawione.

Czuję się w Niemczech jak ktoś z innej parafii. Różnica między naszymi kulturami jest rzeczywista, to nie są pozory.

Nacisk wspólnotowy jest potężny. W najnowszej książce „Wolność pisana po Jalcie” opisuje pan, że jak przejmowaliśmy ziemię poniemieckie, to pierwszym odruchem było zatarcie śladów obecności gospodarzy. Skucie napisów, rozwalenie stołu, zniszczenie cmentarza.

– Byłem wychowany w bardzo antyniemieckim duchu. Moja mama była sanitariuszką w powstaniu warszawskim, widziała straszne rzeczy. Nic dziwnego, że nienawidziłem Niemców. Sam dźwięk ich mowy! Do tego doszły szkoła, filmy... Ale potem zaczęło mnie razić np. niszczenie niemieckich cmentarzy w Gdańsku. Zawsze uważałem, że cmentarze powinny być przestrzenią eksterytorialną. Niech wojny przewalają się po świecie, ale nieboszczycy powinni mieć zapewniony wieczny spokój. Jednak okazało się, że nie ma tak dobrze. Cmentarze gdańskie, stare, piękne, zostały zamienione w parki. Zamiast kamiennego miasta grobów – strzyżone trawniki. To też mnie raziło, ta obojętność na artyzm dawnej sztuki cmentarnej.

Traktowanej jako źródło materiałów budowlanych.

– Widziałem, do czego bywały używane płyty nagrobne. Robiono z nich murki wokół piaskownicy na nowych osiedlach. Siedzisz sobie na murku, zaglądasz pod spód, a tam wykute gotyckie litery, nazwiska, daty... W Jaśkowej Dolinie we Wrzeszczu na jednym ze zboczy zrobiono schody z poniemieckich płyt nagrobnych. Można iść i czytać. Poniemieckie cmentarze były rozkradane. Bo to

dobry granit, czarny. Mnie to się nie podobało. Myślałem, że trochę się zachowujemy jak tamci. Tak zaczęło się moje wychodzenie poza tresurę rodzinną i szkolną wobec poniemieckich rzeczy.

Krok po kroku?

– Do pewnej nielojalności narodowo-etnicznej popchnął mnie zachwyty nad gotykiem i szwabachą. Gotycki krój liter jest wspaniały. Oczywiście

najpierw to były dla mnie litery znaczone krwią.

Ale piękne?

– No właśnie. Skończyłem szkołę plastyczną w Gdyni-Orłowie. Uczono nas pisać m.in. gotykiem. Bardzo to polubiłem. Nawet pojawiło się we mnie marzenie – że jeśli miałbym się reinkarnować, to do średniowiecza. Jako przepisywacz tekstów na pergaminie. Polubiłem też pruski mur. Białe ściany i piękny układ carynych belek. Odkryłem piękno dawnych dzielnic XIX-wiecznego Gdańska. Piękny świat niemieckiego domu, ogrodu, ulicy.

A kiedy zaczął pan inaczej patrzeć na ludzi? Na nich?

– Jak zaczynałem jeździć w latach 90. do Niemiec, to przytąpywałem się na tym, na czym Gombrowicz się

przytąpywał, kiedy był w Berlinie Zachodnim. Że idzie ulicą, obok niego przejeżdża jakiś luksusowy samochód, w środku siedzi tęgą, dobrze najedzony Niemiec. I Gombrowicz zastanawiał się: a co ten Niemiec robił 12 lat temu? On wtedy nie jechał limuzyną, raczej pojazdem znacznie cięższym... Jak teraz z nim rozmawiać?

I pan widział Niemców w podobny sposób?

– To jeszcze opiszę panu inną sytuację. Było to w Berlinie, w hotelu. Schodzimy z żoną na dół, na śniadanie, i wita nas napis na ścianie po polsku. „Prosimy nie wynosić bułek!”.

To nie było Herzlich Willkommen!

– Mało tego, ktoś długopisem dopisał po polsku nad koszykiem z pieczywem: „To za Auschwitz i Westerplatte!”. Byli więc Polacy, którzy wynoszenie bułek z hotelowej jadalni traktowali jako formę reparacji wojennych. Spotkałem się nawet z żartobliwymi opiniami rodaków mieszkających w Berlinie, że taki nastrój zachęcał do kradzieży samochodów. Bo młodzi Polacy mieli zupełnie odblokowane hamulce moralne. Że Niemców można rabować do woli, bo oni ludzi dusili gazem! To nad czym tu się zastanawiać? Kraść im te ich niemieckie auta i już! Chyba było w tym trochę zadawnionego poczucia niesprawiedliwości losu i chęć rewanzu czy zemsty.

To poczucie obcości Niemca i związane z tym polskie kompleksy trwają?

– Ja żadnych kompleksów wobec Niemców nie mam.

A nasi rodacy?

– Gdy jestem w Niemczech, obracam się w środowiskach intelektualno-literacko-universyteckich, może więc dlatego nigdy nie spotkałem się z żadnym poważniejszym afrotem. Owszem, były momenty, gdy oni darzyli mnie szczególnymi względami jako pisarza ze Wschodu, co odczuwałem jako nieco patriarchalne. Że przyjechałem z tego kraju, gdzie biedni ludzie wiecznie cierpią, trzeba mi pomóc, pokazać, jak się robi

Nie ma nic gorszego niż proste ustalenia rzeźbione siekierą.

prawdziwą demokrację. Było w tym pewne poczucie cywilizacyjnej wyższości. Ale widziałem, że to poczucie wyższości znacznie bardziej okazywali Niemcom wschodnim z dawnej NRD.

O!

– To było bardzo dla mnie ciekawe – oni uważali Niemców wschodnich za ludzi, jak u nas dziś się mówi, gorszego sortu. W byłej NRD przeprowadzono zresztą operację personalną, której w Polsce nie przeprowadzono po roku 1989. Twardą operację oczyszczania kadry uniwersyteckiej, po prostu wyrzucając z pracy dawnych profesorów,

docentów itd. Na ich miejsce lądował desant z zachodniej części Niemiec. Widziałem to w Dreźnie, gdzie zostałem zaproszony, żeby wygłosić cykl wykładów. A zaprosili mnie profesorowie, którzy zostali służbowo przeniesieni do NRD z uniwersytetu w Düsseldorfie. Oni mieli dość lekceważący stosunek do ludności Drezna i lokalsów, którzy pracowali na uniwersytecie. W stosunku do Polaków tego nie okazywali.

Dlaczego?

– Myślę, że Niemcy mają zadawnioną traumę moralną, przynajmniej ci należący do klasy oświeconej. Że jednak ich przodkowie robili wiele złych rzeczy. Szczególnie Żydom i nam, Polakom.

A nie czuć się pan tam obco, że to inna cywilizacja?

– Na pewno czuję się w Niemczech jak ktoś z innej parafii. Różnica między naszymi kulturami jest rzeczywista, to nie są pozory. Swego czasu badałem, jak Niemcy odnosili się do Solidarności w czasie stanu wojennego. Ich postawa była wewnętrznie sprzeczna. Z jednej strony, bardzo pomagali, byli zachwyceni tym ruchem, uniesieni itd.

Tak całkowicie?

– Kiedy byłem na kolacji z Güntherem Grassem w ratuszu staromiejskim w centrum Gdańska, powiedział, że w 1981 r. starał się zawstydić niemiecką socjaldemokrację filozoficzno-egzystencjalnym rozmachem tego, co się w Polsce dzieje. Że to wychodzi poza przyziemne żądania niemieckich związków zawodowych. Ale była i druga strona tej sprawy. Mówił: „Ja patrzeć na to nie mogłem!”. „Ale na co?“, zapytałem. „No, że ci Polacy przerobili Różę Luksemburg na Matkę Boską”.

Przemalowali obraz?

– Nie, tylko za patronkę robotniczej rewolucji uznali Matkę Boską zamiast Różę Luksemburg. Święty obraz powiesili w stoczni i jeszcze księża katolickich tam zaprosili. On jako socjaldemokrata był zirygowany tym zlepianiem rewolucji robotniczej z katolicyzmem. Zwariowali czy co? Ale w stanie wojennym Niemcy z jednej strony zachwycali się Solidarnością, a z drugiej prowadzili

twardą wschodnią Realpolitik. Ostatnio, kiedy byłem w Berlinie, miałem wykład w kościele ewangelickim o Solidarności i po wykładzie podszedł do mnie człowiek, który był dyplomatą w ekipie Helmuta Schmidta w latach stanu wojennego. Zagadnąłem go: „Niech pan powie, coście wtedy robili?”. A on na to: „Próbowaliśmy prowadzić politykę rozstawionych nóg. Okrakiem. Pomagaliśmy Wałęsie, ale i popieraliśmy gen. Jaruzelskiego, bo musieliśmy liczyć się z realiami politycznymi”.

To teraz, gdy Kościół katolicki ma w Polsce tyle do powiedzenia, Niemcy muszą być w szoku.

– Pamiętam spotkanie z niemiecką grupą, która przyjechała do Gdańska. Jedna z pań zapytała mnie: „Niech pan nam wytłumaczy, dlaczego wy chcecie żyć w niewoli?”. Zdziwiłem się: „W jakiej znowu niewoli?”. Ona na to: „W niewoli sutanny”. Oni byli niemieckimi protestantami.

Duża część Polaków ma ogromne poczucie obcości wobec tego, co dzieje się w Europie Zachodniej. Dla nich jej swobodne obyczaje są po prostu oburzające.

Uważali, że katolicyzm jest politycznie represyjny.

Polski katolicyzm?

– W Niemczech mamy do czynienia z inną niż u nas relacją pomiędzy Kościołami a państwem. Dużo większy dystans. Ta różnica jest bardzo wyraźna. Oni to wyczuwają – że Polak jest mocno związany z Kościołem i kulturą katolicką. Na przykład obyczajowo. I nie chodzi tylko o religię, lecz także o polską mentalność, ukształtowaną m.in. pod wpływem polskiego baroku, ozdobnego, teatralnego, karnawałowego. Jeśli jest trudna sytuacja, niebezpieczna, Polak daje do zrozumienia: może lepiej obróćmy to w zabawę, żart, kawał, dowcip! A Niemcy tego nie znają. Jak jest poważna sprawa, to jest poważna sprawa.

W ostatnich miesiącach cały czas nam się mówi, że Europa na nas czyha, poza tym my do niej nie pasujemy. Wiadomo, że jest różnica kulturowa między Polakami a Niemcami czy Holendrami.

Ale czy ta różnica jest tak duża, że nie ma sensu się pchać do wspólnego domu? Czy też jest niewielka, więc przeszkód nie ma?

– Pan używa określenia, którego ja staram się unikać. To jest zaimek my. Bo tylko część Polaków – zgoda, że duża – ma ogromne poczucie obcości wobec tego, co się tam dzieje. Dla nich swobodne obyczaje Europy Zachodniej są po prostu oburzające, bo – jak uważają – są jakieś granice, obyczajowe, religijne, których nie wolno przekroczyć. I polska prawica na tym wygrywa. Ale jest bardzo duża część ludzi, którzy czują się zupełnie swobodnie podczas podróży po Europie. Zawsze mówię: na PiS głosuje 30%, a na kogo głosuje pozostałe 70%? Ordynacja jest tak wymyślona, że mając trzydzieści parę procent głosów, ma się w rękach wszystko. Natomiast, statystycznie rzecz biorąc, większość Polaków to nie są pisowcy.

Chodzi mi nie o sympatie partyjne, tylko o poczucie wewnętrzne: że my nie jesteśmy tamtymi Europejczykami.

– Myślę, że sporo Polaków uważa, że nie jesteśmy. Oni uważają, że to my jesteśmy lepsi od tamtych. **Zastanowiła mnie pańska myśl, że do tego, by Europa była mniej skłócona, potrzebny jest rozwój kultury zapomnienia o wzajemnych krzywdach. Że patrzenie w przyszłość jest ważniejsze.**

– Nigdy nie będzie takiej sytuacji, że nastąpi całkowite zapomnienie tego, co było. To niemożliwe. Jakaś część ludzi zawsze będzie się interesować przeszłością. Myślę, że we wszystkich epokach tak było. Wieksość nie interesuje się rzeczami bardziej skomplikowanymi intelektualnie. Natomiast grupa, do której i ja należę, jest zaciekawiona i przeszłością, i przyszłością. I czyta sobie różne rzeczy. Co wcale nie musi prowadzić do kultywowania dawnych traum i nienawiści.

► **Czyta i dowiadyuje się rzeczy zaskakujących. W „Wolności pisanej po Jalcie” przypomina pan książkę Libussy von Krokow, która opisała rok 1945 i klęskę Niemiec. W tej książce Rosjanie są pokazani jako potężna azjatycka siła, wszystko gwałcąca. A Polacy jako ich mściwi i wredni pomagierzy, „drugorzędna świta”. Gors i bardziej przerażający niż żołnierze Armii Czerwonej.**

– Na uniwersytecie w Pasawie wygłosiłem wykład o niemieckich i polskich relacjach na temat wypędzeń po

przypomniałem książki Haliny Auderskiej. Z prawicowego punktu widzenia osoby bardzo podejranej.

Ona opisała losy kościuszkowców.

– Od środka, empatycznie, bardzo tym się przejmując. To prawicowym historykom nie za bardzo się podobało. Nie lepiej istnienie takiej pisarki przemilczeć? Cóż, ponieważ jestem zwolennikiem prawdy w robocie historyczno-literackiej, badając literaturę polską, nie kieruję się tym, czy poglądy któregoś pisarza mi odpowiadają, czy nie. Tłumaczę moim

– Jak wygłosiłem wspomniany wykład o wypędzeniach na uniwersytecie w Pasawie, to także część uczonych niemieckich była oburzona. Bo oni byli raczej nastawieni na kultywowanie niemieckiej pedagogiki wstydu – że trzeba podkreślać, że my, Niemcy, robiliśmy okropne rzeczy. Uważam zresztą, że to nie jest najgorsze, że jednak nastąpiła u Niemców jakaś reedukacja duchowa. Dlatego ich gorszyło, kiedy wspominałem fakty niepoprawne politycznie. Na przykład to, że kiedy skończyła się okupacja i weszły wojska sojuszników, Niemki, które były właścicielkami majątków, nadal traktowały polskich robotników przymusowych jak swoich niewolników. Wszystko się zmieniło, a one były zdumione, że polski niewolnik odzywa się do nich ludzkim głosem. Bo one uważały, że to jest układ wieczny. Pani i „nasz robotnik”. Trochę podobnie jak w południowych stanach Ameryki w relacjach między białymi a czarnymi.

Takie relacje budują pewną postawę – patriarchalną z jednej strony, z drugiej zaś pełną kompleksów.

– Cóż robić... Z naszej rozmowy wyłania się świat niejednoznaczny. Powinniśmy stać na straży takiego sposobu myślenia, który pozwala to dostrzec. Bo nie ma nic gorszego niż proste ustalenia rzeźbione siekierą.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

W Niemczech mamy do czynienia z inną niż u nas relacją pomiędzy Kościołami a państwem. Dużo większy dystans. Ta różnica jest bardzo wyraźna.

roku 1945. Mówiłem o rzeczach, które mnie zdumiały. Na przykład, że Niemcy w momencie, kiedy na ich ziemie wchodziła armia rosyjska z wojskiem polskim, znacznie bardziej bali się Polaków niż Rosjan. Były takie sceny, że ludność niemiecka garnęła się pod skrzydła rosyjskiego komendanta, bojąc się polskich szabrowników, którzy rabują wszystko i napadają na Niemców i Niemki jadących pociągiem na zachód. Oczywiście rodzi się pytanie, na ile są to wiarygodne relacje, a na ile fabularyzacja traumy. Gdy przedstawiłem w Polsce ten wykład, jakaś część historyków prawicowych była oburzona. Między innymi dlatego, że

studentom, że naszą rzeczą jako historyków jest pytać: dlaczego oni tak myśleli? Jakie mechanizmy społeczne i psychologiczne oraz wydarzenia wpłynęły na ich sposób myślenia?

A prawicowy historyk stoi na straży poprawności moralno-politycznej, niczym policja patriotyczno-religijna.

– Nie mam nic przeciwko temu, że ktoś np. chodzi do kościoła. Ale jeśli ktoś nie chce tam chodzić, też niech ma do tego prawo. I nikt go nie może za to krzywdzić.

Oczywiście! Ale weźmy pod uwagę, że swoimi ustaleniami uderzył pan w przyjęte ustalenia. W przyjętą wiarę.



Laureatka z żoną Aleksandra Małachowskiego, Krystyną, oraz przewodniczącym Unii Pracy Waldemarem Witkowskim.

Zuzanna Dąbrowska z nagrodą

Zuzanna Dąbrowska z „Rzeczpospolitej” została kolejną laureatką Nagrody im. Aleksandra Małachowskiego – za niezależność dziennikarską, obiektywizm i kulturę słowa.

To wyróżnienie przyznawane jest od 13 lat. Laureatami nagrody byli m.in. Jacek Żakowski, Jerzy Domański, Rafał Woś czy Przemysław Talkowski. Nagroda przypomina wielką postać Aleksandra Małachowskiego, dziennikarza i polityka, marszałka Sejmu, współzałożyciela Unii Pracy, autora m.in. felietonów drukowanych w „Przeglądzie”.

Statuetkę przyznaje kapituła, w skład której wchodzi członkowie Unii Pracy z jej przewodniczącym Waldemarem Witkowskim na czele. W obradach kapituły bierze też udział żona Aleksandra Małachowskiego, Krystyna.

Gala, podczas której wręczono nagrodę, połączona była z konferencją partii lewicowych, zorganizowaną z okazji 30-lecia Unii Pracy.

Klaps ze skutkiem śmiertelnym

60% z nas słyszało lub widziało, że dziecko jest krzywdzone.
Reakcji nie było, tylko ciche oburzenie

Anna Stachowiak

„Mam to w dupie, gównu mnie to obchodzi. Padają jakieś pieprzone oskarżenia, ale ja nic nie pamiętam”, pisał oskarżony o zakatowanie trzypięcioletniego dziecka konubiny mężczyzna. Bił, aż za bił. Był rok 2009.

„Dziecko dostało książki ze szkoły i okazało się, że załało je jogurtem. Jak mąż to zobaczył, to się wściekł, wziął kabel, no i go uderzył. Wiem, że powinnam coś zrobić, ale bałam się, że przyjedzie policja, zobaczą sąsiedzi, że będzie wstyd”, mówiła matka dziewięcioletniego chłopca, którego ojczym dotkliwie pobił kablem. Nie doszło do najgorszego, bo zareagowali przechodnie, którzy byli świadkami sytuacji. Weszli do mieszkania, nagrali całe zdarzenie, wezwali policję. Uratowali chłopca. Był rok 2021.

Ekstremalne? Owszem.

Tragiczne. Ale te tragedie nie biorą się znikąd. Wynikają z wciąż powszechnego przyzwolenia na stosowanie kar fizycznych wobec dzieci.

Dziecko się nie obroni

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę (wcześniej Fundacja Dzieci Niczyje) po raz szósty przeprowadziła badanie na temat postaw wobec bicia dzieci. Eufemistycznie nazwano to „postawami wobec kar fizycznych i ich stosowania”. Okazało się, że 60% respondentów zetknęło się z sytuacją, w której dziecko było krzywdzone. Większość nie zareagowała.

Pocieszające jest jedynie to, że przyzwolenie Polaków na przemoc

wobec dzieci maleje. W 2010 r. tylko 34% badanych uważało, że bicie jako kara nigdy nie powinno mieć miejsca. Ten odsetek systematycznie rósł – 47% w 2013 r., 49% w roku 2017, by w tym roku osiągnąć 59%. To wciąż za mało, tym bardziej że inne zebrane przez fundację dane są niepokojące: 31% pytanych uważa, że w pewnych sytuacjach stosowanie kar fizycznych (klapsy, uderzenie, lanie) jest dopuszczalne, a 6%, że wręcz potrzebne i uzasadnione. Czyli można bić, jeśli rodzic uważa, że to działa.

Badaczki Katarzyna Makaruk i Katarzyna Drabarek zaznaczają jednak, że jest spora różnica między tym, co pytani deklarują, a tym, jak

postępują. 70% rodziców przynajmniej kilkukrotnie karmiło dzieci słownie, przy okazji stosując zakazy, nakazy i ograniczenia, a 39% więcej niż jeden raz stosowało kary cielesne, by zdyscyplinować dzieci. Najczęściej to klapsy – taki rodzaj kary stosuje 36% rodziców.

Te wyniki muszą zastanawiać. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę głośne medialnie sprawy, w których tragicznym skutkiem i obojętności na krzywdę dzieci, i zaniechań systemowych była śmierć brutalnie pobitych nieletnich. Z urazami głowy, zmasakrowanymi narządami wewnętrznymi, połamanymi rękami i nogami dzieci trafiały do szpitali, ale nie udało się ich uratować. Jeśli jednak popatrzymy szerzej, takie podejście do dzieci jako obywateli drugiej kategorii,

zdanych zupełnie na łaskę i niełaskę rodziców, jest w Polsce dość mocno zakorzenione. Nie tylko w języku, w którym są „gówniaki”, „bachory”, „kaszojady” ze swoimi „madkami” i „wózkowymi”, ale także w polityce.

– W naszym społeczeństwie ciągle jest wiele obaw związanych z reagowaniem w sytuacjach, gdy dziecko doświadcza przemocy ze strony rodziców lub opiekunów. Brak reakcji często wynika z przeświadczenia, że nie powinniśmy się wtrącać w prywatne sprawy rodziny. To nieprawda. Reagowanie na przemoc wobec dzieci to nasz społeczny obowiązek. Dzieci same nie potrafią się obronić. To rolę osób dorosłych jest ich ochrona – mówi ▶



► dr Monika Sajkowska, prezeska Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

Rzecznik od klapsów

W 2019 r. rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak powiedział w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej”: „Klaps nie zostawia wielkiego śladu. (...) Trzeba rozróżnić, czym jest klaps, a czym jest bicie”. Wspominał przy okazji – jak podkreślał – z „estymą”, że „dostał od ojca w tyłek”. Domagano się potem jego dymisji, Pawlak pozostał jednak na stanowisku. A stanowisko to, jak wynika z ustawy, zobowiązuje go do podejmowania działań na rzecz zapewnienia dziecku pełnego i harmonijnego rozwoju, z poszanowaniem jego godności i podmiotowości oraz ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem, demoralizacją, zaniedbaniem i innym złym traktowaniem (art. 3).

Klasy w owej zdefiniowanej w ustawie przemocy się nie mieszczą. Przynajmniej zdaniem rzecznika Pawlaka.

Nie ma więc co się dziwić, że prawie połowa Polek i Polaków nie wie, że stosowanie kar fizycznych jest zakazane prawem: 20% uważa, że w Polsce nie ma takich przepisów, a 23% w ogóle nie umie odpowiedzieć na takie pytanie. Łącznie to 43%.

Tymczasem, jak w 2020 r. przypomniał rzecznik praw obywatelskich dr Adam Bodnar, „zakaz bicia dzieci ma charakter absolutny, nie ma od niego żadnych wyjątków”. RPO interweniował w sprawie książki „Pasterz serca dziecka”, która promowała przemoc wobec dzieci jako metodę wychowawczą. Bodnar zwracał uwagę, że treści takie są sprzeczne ze standardami wynikającymi z konstytucji i z Europejskiej konwencji praw człowieka. W Polsce dodatkowo zakaz bicia wpisany jest do Ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie oraz Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Od 2010 r. jest w nich, na wniosek ówczesnego rzecznika praw dziecka, zakaz stosowania kar cielesnych (jakichkolwiek) wobec dzieci przez rodziców, opiekunów prawnych czy inne osoby sprawujące pieczę lub opiekę nad dzieckiem.

Mimo to, choć 50% badanych przez FDDS zakaz klapsów uznało za słuszny, aż 43% uważa, że klaps to metoda dyscyplinowania dzieci, która nie powinna być prawnie zabroniona.

„Bicie dziecka jest porażką dorosłego – jego przegraną z własną frustracją i świadectwem braku kompetencji wychowawczych”, mówił kilka lat temu Marek Michalak w Światowym Dniu Sprzeciwu wobec Bicia Dzieci. Dla wielu to wciąż nie jest oczywiste. Dlatego niezwykle ważne są takie inicjatywy jak kampanie Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę czy działających globalnie or-

Reaguj

Na stronie **REAGUJ.fdds.pl** można znaleźć konkretne informacje, jak reagować i gdzie szukać wsparcia. Są podane numery alarmowe: **112 i 997** oraz numer **800 100 100**, pod który także można zadzwonić, zgłosić przemoc i dowiedzieć się, co robić, by pomóc dziecku. Są też wzory pism do sądu rodzinnego, ośrodka pomocy społecznej oraz instrukcje, jak zawiadomić szkołę lub przedszkole o swoich podejrzeniach.

ganizacji, np. End Violence Against Children. Musi być jasne, że wszelkie przejawy przemocy fizycznej zaburzają rozwój dziecka.

Nie bądź obojętny

Światowa Organizacja Zdrowia za maltretowanie dziecka uważa „każde zamierzone lub niezamierzone działanie osoby dorosłej, społeczeństwa lub państwa, które ujemnie wpływa na zdrowie, rozwój fizyczny i psychiczny dziecka”. Wskazano różne kategorie maltretowania: bicie, gwałt i nadużycia seksualne, prześladowanie emocjonalne, głodzenie, zaniedbanie fizyczne i emocjonalne oraz zaniedbanie lecznicze. Autorzy tekstu w „Przeglądzie Pediatrycznym” podkreślają, że rozpoznanie zespołu dziecka maltretowanego stanowi wyzwanie nawet

dla doświadczonych pracowników służby zdrowia. Przypominają, że „krzywdzenie dziecka może doprowadzić do kalectwa fizycznego, upośledzenia umysłowego, zaburzeń psychicznych oraz emocjonalnych, a w najgorszym przypadku nawet do zgonu”. Dzieci, które doświadczają przemocy, są niespokojne, pobudzone, bywają agresywne, co wynika z braku zaufania do dorosłych i lęku przed nimi (przeglądpediatryczny.pl/a5356/Zespol-dziecka-maltretowanego.html).

Według raportu FDDS 38% świadków nie reaguje, kiedy słyszy, że dziecko jest karcone słownie, a 41%, kiedy stosuje się wobec niego przemoc fizyczną. Przy czym jedna czwarta przyznała, że nie zareagowała mimo oburzenia. I dlatego właśnie zorganizowano kampanię „REAGUJ na przemoc wobec dzieci”. Ma zachęcić dorosłych do działania w sytuacji, kiedy wiedzą, widzą lub podejrzewają, że dziecko jest ofiarą przemocy. Odbywa się ona w czasie, gdy – jak co roku w listopadzie – trwa światowa „Kampania 19 dni przeciwko przemocy i krzywdzeniu dzieci i młodzieży”.

– Zdajemy sobie sprawę, że bycie świadkiem przemocy może być trudnym doświadczeniem, że ludzie nie wiedzą, jak zareagować, lub brakuje im odwagi. W takich sytuacjach mogą sprawdzić możliwe sposoby reagowania na stronie REAGUJ.fdds.pl lub skorzystać z pomocy konsultantów telefonu w sprawie bezpieczeństwa dzieci 800 100 100. Telefon ten prowadzi nasza fundacja. Jest on bezpłatny, anonimowy, działa od poniedziałku do piątku w godz. 12.00-15.00, a w czwartek dodatkowo od godz. 16.30 do 20.30. Konsultanci nie podejmą wprowadzenia działania za osobę dzwoniącą, ale na pewno podpowiedzą, co może zrobić – mówi dr Sajkowska.

Przemoc nie zawsze ma tylko natychmiastowy skutek, często jej efekty są odroczone w czasie, ujawniają się później w niskiej samoocenie, trudnościach w relacjach, mniejszej umiejętności uczenia się czy większym prawdopodobieństwie zachowań agresywnych i autodestrukcyjnych. Dlatego reaguj. ■



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Moja piątka

Nie lubię komentować bieżącej polityki. Tym razem jednak nie wytrzymałem. Być może dlatego, że sprawa pośrednio dotyczy mojego miasta. Ma ono pecha, ponieważ nowy przywódca skrajnie prawicowej Konfederacji, Sławomir Mentzen, stąd właśnie pochodzi. A przecież nie ma w mieszkańcach tego pięknego miasta nic takiego, co uzasadniałoby przypuszczenie, że są oni zwolennikami skrajnej prawicy. Jednak na wszelki wypadek, aby coś złego do Torunia się nie przykleiło, muszę zadeklarować inną piątkę niż ta, z której zastąpił pan Mentzen. Przypomnę, że jego hasło brzmiało następująco: „Nie chcemy Żydów, gejów, aborcji, podatków i UE”. A oto moja piątka: „Chcemy Żydów, gejów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”. Wyjaśniam. Antysemityzm to rzecz haniebna i głupia. Haniebna, bo w obliczu Holocaustu trzeba być kimś niegodnym, aby obwiniać Żydów o całe zło tego świata. Jedyną ich winą było to, że istnieli. Ich cierpienia, w XX w. i wcześniej (pogromy), były zatem pozbawione jakiegokolwiek uzasadnienia moralnego. Antysemityzm to de facto opowiadanie się po stronie wszystkich oprawców tego narodu. Opowiadanie się po stronie zła. Głupie to, albowiem zwracanie się przeciwko jakiegokolwiek grupie etnicznej jako takiej, nadawanie jej jakiejś zbiorowej tożsamości, obdarzanie jakimś wyimaginowanymi cechami świadczy jedynie o ograniczoności umysłowej tych, którzy to robią. Oburzamy się słusznie na istnienie wielu krzywdzących nas stereotypów narodowych. Dlaczego więc tak ochoczo upowszechniamy bzdury na temat innych?

Co do gejów, to występowanie przeciwko nim jest moralnie podłe, a intelektualnie niemądre. Podłe, albowiem to atak na ludzi, którzy swojej orientacji nie wybierali, słusznie zatem traktują ją jako daną i niezależną od nich, a nadto mogącą służyć dobremu życiu tak samo jak orientacja heteroseksualna. Miłość to po prostu miłość, nieważne, czy jest homoseksualna, czy heteroseksualna. Niemądre zaś, ponieważ potępienie kogoś za coś, na co sam nie ma wpływu, to gest świadczący o kompletnym niezrozumieniu sprawy jednostkowej zasługi i winy. Równie dobrze można by potępiać ludzi za to, że są mali, tysi czy rudzi. Ten sam idiotyzm. Nie mówiąc już o tym, że „nie” dla gejów to także „nie” dla istotnej części kultury zachodniej. Trudno ją bowiem wyobrazić sobie bez homoseksualistów: Platona, Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Piotra Czajkowskiego czy Marcela Prousta.

Sprawa aborcji jest trudniejsza. Nie ulega jednak wątpliwości, że jej całkowity zakaz jest szkodliwy. Życie ludzkie jest bowiem często związane z dramatycznymi wyborami,

gdy trzeba zaakceptować to, co może budzić wątpliwości moralne, ale jest obroną przed czymś gorszym, przed tragedią. Zrozumienie tego faktu przyświecało tym, którzy określili kiedyś w Polsce ramy czegoś, co określało się kontrowersyjnym mianem kompromisu aborcyjnego. Bez względu na to, jak byśmy sprawę aborcji postrzegali, nie ulega wątpliwości, że kierowali się oni intencją moralną, za którą przemawiają istotne argumenty. Warto o nich pamiętać jako o punkcie wyjścia do dalszej dyskusji.

Podatki. Dopóki żyjemy w państwie, podatki są niezbędne. Możemy dyskutować o ich wysokości, ale nie o konieczności ich istnienia. Ktoś, kto mówi „nie” dla podatków, mówi de facto „nie” dla państwa. Powinien jednak zaproponować jakąś inną, przekonującą formę życia razem. Nie udało się to jak dotąd anarchistom różnej maści, a byli oni często nie lada myślicielami. Nie sądzę, aby udało się to szefowi Konfederacji. Zostawmy zatem podatki w spokoju. Zauważmy też, że tam, gdzie są wysokie, jak w krajach skandynawskich, najwyższa na świecie jest jakość życia. To powinno dać do myślenia anarchistom spod znaku polskiego poplibertarianizmu (korwinizmu).

Granie na narodowych sentymentach i resentymentach to niemądre poszukiwanie problemu tam, gdzie go nie ma.

Wreszcie Unia Europejska. Nasza do niej przynależność to najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się Polsce od kilkuset lat. Możemy dyskutować, czy Unia spełnia wszystkie pokładane w niej nadzieje, czy nie popełnia błędów. Pewnie nie spełnia nadziei i popełnia błędy. Wszak nic na tym padole też nie jest doskonałe. Jednak Unia to wielka szansa dla całej Europy – potwierdzenia jedności ponad narodowymi podziałami. W moim przekonaniu im tej jedności więcej, tym lepiej. Dlatego opowiadam się za tym, aby Unia była ściślej zintegrowana, tym bardziej że narodowym tożsamościom nic nie zagraża. Są zbyt ugruntowane i trwają zbyt długo (ale nie tak długo, jak wyobrażają sobie nacjonaliści), aby twór taki jak Unia mógł tutaj coś zmienić. Dlatego obawy, że tożsamość europejska wejdzie na miejsce tożsamości polskiej, są wysane z palca. Granie na narodowych sentymentach i resentymentach to nic innego jak kolejne niemądre poszukiwanie problemu tam, gdzie go nie ma. Nadto niebezpieczne. Naród to cenna wspólnota, ale – jak pokazuje historia – warto utrzymywać jej wewnętrzną temperaturę na umiarkowanym poziomie. Inaczej może to skończyć się źle. Atakiem na wyimaginowanych obcych wśród nas i wykreowanego wroga na zewnątrz. Katastrofą. ■

8 miliardów Ziemi

Dłużej żyjemy, ale zaczyna nas ubywać

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Według wyliczeń ONZ 15 listopada ma się urodzić ośmiomiliardowy człowiek. Czy mamy powody do świętowania? Demografowie Paul i Anne Ehrlichowie pisali w 1972 r., że każdy człowiek pozyskujący narzędzia konieczne do egzystencji ma negatywny wpływ netto na otoczenie. To sugeruje, że każde kolejne narodziny niszczą planetę.

– Przyrost demograficzny na świecie jest kwestią nie ostatnich 50, ale setek lat. Ten przyrost był dużo szybszy w latach 60. i 70. XX w., a teraz wyhamowuje. W szczytowym okresie, czyli w latach 1965-1970, liczba ludności świata rosła w tempie 2% rocznie, obecnie to mniej niż 1%.

Dziś trochę ścigamy się z czasem pod względem ograniczania wzrostu demograficznego i naszego dalszego wpływu na klimat. Jeżeli warunki środowiska naturalnego zaczną być niestabilne, to wszystkie prognozy naukowe, które wskazują jednak na to, że wzrost demograficzny zostanie zahamowany, będą jeszcze bardziej pesymistyczne. To znaczy, że poprzez zmiany klimatyczne będziemy odczuwać negatywny wpływ dotychczasowej działalności człowieka na rozwój naszej cywilizacji i naszego gatunku. Ale przynajmniej pod względem demograficznym wyraźnie widać, że zachodzą dalekosiężne zmiany po stronie spadku płodności.

Czy w takim razie wraz ze zmianami klimatycznymi czeka nas wielka wędrówka ludów, tak często przywoływana przez ekologów i aktywistów?

– O tym dużo się mówi i nie bez powodu to coraz modniejszy kierunek badań naukowych również wśród demografów. Trzeba się spodziewać, że presja migracyjna z krajów najbardziej dotkniętych katastrofami naturalnymi będzie rosła i tak naprawdę już teraz widzimy tego



**DR HAB.
AGNIESZKA FIHEL**

– demografka

zwiastuny – jesteśmy taką europejską twierdzą, do której ludzie próbują się dostać na zwykłych łódeczkach. Te obrazki będą nam towarzyszyć w przyszłości coraz częściej. Presji migracyjnej należy się spodziewać przede wszystkim z krajów afrykańskich. Nie tylko dlatego, że jest tam największy przyrost demograficzny, ale też dlatego, że właśnie tam ludzie najdotkliwiej odczuwają skutki ocieplania się klimatu.

Czy Europa da radę wchłonąć tych wszystkich migrantów? A może czeka nas era nowych wojen?

– Tutaj trzeba powiedzieć, że te migracje w dużej mierze cały czas trwają i to jest może zaskakujące z perspektywy Europejczyków, ale one odbywają się głównie w obrębie krajów rozwijających się, wewnątrz kontynentów – Afryki czy Azji. Natomiast będzie coraz więcej migracji do krajów wysokorozwiniętych. I oczywiście nie jesteśmy w stanie przyjąć całej tej biedy i tego ludzkiego nieszczęścia w naszych krajach. Jest to niemożliwe, dlatego ważne są, po pierwsze, działania na rzecz zrównoważonego rozwoju na całym świecie. Po drugie, sprzyjanie poprawie sytuacji krajów rozwijających się, z których ludzie migrują. Chodzi tutaj nie tylko o promowanie ekologii czy odpowiednich źródeł energii, ale także o rozwój edukacji, demokracji i o budowanie instytucji obywatelskich.

A jak migracje wpływają na państwa, z których ludzie wyjeżdżają?

– To bardzo złożone zagadnienie. Jeśli bierzemy pod uwagę kraje najbiedniejsze, można wyróżnić dwa typy migrantów, skrajnie się różniące. Przede wszystkim wyjeżdżają ci, którzy mogą sobie na to pozwolić, czyli w dużej mierze elity. To przeważnie ludzie, którzy migrują, aby się kształcić, lub już są wykształceni. Drugą grupę stanowią ludzie najbiedniejsi, na których wyjazd często złożyła się cała wioska czy duża rodzina. Taki wyjazd to inwestycja, bo ten emigrant przysyła potem jakieś pieniądze, z których rodzina lub cała społeczność może korzystać. Emigracja osób z wyższym wykształceniem albo kształcących się

Dr hab. Agnieszka Fihel pracuje jako adiunkt w Ośrodku Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego. Jej zainteresowania badawcze obejmują współczesne procesy ludnościowe, w tym migracje międzynarodowe z i do Polski oraz zmiany w umieralności w krajach postkomunistycznych. Publikacje zaś dotyczą przede wszystkim migracji międzynarodowych z nowych krajów członkowskich UE.

nie sprzyja rozwojowi państw, z których ludzie ci wyjeżdżają, bo oni nie chcą wracać.

A jak jest z dzietnością kobiet?

Jakie czynniki ją kształtują?

Prof. Magdalena Środa w rozmowie z naszym tygodnikiem wskazywała, że kobiety chętniej rodzą w krajach, w których mają pełnię praw. Jednak właśnie w tych krajach dzietność spada.

– W krajach wysokorozwiniętych, np. europejskich, bardzo trudno stymuluje się płodność wszelkiego rodzaju polityką rodzinną. Gdy jednak wyciągniemy średnią ze strategii tych krajów, dowiemy się, że płodność jest wyższa tam, gdzie umożliwia się kobietom łączenie pracy zawodowej z opieką nad dziećmi. Paradoksalnie te kraje, które są najbardziej konserwatywne i nastawione na rodzinę, nie wprowadzają tego typu ułatwień i wciąż spychają kobiety do tradycyjnej, domowej

i spadek ten najbardziej trwały jest właśnie tam, gdzie poprawiał się status społeczny i ekonomiczny kobiet. Dlatego np. mamy bardzo duży i szybki spadek płodności w krajach Ameryki Południowej, a znacznie wolniejszy w krajach afrykańskich, gdzie status kobiety społecznie

Jakich?

– Na przykład organizacji przez państwo opieki nad osobami starszymi. Do tego dochodzi reorganizacja gospodarki. I tutaj mamy cały wachlarz rzeczy do zrobienia, od emerytur po finansowanie ochrony zdrowia, poprzez taki niedoceniany

Spadek liczby ludności w krajach wysokorozwiniętych nie jest problemem samym w sobie. Jest nim starzenie się społeczeństwa.

i ekonomicznie pozostaje niski. Tam właśnie płodność jest cały czas powyżej czwórki dzieci na kobietę. Wracając do pytania, odpowiem przewrotnie, że spadek liczby ludności w krajach wysokorozwiniętych nie jest pod żadnym względem problemem samym w sobie. Problemem jest starzenie się społeczeństwa, czyli moment, w którym spadek liczby ludności wynika z niskiej dzietności

często czynnik jak to, że społeczeństwa stare są społeczeństwami zachowawczymi, a więc mało innowacyjnymi i mało przedsiębiorczymi. **Pozostaje jeszcze pytanie, kto zajmie się osobami starszymi, kiedy wszyscy w społeczeństwie się zestarzeją.**

– Właśnie. Takie społeczeństwa w dalszym ciągu w tym okresie przejściowym, bo myślę, że w pewnym momencie system jakoś zacznie się dostosowywać, potrzebując dopływu młodych ludzi na rynek pracy. Osób, które będą podejmować te prace, których nikt nie chce wykonywać, np. opiekunów osób starszych. W tym sensie będziemy potrzebować stałego dopływu takich ludzi. I to będą osoby z zagranicy, z krajów rozwijających się. Widać to ▶

W szczytowym okresie, w latach 1965-1970, liczba ludności świata rosła w tempie 2% rocznie, obecnie to mniej niż 1%.

roli. To m.in. Włochy, Polska, Hiszpania. I tam płodność jest najniższa. To też przypadek krajów dalekiej Azji, np. Korei Południowej czy Japonii, w których kobieta aktywna zawodowo po urodzeniu dziecka rzadko wraca do pracy. W Korei Południowej rejestrowany jest najniższy współczynnik dzietności ogólnej i wynosi poniżej jednego dziecka na kobietę. To są wartości niespotykane w historii człowieka. I jest to absolutnie nowa sytuacja dla demografów. **Według raportu ONZ o przyszłości naszego gatunku zadecyduje właśnie to, jak żyje się kobietom. W wielu krajach zaczęły zdobywać wykształcenie i mają lepszy dostęp do rynku pracy, co wpływa na spadek dzietności. W 1950 r. przeciętnie kobieta rodziła pięcioro dzieci. Dziś ten współczynnik wynosi 2,3. A to już blisko 2,1, czyli tzw. współczynnika zastępowalności pokoleń. Mamy więc czym się przejmować?**

– Rzeczywiście płodność w krajach rozwijających się spadała najprędzej

i w konsekwencji zestarzenia się demograficznego społeczeństwa. I ta kwestia wymaga bardzo istotnych dostosowań systemu społecznego.

Masz problem ze znalezieniem PRZEGLĄDU w kiosku?

Zamów prenumeratę pocztową na **rok 2023**

Jeden egzemplarz w prenumeracie tylko **7,50 zł!**

Zamówienie można składać do **25 listopada 2022 r.**

97,50 zł – I kwartał 195,00 zł – I półrocze 390,00 zł – cały rok



- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl

► zresztą świetnie na przykładzie Polski, w której przemiany zaszyły dużo szybciej niż w krajach Europy Zachodniej. Bardzo szybko zaczęliśmy tracić ludność w wyniku emigracji akcesyjnej i w wyniku spadku płodności, który trwa nieprzerwanie od końca lat 80. I widać teraz dokładnie, jak duże wywołuje to napięcia na rynku pracy i niedobory w pewnych sektorach gospodarki.

Przedstawiciele jakich zawodów nam brakuje?

– Wszędzie kogoś brakuje, m.in. w ochronie zdrowia, w opiece nad osobami starszymi, ale również nad dziećmi, a także w zawodach mniej kwalifikowanych, takich jak

budownictwo i rolnictwo. Skąd się wzięły te uproszczone procedury zatrudniania Ukraińców, Białorusinów czy Gruzinów? Otóż nagle zupełnie zabrakło ludzi do pracy sezonowej albo przy innych pracach rolniczych. Wspomniane przemiany zaszyły bardzo gwałtownie, dlatego tak potrzebna jest aktywna polityka państwa.

Czyli już zasysamy siłą roboczą od sąsiadów.

– No tak, tylko że od razu pojawia się kolejne pytanie: a co na to Ukraina czy Białoruś? Kiedyś wojna się skończy, a te państwa zostaną

wydrenowane z zawodów, które są dla nich równie ważne jak dla nas.

Jak długo trwa adaptacja imigrantów? Ile to może być pokoleń?

– Przez adaptację rozumiemy pełne korzystanie z życia społecznego

Presji migracyjnej należy się spodziewać przede wszystkim z krajów afrykańskich.

i gospodarczego, pełną integrację na rynku pracy, polityczną i społeczną. To wszystko zależy od wielu czynników geograficznych, kulturowych, językowych, a przede wszystkim od kapitału ludzkiego. Osoby lepiej wykształcone szybciej nabierają kompetencji językowych i adaptują się na nowym rynku pracy. Wtedy adaptacja trwa zaledwie kilka lat. To też zależy od kulturowej i językowej bliskości krajów. Proszę zobaczyć, jak szybko adaptowali się Ukraińcy, którzy przyjeżdżali do Polski jeszcze przed wojną z zamiarem osiedlenia się. Ale są migranci z daleka albo z odmiennym kapitałem kulturowym, którym nie umożliwiono łatwej integracji, np. spychając ich do gett imigranckich, gdzie ta adaptacja nie następuje nawet w następnym pokoleniu.

Ile więc przed nami lat, zanim sytuacja migracyjna się unormuje?

– Oczywiście to zależy, ale spojrzmy jeszcze raz na tych imigrantów z Ukrainy, którzy przyjeżdżali do Polski przed wojną. To były osoby, które przyjeżdżały z zamiarem podejmowania pracy okresowej i mieszkaly po kilka miesięcy w jednym i drugim kraju, pracując legalnie i płacąc w Polsce podatki. Ale była także coraz większa grupa osób, które przyjeżdżały do Polski z zamiarem osiedlenia się. Często studenci, ale i dorośli. Zaadaptowanie się zajmowało im od trzech do pięciu lat. Co z tego, że mówili z lekkim akcentem, jeżeli mówili płynnie po polsku? Co z tego, że urodzili się poza Polską, jeżeli obejmowali wysokospecjalistyczne stanowiska wymagające wykształcenia? I była to dla nas wymarzona grupa imigrantów, ponieważ oni praktycznie od razu się adaptowali.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

WYDAWNICTWO ISKRY POLECA

Ludwik Stomma

Polskie złudzenia narodowe

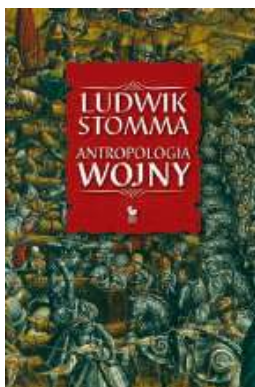
Z typowym dla siebie dystansem autor demaskuje mity i niedorzeczności z historii Polski. Nie boi się tematów uważanych za niemal święte, jak releta Ordona, wiktoria wiedeńska, Monte Cassino, powstanie warszawskie. Porusza sprawy drażliwe – problem polskiego ogólnonarodowego pijaństwa, państwa bez stosów czy kultu jednostki, ale też Marca '68.



Ludwik Stomma

Antropologia wojny

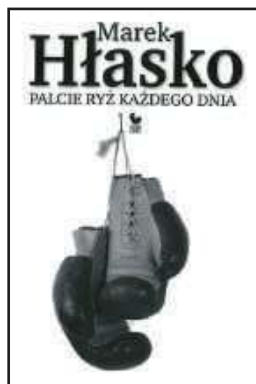
Książka ukazuje dzieje i miejsce konfliktów zbrojnych w historii ludzkości. Przyglądamy się wojnom, które niszczą państwa i narody, równocześnie tworząc systemy myślenia o potencjalnych przeciwnikach lub sojusznikach, rozwijają technologię, tworzą oceny i wartości obowiązujące przez lata.



Marek Hłasko

Palcie ryż każdego dnia

Obraz Kalifornii daleki od zachwyty: to kraina bezduszna, bezlitosna dla tych, którym los nie sprzyja, nieoferująca żadnej szansy na sukces. Rozgoryczony amerykańską porażką Hłasko nie odnalazł po drugiej stronie Atlantyku ziemi obiecaniej, lecz kolejną wielką samotność.



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Niepodległość jako hasło, idea i cel polityczny wydaje mi się obecnie w ogromnej mierze pozbawiona znaczenia, jest historycznym fenomenem, pomysłem z XIX w. na organizację życia dużych społeczności (tzw. narodów, cokolwiek to słowo dziś znaczy). Dzisiaj jest do niczego nieprzydatnym archaizmem, wartością konserwującą nieistniejące albo marginalne problemy, jest zamrażarką pomysłów na uratowanie lub lepsze urządzenie świata. Mamy wiek XXI. Moja niechęć do niepodległości na sztandarach („Ale wszyscy się zgadzamy, że odzyskanie niepodległości jest ważne, ważniejsze, najważniejsze...” – no, nie wszyscy) nie wynika wyłącznie z reakcji na polską, odstręcającą obrzędowość polityczną, idącą w coraz bardziej prawicowo-faszystowskie strony. Cała ta operacja na pamięci historycznej, w której na „ojca” niepodległości Polski wypchnięto jedną z najbardziej

Wiek XX krok po kroku rozprawiał się z mitem samowystarczalności i dobrych warunków rozwoju gwarantowanych przez niepodległość. Po roku 1918, a szczególnie po 1945, świat mimo obecności imperialnych dyrygentów przypominał coraz bardziej sieć naczyń połączonych, o nieogarnialnej wielości połączeń gospodarczych, ekonomicznych, kulturowych. Wszystko to zostało zbudowane na fundamencie uchwalonej w 1948 r. Powszechnej deklaracji praw człowieka jako podstawy działania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Rzecz jasna, hierarchie państw nie zniknęły, ale świat, próbując się otrząsnąć albo nawet czegoś nauczyć z lekcji morderczego wieku XX, zwrócił się w stronę praw uniwersalnych, powszechnych i interesu całej ludzkości, a nie jej pojedynczych aktorów. Ostatni akt ważności idei niepodległości wybrzmiał jeszcze raz z mocą, kiedy w latach 60. ubiegłego wieku Afryka

Niepodległość nic nieznacząca

koszmarnych figur polskiej polityki, Romana Dmowskiego, równocześnie nie oddając minimum sprawiedliwości tej części polskiej lewicy (głównie PPS), która własnym życiem, krwią i wolnością o niepodległość walczyła, gdy Dmowski takim zaangażowaniem gardził i w tym samym czasie chciał zostać postem rosyjskiej Dumy – to jedno z największych kuriozów i przekłamań historii najnowszej.

Ale sprawa konieczności zdetronizowania niepodległości w tzw. świadomości zbiorowej ma dużo głębsze i poważniejsze przyczyny niż harce endekoidalne polskiej klasy politycznej i historyków. Niepodległość jako cecha konstytutywna, oczekiwana, wymarzona przyszłego państwa polskiego była tylko jedną z odpowiedzi politycznych na krytyczne diagnozy świata XIX-wiecznego. Inną była choćby rewolucja społeczna, socjalistyczna czy komunistyczna. Jest wam źle, bo rządzą wami inni: Niemcy, Rosjanie, carowie, cesarze, królowie. Ale jak już Polacy będą rządzić Polakami – to będzie raj albo choć dobrze. I tak się nie stało. Niepodległość jako konsekwencja zwycięskiej idei państwa narodowego, zrodzona w wieku XIX, nie zdała próby wieku XX. Za wielką, potworną wojnę światową (1914-1945) odpowiadał właśnie koncept państw narodowych, ich partykularyzmów tworzonych wedle niejasnych kryteriów przynależności do wspólnoty. Wizja państwa narodowego obrodziła szowinizmami, rasizmami, w końcu *last but not least* Zagładą europejskich Żydów. Wielkie systemowe zmiany w życiu ludzi mieszkających i żyjących na terenach Polski przychodziły z zewnątrz, albo w prostej relacji od zaborców (zniesienie pańszczyzny), albo od strony krajów lepiej rozwiniętych (uprzemysłowienie). O kanalizacji nawet nie mówmy.

i Azja zrywały pęta dawnego kolonializmu, przygotowując grunt pod ten aktualny – zglobalizowany, anonimowy, dziś już cyfrowy. Państwo narodowe i jego niepodległość nie są remedium na żadne z kluczowych wyzwań XXI w. Fetysz niepodległości maskuje jedynie prawdziwy rozkład sił, przemocy, wyzysku i globalnego kapitału.

Realną polityczną potęgę stanowią dziś wspólnoty państw, powiązane głównie interesem ekonomicznym, bezpieczeństwem i w jakiejś mierze kulturą, która stanowi bardzo szeroką platformę identyfikacji. Żadne państwo nie jest w stanie samo rozwiązać najpoważniejszych problemów własnych i współczesności. Nawet jeśli jest wyspą, to nie jest samotną wyspą.

W kwestii katastrofy klimatycznej, kryzysu energetycznego, finansowego, żywnościowego, problemu końca pracy – żadna i niczyja „niepodległość” nie może podać recepty na ratunek, może co najwyżej być słabszym hamulcem zmian.

W świecie cyfrowego, globalnego kapitalizmu i inwigilacji jak nigdy dotąd ludzkość jest realną wspólnotą interesów i obrony przed zagrożeniami. A sieci podległości i zależności, które nas krępują, nie mają jednego języka, jednej narodowości, jednej waluty, jednej nazwy.

Myśląc o przyszłości świata jako takiego oraz nas, ludzi, musimy jak najszybciej odłożyć ten polityczny pomysł do muzeum, tylko tam jest jego uzasadnione, choć dyskusyjne miejsce.

Niepodległość, która i tak jest iluzją, nawet jeśli wydaje się nam, że istnieje, jest przygodą nierokującą, jest nieadekwatną odpowiedzią na podstawowe pytania, jakie stoją przed nami – ludźmi. ■

A mury rosną, rosną, rosną...

W 1945 r. na świecie było pięć granicznych murów. Dziś jest ich 15... razy więcej

Marcin Ogdowski

Gdy latem minionego roku zaczął się kryzys migracyjny, wielu rodaków ze zdumieniem odkryło, że Polska ma niezabezpieczone granice z Białorusią i Rosją. „Przecież to nieprzyjazne nam państwa”, dziwiono się. Nieprzyjazne, czyli stwarzające potencjalne zagrożenie – na takim gruncie bazowało potoczne przekonanie o roli zapór granicznych, którym przypisywano przede wszystkim funkcje militarne. Tymczasem takie postrzeganie sprawy jest naiwne. Wyobraźmy sobie konfrontację wojskowego sprzętu – wielotonowej masy i armat – z elementami płotu, który ostatecznie powstał na polsko-białoruskiej granicy. Owszem, stanowi on wyzwanie dla człowieka, ale czołg poradzi sobie z nim bez problemu.

System głęboko urzutowany

Dzisiaj jest już dla nas oczywiste, że mury na granicy – niezależnie od użytego budulca (druku żyłekowego, metalowych żerdzi czy betonowych prefabrykatów) – nie mają zatrzymać i wykrwawić przeciwnika. Słynne budowle – Wielki Mur Chiński, Wał Hadriana, mury Konstantynopola czy Babilonu – powstały w realiach przedartyleryjnych, gdy mobilność wojska ograniczały możliwości koni. Koncepty z czasów nam bliższych, Linia Maginota czy Wał Atlantycki, mierzyły się z wyzwaniami wojny przeniesionej również w powietrze – dającej np. możliwość zrucenia wojska na tyłach wroga. Wówczas mobilność wyznaczały pojazdy

mechaniczne zdolne do pokonywania niedostępnych niegdyś terenów. Fortyfikacje graniczne można było zniszczyć lub obejść, po II wojnie światowej wydawało się zatem, że nadszedł ich kres. Najnowsze zmagania na Wschodzie pokazują, że wcale tak być nie musi. Fortyfikacje powstałe po 2014 r. na tzw. linii rozgraniczenia między Ukrainą a separatystycznymi republikami – de facto będącej granicą – miesiącami hamowały postępy rosyjskich wojsk, na Doniecku do dziś nie pozwoliły Rosjanom ruszyć z miejsca. Tyle że to nie jest mur (płot, zaporę), lecz zbudowany z rozmachem system, jak mówią wojskowi, „głęboko urzutowany” – szeroki, z kilkoma liniami umocnień.

W tym kontekście wyjątkowo żąłosna wydaje się stawiana właśnie zaporę na granicy RP z obwodem kaliningradzkim. Zwoje rozpiętego na słupkach drutu kolczastego mają jednak inny cel. Jak wyjaśniał niedawno Mariusz Błaszczak, chodzi o powstrzymanie nielegalnych imigrantów. Rząd obawia się

Z 77 granicznych zapór niemal połowa (37) znajduje się w Azji, ale aż 18 – plus kilka w budowie – ulokowanych jest w Europie.

powtórki wydarzeń z granicy z Białorusią – tym razem inspirowanej bezpośrednio przez Moskwę presji migracyjnej, z wykorzystaniem Boga ducha winnych uchodźców z Bliskiego Wschodu i Azji. Trudno powiedzieć, czy władza PiS antycypuje zagrożenie, czy je wyolbrzymia – na razie nic nie wskazuje, że nadchodzą poważne kłopoty. Niewykluczone, że mamy do czynienia z działaniami

z zakresu marketingu politycznego (komunikatem typu: „Patrzcie, tak troszczymy się o wasze bezpieczeństwo”), których docelową formą będzie znacznie trwalsza, solidniejsza instalacja.

Płoty dzielą sojuszników

Kolejny płot wywołał oburzenie działaczy ekologicznych, gdyż bariery dzielące ekosystemy zaburzają życie miejscowej fauny, a często nawet je odbierają. Głównie jednak

protestują osoby zaangażowane w ochronę praw człowieka. Niezależnie od tego, jak głośny to będzie protest – i jak zasadny – nie przełoży się na działania potępiające Polskę. Brutalna rzeczywistość jest bowiem taka, że mury wznoszone z inicjatywy rządów rosną dziś na całym świecie. W 1945 r. było ich zaledwie pięć. Gdy kończyła się zimna wojna – 12. Obecnie



Na wykonanie 187-kilometrowej zapory oddzielającej Polskę od Białorusi rząd przeznaczył 1,6 mld zł.

do sąsiada w poszukiwaniu lepszego życia. Płot stawiany po to, by ograniczyć nielegalną migrację, traci więc rację bytu. Nie słychać jednak, by Delhi zamierzało zrezygnować z dokończenia budowy.

Przykład z Azji pozwala przejść do kwestii kosztów i skuteczności granicznych murów. Na wykonanie 187-kilometrowej zapory oddzielającej Polskę od Białorusi rząd przeznaczył 1,6 mld zł, w tym 300 mln na tzw. perymetrię (zabezpieczenie elektroniczne). Fizycznie płot już stoi, a Straż Graniczna raportuje, że w październiku br. odnotowała 2,5 tys. prób nielegalnego przekroczenia polsko-białoruskiej granicy. Siedem razy mniej niż w analogicznym miesiącu zeszłego roku, ale naiwnością byłoby założyć, że to wyłącznie „efekt płotu”. Zapora – a wcześniej zdecydowana reakcja

funkcjonuje 77 granicznych zapór, a co najmniej kilkanaście jest w trakcie budowy. Niemal połowa (37) znajduje się w Azji, ale aż 18 (plus kilka w budowie) ulokowanych jest w Europie. Większość powstała w odpowiedzi na rosnącą migrację z krajów biednego Południa. Przez siedem ostatnich lat wzniesiono na kontynencie ponad 1000 km antyimigranckich zapór.

Płoty dzielą sojuszników, np. Węgry i Chorwację, Bułgarię i Turcję (Grecję i Turcję również, ale kraje te – mimo członkostwa w NATO – trudno nazwać sojusznikami). I być może z tego właśnie powodu nie są tak spektakularne jak zapora w Ceucie i Melilli, afrykańskich terytoriach zależnych Hiszpanii. To dwa równoległe sześciometrowe płoty, między którymi znajduje się droga patrolowa, zwieńczone drutem ostrzowym i naszpikowane środkami nadzoru elektronicznego.

Choć ich widok może budzić respekt, rozmachem ustępują murowi budowanemu przez USA na granicy z Meksykiem. Projekt realizowany od czasów George’a Busha jr., najkrzykliwiej hołubiony przez Donalda

Przez siedem ostatnich lat wzniesiono w Europie ponad 1000 km antyimigranckich zapór.

Trumpa (który sporo o nim mówił, lecz niewiele w jego sprawie robił), nie ma jednorodnej postaci. Na niektórych odcinkach jest „niegroźnym” trzymetrowym płotem, na innych metalową zaporą wysoką na 9 m, solidnie zakotwiczoną w ziemi. Docelowo ma stanąć na całej, długiej na 3,3 tys. km amerykańsko-meksykańskiej granicy.

Profesjonalizacja przemytu

Niewiele mniejsze ambicje, jeśli mierzyć je w kilometrach, mają Indie, od lat usiłujące się odгородzić od Bangladeszu. Tu do zbudowania jest niemal 3,2 tys. km i choć dotąd wydano 2,5 mld dol., a pierwotnie zakładano ukończenie inwestycji w 2009 r., kresu nie widać. Tymczasem „po drodze” zmieniła się sytuacja obu krajów. Bangladesz ma obecnie jedną z najdynamiczniej rozwijających się gospodarek, a jego mieszkańcy nie muszą już uciekać

władz RP – bez wątpienia wpłynęły na zaniechanie przez Białoruś procederu sprowadzania uchodźców i przepychania ich przez naszą granicę. Ale istotnych zmiennych może być więcej, jak choćby wojna w Ukrainie. Bliskie sąsiedztwo konfliktu zbrojnego i obawa, że może on się przenieść do krajów tranzytu, zapewne działają odstraszaюще na potencjalnych imigrantów.

Abstrahując od polskich doświadczeń, regułą jest, że zamknięcie jakiegoś szlaku skutkuje zwykle otwarciem kolejnego, w innym miejscu. Mur na granicy z Meksykiem zmniejszył nielegalną imigrację do Stanów tylko o 20% (a są badania, wedle których niekontrolowany napływ zmalał zaledwie o 5%). Jedno jest pewne – płoty sprzyjają profesjonalizacji przemytu ludzi, czyniąc go bardziej opłacalnym. Brak alternatywnych rozwiązań (patrz z pozycji migranta) zwiększa również stopień kryminalizacji proceduru. ▶

► Z drugiej strony mamy oczekiwania tych po „właściwej” stronie muru. Gdy rok temu podjęto decyzję o budowie zapory na granicy z Białorusią, pomysł poparło aż 57,2% Polaków (sondaż SW Research dla „Rzeczpospolitej” z listopada 2021 r.). Zaledwie 19,3% ankietowanych odpowiedziało „nie”, 23,5% respondentów nie miało na ten temat zdania. I oczywiście można te wyniki rzucić na karb poprzedzającej badania wielotygodniowej kampanii antyimigranckiej prowadzonej przez rząd PiS, w której powielano najbardziej obrzydliwe, dehumanizujące stereotypy – dość przypomnieć słynną „zoofilską konferencję prasową” szefów MON i MSW. Tyle że nie będzie to cała prawda.

Antyteza pierwotnej idei

Ta zaś jest gorzka i w gruncie rzeczy banalna – boimy się obcego. Nie tylko Polacy, ale generalnie ludzie. Potrafimy pielęgnować ów lęk, nawet jeśli ostatecznie wynika z niego – i z podjętych działań zaradczych – więcej złego niż dobrego.

Prof. Jacek Gądecki, socjolog z Wydziału Humanistycznego

krakowskiej AGH, przywołuje fenomen żydowskiego getta. – XVI-wieczni weneccy Żydzi dobrowolnie zamknęli się w jednej z dzielnic – opowiada. – Tak chcieli przeciwdziałać zagrożeniom czyhającym w świecie gojów i cieszyć się wolnością w obrębie własnej wspólnoty. Z biegiem lat wybór stał się koniecznością, a getto antytezą pierwotnej idei: zamiast chronić mieszkańców, zmieniło się w ich więzienie.

Jacek Gądecki specjalizuje się w antropologii miasta, badał m.in. fenomen polskich osiedli grodzonych, które wyrastały jak grzyby po deszczu w latach 90. i na początku pierwszej dekady XXI w. Za ich popularność odpowiadało wiele czynników, np. kwestie statusowe – mieszkanie „na zamkniętym” nobilitowało.

– Istotna była też potrzeba bezpieczeństwa – mówi naukowiec. – Zarówno fizycznego, jak i symbolicznego, związanego z byciem między „równymi sobie”, „zasobnymi estetami”, najogólniej rzecz ujmując. Z czasem jednak tych osiedli powstało tak wiele, że straciły atut wyjątkowości. Z bezpieczeństwem także bywało różnie. Płot i brama

utrudniały dojazd karetkom i straży, pojawiły się grupy przestępcze wyspecjalizowane w rabunku „na zamkniętych”. A i sąsiedzi okazali się na tyle różnorodni, że często nie dało się stworzyć dobrze funkcjonującej wspólnoty. W efekcie już od kilkunastu lat obserwujemy odwrót od praktyki grodzienia osiedli.

Wróćmy teraz na poziom makro. – Bogata Północ usiłuje się odseparować od biednego Południa – generalizuje ideę granicznych płotów prof. Gądecki. – Czy mury je dają, czy nie, to już inna kwestia, ale na najgłębszym poziomie znów idzie o poczucie szeroko rozumianego bezpieczeństwa.

Czy te mury okażą się równie nieefektywne jak płoty polskich osiedli? Z pewnością nie – tak długo, jak długo Południe pozostanie biedne. A obecnie trudno sobie wyobrazić wiarygodny scenariusz szybkiego wzbogacenia się biedniejszej części globu. Co przywodzi nas do wniosku, że zapory na granicach mają przed sobą przyszłość. Niestety...

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Najstynniejsze mury historyczne

Wielki Mur Chiński – budowany od III w. p.n.e., na długości 8,85 tys. km, z czego 6,25 tys. km to mur właściwy, resztę stanowią naturalne zapory.

Wał Hadriana – powstał między 121 a 129 r. n.e. Wybudowany przez Rzymian, by oddzielić rzymską część Brytanii od terytoriów zajętych przez Piktów. Nazwę zawdzięcza cesarzowi Hadrianowi. Ciągnął się na długości 117 km.

Mur Aureliana – budowany w latach 272-282 n.e., w czasie panowania cesarza Aureliana. Miał ochronić Rzym przed najazdami plemion barbarzyńskich. W jego obrębie znalazło się każde ze słynnych siedmiu rzymskich wzgórz.

Mury Konstantynopola – system fortyfikacji okalających stolicę Cesarstwa Wschodniorzymskiego zaczęto wznosić w V w. n.e. Na setki lat uczyniły one Konstantynopol niezdobytą twierdzą, która padła dopiero w 1453 r.

Mur berliński – w 1989 r. najbardziej zaawansowana „instalacja separacyjna” na świecie. Wzniesiony w 1961 r., by oddzielić wschodni sektor miasta od zachodnich, przez kolejne 28 lat był systematycznie rozbudowywany i modernizowany. Długi na 156 km. Podczas prób jego pokonania zginęło od 190 do 268 osób.

Współczesne instalacje graniczne (niewspomniane w tekście)

Wał Zachodniosaharyjski – wzniesiony w latach 80. przez Maroko na granicy z Saharą Zachodnią (dawną kolonią hiszpańską, obecnie będącą terytorium o nieustalonym statusie międzynarodowym). Ma 2,5 tys. km.

Mur antyimigracyjny na granicy Chin i Korei Północnej – powstał w 2006 r., jego długość to 1,4 tys. km.

Mur na granicy Turcji i Syrii – betonowa konstrukcja o wysokości 3 m i długości 900 km, powstała z inicjatywy Ankary w 2017 r. Warto dodać, że Turcy chcieliby stworzyć na pograniczu syryjskim 30-kilometrowy „pas bezpieczeństwa”. W tym celu przeprowadzono kilka operacji wojskowych, które zakończyły się umiarkowanymi sukcesami.

Mur bezpieczeństwa – rozdziela Izrael i Autonomię Palestyńską. Jego budowę rozpoczęto w 2002 r., w reakcji na II intifadę. Docelowa długość – 700 km.

Zielona linia – powstała jako instalacja wojskowa pod zarządem ONZ w 1974 r., oddzielając grecką część Cypru od tureckiej. Ma 300 km.

Koreańska Strefa Zdemilitaryzowana – funkcjonuje od 1953 r. na mocy porozumienia z Panmunjom. Rozcina Półwysep Koreański pasem o szerokości 4 km i długości 238 km, przebiegającym (w przybliżeniu) wzdłuż 38. równoleżnika. W KSZ znajduje się największe na świecie pole minowe.

Mateusz Mazzini

Choć wybory w Stanach Zjednoczonych często wywołują wstrząsy na całej planecie, rzadko dzieje się to w środku kadencji prezydenckiej. Wybory połówkowe, w których wymienia się całą Izbę Reprezentantów, jedną trzecią senatorów i część władz stanowych, dotychczas emocjonowały wyłącznie znawców tematu i hobbystów prognoz politycznych, którzy na skomplikowanym systemie wyborczym USA mogą ćwiczyć swoje narzędzia statystyczne i hipotezy. Tym razem listopadowe wybory śledził cały świat. Nie tylko z powodu wojny w Ukrainie, globalnego kryzysu energetycznego i recesji, która za chwilę wybuchnie, chwytając podstawami zglobalizowanego świata. Pod wieloma względami te wybory były rodzajem referendum na temat amerykańskiej demokracji i wizji państwa. I sprawdzianem tezy, że jednej Ameryki już nie ma.

Walka o duszę kraju

W chwili oddawania do druku tego numeru PRZEGLĄDU republikanie byli niemal pewni przejęcia kontroli nad Izbą Reprezentantów. Interaktywne narzędzie do analizowania wyników wyborów „New York Timesa” przypisywało im 213 mandatów „pewnych lub bardzo wysoce prawdopodobnych”, przy 206 padających łupem demokratów i dziesięciu okręgach jeszcze nierozstrzygniętych. To żadna niespodzianka, na taki wynik wskazywała zarówno historyczna statystyka, jak i większość modeli analitycznych. Portal FiveThirtyEight, specjalizujący

Republikanie nie przepuszczą żadnej okazji zablokowania inicjatyw Bidena.

się w prognozach statystycznych dla polityki i sportu, przeprowadził w listopadzie 40 tys. symulacji wyborów połówkowych. Prawdopodobieństwo zdobycia przez republikanów większości w Izbie Reprezentantów ocenił na 86%.

Ameryka podzielona jak nigdy wcześniej

Republikanie przejmują kontrolę nad Izbą Reprezentantów, demokraci raczej utrzymają Senat



Wybory połówkowe, 8 listopada 2022 r.

Senat to już inna bajka. Tu wybory są często znacznie bardziej polaryzujące, trudniej też jest nimi sterować, np. za pomocą przerysowywania map wyborczych przez upartyjnione

lata mniej więcej jedna trzecia izby poddawana jest wyborczemu testowi. W tym roku starć senatorskich było 35. I ponieważ tu głosuje już cały stan, wybory przyjmują de facto formę referendum nad przyszłością bieżącej władzy federalnej.

Ktokolwiek rządzi w Białym Domu, z reguły wybory połówkowe przegrywa, nawet jeśli dwa lata później udaje mu się odnowić mandat. A wobec tego, że przed głosowaniem 8 listopada siły w Senacie rozkładały się idealnie po równo, demokraci zaś rządili w nim jedynie dzięki przerywającej pat osobie wiceprezydent Kamali Harris, traktowanie ▶

► tych wyborów jako walki o duszę Ameryki i przyszłość tamtejszej demokracji nie wydawało się wcale przesadzone.

Rywalizacja o kontrolę w Senacie miała być znacznie bardziej zacięta – i była. Najprawdopodobniej wygra ją demokracja, którzy przy okazji powiększą swój stan posiadania co najmniej o jeden mandat. To akurat wynik dość niespodziewany, Five-ThirtyEight dawał im 44% szans na zdobycie większości. Nie ziściły się zatem scenariusze skrajne. Ani te dla liberałów optymistyczne, w których inflacja nie okazuje się decydującym czynnikiem wpływającym na preferencje wyborcze i to rozniewani cofnięciem wyroku Roe kontra Wade progresywni wyborcy szturmują urny, zyskując przewagę liczebną nad konserwatystami i wynosząc demokratów do władzy w obu izbach. Ani te wieszczące katastrofę, w których przez Stany przetacza się

tyle wpływającego na preferencje wyborcze, ile mobilizującego do samego udziału w głosowaniu. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Northwestern University, przed uchynieniem konstytucyjnej ochrony dla prawa do przerywania ciąży zaledwie 8% ankietowanych wskazywało prawa reprodukcyjne jako czynnik, którym będą się kierować przy wyborze kandydata w listopadowych wyborach. Przez wakacje odsetek ten wzrósł aż do 19%, jesienią stabilizując się w okolicach 14-15%. Zaostrzenie prawa okazało się dla republikanów strzałem w stopę, nie tylko w wyborach do Senatu. Kwestia dostępu do tego zabiegu zeszła o poziom niżej w drabinie amerykańskiej polityki, jest teraz kompetencją stanową. Dlatego momentalnie większego znaczenia nabrały wybory na gubernatorów, przeprowadzane w tym roku aż w 36 z 50 stanów. Skoro bowiem to

jeden z najbardziej wpływowych polityków partii i ważny sojusznik Donalda Trumpa, Lindsey Graham, nie ma raczej szans, na pewno nie przy braku większości w Senacie. Natomiast Lombardo już w kampanii zapowiadał, że opowie się za zaostrzeniem przepisów dotyczących praw reprodukcyjnych. Wysoce prawdopodobne jest więc, że demokraci poniosą porażkę w stanie ważnym z punktu widzenia całego kraju.

Gdzie indziej jednak poszło im znacznie lepiej. Spektakularny sukces odnieśli w Pensylwanii – John Fetterman pokonał Mehmeta Oza w wyścigu o miejsce w Senacie, a Josh Shapiro wygrał z Dougiem Mastrianem rywalizację o stanowisko gubernatora. Obaj republikańscy kandydaci startowali tu z poparciem Donalda Trumpa, obaj byli też kontrowersyjni. Oz to kardiochirurg celebryta, z dużą rozpoznawalnością, ale niewielkim doświadczeniem politycznym, z kolei Mastriano w kampanii wyborczej zastąpił przede wszystkim jako otwarty antysemita. Trzy lata temu wziął udział w filmie instrumentalizującym Holocaust do celów politycznych, a własną rywalizację wyborczą zakończył parodią „Skrzypka na dachu” na jednym z wieców, wyszydając w ten sposób żydowskie korzenie kandydata demokratów.

Mastriano jest chrześcijańskim fundamentalistą, który oddzielenie władzy świeckiej od religijnej uważa za zamach na tradycyjne amerykańskie wartości. Ostatecznie przegrał, choć 42% głosów to wynik wciąż znaczący.

Jeszcze ważniejsze było zwycięstwo Fettermana, byłego wojskowego, który w maju przeszedł udar, lecz wrócił do kampanii pomimo znaczących uszczerbków na zdrowiu, wpływających na płynność mowy w czasie wystąpień publicznych. Zrobił z tego jednak atut, idąc do Senatu pod hasłem reprezentowania wszystkich, którzy w życiu na różne sposoby upadali. Oz, prowadzący kampanię niespecjalnie konkretną, stojący gdzieś pomiędzy republikańskimi tradycjonalistami a frakcją Donalda Trumpa, próbował przekonać

W sondażach wyborcy republikanów jako najważniejsze kwestie wskazywali inflację, gospodarkę, przestępczość oraz imigrację. Demokraci – katastrofę klimatyczną, rasizm i aborcję.

„czerwona fala”, nazwana tak od koloru Great Old Party, GOP, jak często mówi się o republikanach. W tej prognozie prawica przejmowała kontrolę nad obiema izbami, wprowadzając totalną obstrukcję administracji Bidena, kwestionując jego legitymację do rządzenia i torując Donaldowi Trumpowi drogę do kolejnej kadencji w Białym Domu.

Oznacza to, że nowy Kongres, który rozpocznie urzędowanie 1 stycznia, będzie dokładnie taki jak amerykańskie społeczeństwo: głęboko podzielony.

A tymczasem w Nevadzie

Analizę wyników tych wyborów warto zacząć od strony republikańskiej. Dlaczego nie udało jej się zwycięstwo totalne? I czy brak większości w Senacie może być rzeczywiście uznawany za porażkę? Po pierwsze, prawica nie doceniła siły aborcji jako tematu nie

oni będą decydować w dużej mierze o przyszłości aborcji w danym stanie, progresywiści zmobilizowali się również przeciwko republikańskim kandydatom na te stanowiska.

Doskonałym dowodem wagi problemu były wybory w Nevadzie, dla wielu papierek lakmusowy obecnego stanu amerykańskiej polityki. W chwili oddawania tego tekstu do druku ani wybory do Senatu, ani wyścig gubernatorski nie były jeszcze rozstrzygnięte. Przy 77% policzonych głosów przewagę w obu starciach mieli republikanie. Adam Laxalt nieznacznie prowadził z Catherine Cortez Masto, a Joe Lombardo był niemal pewien zostania nowym gubernatorem, z ponad 5 pkt proc. przewagi nad Steve'em Sisolakiem. W tej chwili aborcja w Nevadzie jest legalna do 25. tygodnia ciąży, jednak przy podwójnej wiktoryi republikanów od stycznia może to się zmienić. Na federalny zakaz aborcji po 12. tygodniu, którego domagał się

wyborców, że Fetterman jest niezdolny do sprawowania władzy, ale niewielu mu uwierzyło. Być może dlatego, że, jak przypomniat „Washington Post”, medyczne dokonania dr. Oza zostały zakwestionowane już w 2003 r.

Trumpowskie nominacje nie przyniosły GOP sukcesów nie tylko w Pensylwanii. W walce o senacki mandat z Georgii lekką przewagę ma Raphael Warnock, czarnoskóry pastor z Ebenezer Baptist Church, tej samej wspólnoty, w której kapłanem był Martin Luther King. Ponieważ jednak ani on, ani jego rywal – były zawodowy gracz futbolu amerykańskiego Herschel J. Walker – nie przebił granicy 50% głosów, konieczna jest dogrywka 6 grudnia. To i tak więcej, niż zakładali demokraci, bo większość sondaży dawała minimalną przewagę Walkerowi. Jego 12 pełnych sezonów w lidze NFL zapewniło mu sporą rozpoznawalność, lecz w polityce był nowicjuszem. Nie przeszkadzało mu to wygłaszać tyleż zdecydowanych, co absurdalnych poglądów, jak chociażby o chińskim planie zastąpienia czystego amerykańskiego powietrza zanieczyszczonym powietrzem z Chin. Walker twierdził, że na prawdziwość tej tezy ma dowody, a Chińczycy trują Amerykanów od lat. Z punktu widzenia elektoratu republikańskiego znacznie ważniejszy był jednak fakt, że eksfutbolista pozostawał całkowicie lojalny wobec Trumpa i otwarcie kwestionował wyniki wyborów prezydenckich z 2020 r.

Wzmożenie Trumpa

I to być może najważniejsze z podskórnych zjawisk, jakie miały miejsce w ubiegłotygodniowych wyborach. Łącznie we wszystkich głosowaniach zwyciężyło 78 republikańskich nominatów, którzy odmawiają uznania władzy Joego Bidena. Niektórzy, np. George Santos ze stanu Nowy Jork czy Anna Paulina Luna z Florydy, zasiądą od stycznia w Izbie Reprezentantów. Najprawdopodobniej przepadli wprawdzie najbardziej radykalni trumpiści, tacy jak Mark Finchem, kandydat na sekretarza stanu w Arizonie (5 pkt proc. straty przy

dwóch trzecich przeliczonych głosów), który nie tylko kwestionował wyniki wyborów, ale i uczestniczył w szturmie na Kapitol z 6 stycznia ub.r. – lecz to marne pocieszenie.

W tegorocznych wyborach półtowkowych do głównego nurtu amerykańskiej polityki wpuszczona została armia ludzi gotowych podważyć fundamenty tamtejszej demokracji, niezależność jej instytucji. A przez to ponownie wpuścić na salony Donalda Trumpa.

Zaostrzenie prawa aborcyjnego okazało się dla republikanów strzałem w stopę, nie tylko w wyborach do Senatu.

Były prezydent już zapowiedział, że 15 listopada przekaże wyborcom ważną wiadomość. Nie ma wątpliwości, że będzie to oficjalne ogłoszenie jego startu w kolejnych wyborach prezydenckich. Bez względu na to, jak ostatecznie rozłożą się głosy w obu izbach, Trump obróci to głosowanie we własny sukces. Nie partyjny, ale osobisty. Tam, gdzie wygrali popierani przez niego kandydaci, jak chociażby nowy senator z Ohio, autor „Elegii dla bidoków”, J.D. Vance, Trump przypisze sobie zasługi. W przypadku porażek – Oza, Mastriana, zapewne też Walkera – podkreśli, że byli oni zbyt dalecy od jego programu, za bardzo zbliżeni do republikańskiego centrum, tzw. *never trumpers*. Być może więc GOP nie wygrała tych wyborów w całości, ale Trump jak najbardziej.

A demokraci? Z jednej strony, mogą się cieszyć powstrzymaniem „czerwonej fali”. Z drugiej, wiadomo już, że kolejne dwa lata rządów bieżącej administracji będą naznaczone permanentną obstrukcją. Republikanie nie przepuszczą żadnej okazji, żeby zablokować inicjatywy Bidena. On sam będzie jednym z aż trzech aktorów amerykańskiej polityki, którzy będą regularnie stosować weto wobec przeciwników ideologicznych. Drugim będzie Senat, kasujący pomysły republikanów. Trzecim – Freedom Caucus, frakcja najbardziej radykalnych prawicowych członków Izby Reprezentantów. To w tym trójkacie rozstrzygnie się przyszłość

Ameryki na najbliższe dwa lata. Przyszłość, która naznaczona będzie przede wszystkim decyzyjnym paraliżem.

Zajęty sobą rząd federalny to ostatnia rzecz, której Amerykanie dzisiaj potrzebują. Społeczeństwo jest podzielone jak nigdy. W przedwyborczych sondażach (Northwestern i Emerson College) wyborcy republikanów jako najważniejsze dla nich kwestie wskazywali inflację, gospodarkę, przestępczość oraz

imigrację. Demokraci – katastrofę klimatyczną, rasizm i aborcję, czyli tematy, które u republikanów nie pojawiały się w ogóle. Oznacza to, że kilkadziesiąt milionów wyborców nie znajdzie żadnego odzwierciedlenia swoich postulatów we władzy kontrolującej przynajmniej jedną z izb kongresu. Stoń, symbol Partii Republikańskiej, wszedł z całą siłą na Kapitol. Przy okazji prawie zmiażdżył amerykańską demokrację.

Mateusz Mazzini

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Najstynniejszy romans homoseksualny w Prawie i Sprawiedliwości.



Bracia Kowalczykowie ciągle górą

Odmiany opolskiego patriotyzmu

Jan Cofatka

Pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE w 2018 i 2020 r. o specyficznym rozumieniu patriotyzmu przez obecne władze województwa opolskiego, zdominowane przez PiS i mniejszość niemiecką. Lata 2019-2021 wiązały się z obchodami 100. rocznicy trzech powstań śląskich, dzięki którym powracająca na mapy świata Polska zyskała znaczącą część przemysłowego Śląska. Przy okazji wspomnieliśmy o skandalicznym czasowym zamknięciu w trakcie tych obchodów Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny, gdy ówczesna dyrektorka Muzeum Śląska Opolskiego dr hab. Monika Ożóg,

w Starych Siołkowicach odstonięto ów pomnik, a 30 lat później ks. Arnold Drechsler, Ślązak opcji niemieckiej, dyrektor Caritasu diecezji opolskiej, ponoć w trosce, aby popiersia nie uszkodzono podczas remontu szpitala, doprowadził do pozbycia się tego kłopotliwego dla mniejszości niemieckiej upamiętnienia. Od 2006 r. prof. Adriana Dawid z Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego, autorka biografii rodziny Kośnych, podejmowała starania o powrót pomnika, niestety bez efektu. Pisowskie władze zwodzą także radną Miejskiej Rady Narodowej w Opolu Urszulę Zajączkowską, była wieloletnią dyrektorką Muzeum Śląska Opolskiego, która proponuje postawienie pomnika przy ulicy dr. Kośnego w Opolu.

Ks. Arnold Drechsler, dyrektor Caritasu diecezji opolskiej, doprowadził do pozbycia się w Starych Siołkowicach pomnika dr. Augustyna Kośnego, lekarza, śląskiego powstańca, zamordowanego przez gestapo.

której podlegało Muzeum Czynu Powstańczego, wpisała się w nową politykę historyczną, stawiającą ponad powstańcami śląskimi „żołnierzy wyklętych” oraz „bohaterów walki o wolną i niepodległą Polskę”. Ci drudzy to Jerzy i Ryszard Kowalczykowie, którzy 6 października 1971 r. wysadzili aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu – pierwszej polskiej uczelni na Śląsku Opolskim.

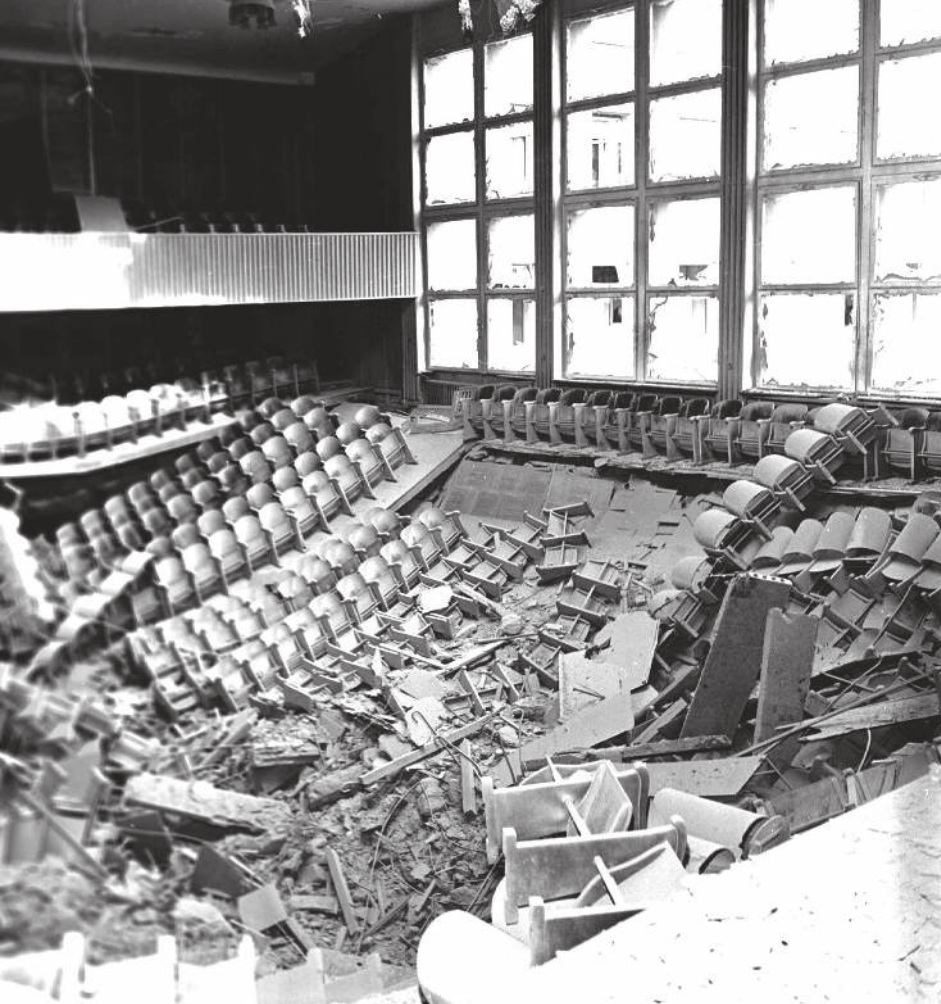
Zapytaliśmy też o los pomnika dr. Augustyna Kośnego, lekarza, śląskiego powstańca, wybitnego działacza plebiscytowego, a potem Związku Polaków w Niemczech, zamordowanego przez gestapo 25 lipca 1939 r. w Berlinie. W 1974 r. przed szpitalem

Minęły rocznice powstań śląskich, mija również 100-lecie powstania Związku Polaków w Niemczech, który na kongresie 6 marca 1938 r. w Berlinie, pod nosem Hitlera, uchwalił Pięć Prawd Polaków w Niemczech, z prawdą pierwszą: JESTEŚMY POLAKAMI, a pomnik dr. Augustyna Kośnego leży gdzieś w magazynie, bo patriotyzm tego wielokrotnie aresztowanego i w końcu zamordowanego bojownika, domagającego się włączenia Śląska do Polski, jest dla dzisiejszych patriotów z PiS mniej wart niż wyczyn braci Kowalczyków, których postanowiono wykreować na prekursorów walki z komunizmem na ziemi opolskiej.

Wyciągnięty z kadrowego kapelusza PiS po wyborach w 2015 r. wojewoda opolski Adrian Czubak próbował nawet – o czym też pisaliśmy – dekomunizować niekomunistów i pomnik Czynu Powstańczego autorstwa Xawerego Dunikowskiego na Górze św. Anny. Po otrzymaniu nominacji wojewoda Czubak, wykazując się wielkim zapałem, najpiękniejszą Złotą Salę w urzędzie wojewódzkim nazwał imieniem Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, a sali herbowej nadał imię Lecha Kaczyńskiego i zapowiedział konkurs na pomnik braci Kowalczyków przed urzędem. Zdołał również przemianować ulicę Obrońców Stalingradu w Opolu na ul. Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, a zmarłego w 2017 r. starszego z braci, Ryszarda, pochował z wielkimi honorami w alei zasłużonych na cmentarzu w Opolu-Półwsi (w której nie znaleziono miejsca dla najwybitniejszego poety, syna tej ziemi, autora wspaniałych wierszy o Śląsku i Ślązakach – Jana Goczoła).

Po śmierci Ryszarda Kowalczyka znany opozycjonista, historyk dr Zbigniew Bereszyński, autor trytomowej „Rewolucji Solidarności w województwie opolskim”, przypomniał, że Ryszard w Zakładzie Karnym w Barczewie, w którym odbywał karę za współudział w wysadzeniu auli WSP, został zwerbowany do sieci agenturalnej Departamentu III MSW jako TW „Seep” i współpracował z nią do 1989 r. Jego nazwisko znalazło się na ogłoszonej w 2005 r. liście Wildsteina.

Wojewoda Czubak dał Bereszyńskiemu odpór na konferencji prasowej, w czasie której nazwał go niby-naukowcem, a całą kampanię uznał za właściwym politykom PiS



Wybuch niemal całkowicie zniszczył aulę, magazyn książek z cennymi starodrukami, archiwum oraz bufet z salą jadalną.

tupetem za „niegodziwą, niemoralną i bezprzedmiotową”.

Przed 50-leciem obchodów wysadzenia auli pojawiły się ustalenia innych historyków związane z braćmi Kowalczykami oraz legendami i mitami, jakimi z czasem obrosło to wydarzenie. Najbardziej pogłębionej analizy przyczyn, przebiegu i skutków tej akcji dokonał prof. Krzysztof Tarka, członek Komitetu Nauk Historycznych PAN. Swoje ustalenia przedstawił on w czasie spotkania zorganizowanego przez IPN 21 października 2021 r. z okazji 50. rocznicy wysadzenia auli WSP.

Zasadnicze ustalenia prof. Tarki przedstawiają się następująco: urodzony w 1937 r. Ryszard Kowalczyk i młodszy o pięć lat Jerzy pochodzili ze wsi Rząśnik koło Wyszkowa w województwie mazowieckim i od najmłodszych lat interesowali się materiałami wybuchowymi. Na początku lat 60. w okolicach rodzinnej wsi znaleźli kilka bomb lotniczych

i pocisków artyleryjskich, które zakopali w lesie.

W 1958 r. Ryszard wyjechał studiować w WSP w Opolu i po ukończeniu w 1963 r. fizyki pozostał na uczelni. Ożenił się, miał córkę i ustabilizowany tryb życia, z perspektywą pomyślnej kariery naukowej. Należał do PZPR. Na początku 1966 r. ściągnął do Opola młodszego brata, który nie miał nawet ukończonej szkoły zawodowej (posługiwał się – jak później się okazało – sfalszowanym świadectwem zawodówki w Białej Podlaskiej), ale był tzw. złotą rączką, więc znalazł zatrudnienie w warsztatach Wydziału Fizyki WSP. Mieszkał na stacjach, w akademikach, a przez kilka miesięcy nocował nawet w piwnicy należącej do brata. Dopiero gdy Ryszard otrzymał trzypokojowe mieszkanie, odstąpił mu w nim jeden pokój. Jerzy był typem samotnika i odludka z kompleksem niskiego wzrostu. Dlatego fascynował go Napoleon.

Marzył, aby, wzorując się na nim, dokonać czegoś wielkiego. Z czasem skojarzyło mu się to z wysadzeniem znaczącego obiektu. Pamiętał o zakopanych w rodzinnych stronach bombach i pociskach, które w czasie pobytów u rodziców próbował odnaleźć. Pożyczył nawet od znajomego wykrywacz min, ale ten okazał się niesprawny. Dlatego sam, z niewielką pomocą brata, skonstruował urządzenie, które pomogło mu latem 1970 r. trafić na zakopane niewypały. Użytkany z nich trotyl wsypywał do worków po nawozach sztucznych, które ukrył w pobliżu stacji kolejowej Dalekie, skąd odjeżdżał pociąg do Warszawy. W listopadzie 1970 r. w trzy kolejne niedziele jeździł w rodzinne strony i za każdym razem przywoził do Opola jeden 40-kilogramowy worek trotylu. W czwartą niedzielę, w pralni bloku, w którym mieszkał u brata, przetopił trotyl i uformował go w kostki, aby łatwiej było je umieszczać w miejscu wybuchu. Doskonale znał budynek WSP, w którym znajdowała się aula. Jako złota rączka mógł dotrzeć wszędzie, nie wzbudzając podejrzeń, a także dorobić sobie klucze do różnych pomieszczeń i krat. Na początku grudnia 1970 r. w nocy przeniósł potajemnie cztery pierwsze kostki trotylu do budynku WSP i umieścił je w kanale centralnego ogrzewania pod aulą. Zastanawiał się, czy posiadany materiał wybuchowy wystarczy do wysadzenia auli. Stosowne obliczenia pomógł mu wykonać brat. Jerzy po kilku przymiarkach skonstruował zapalnik i urządzenie opóźniające wybuch. Brat przyniósł mu z pracy elektromagnes potrzebny do tego urządzenia oraz chlorek potasu do zapalnika. W końcu czerwca 1971 r. Jerzy miał gotowy zapalnik z urządzeniem opóźniającym, tak aby wybuch mógł nastąpić po 15 minutach od uruchomienia zapalników.

Jerzy nie planował konkretnego terminu wysadzenia auli, która jako największa sala w mieście była wynajmowana na różne imprezy. Odbywały się w niej m.in. akademie, a nawet pierwsze – co pamiętam – Maratony Kabaretowe w czasie opolskich festiwali piosenki.

► Zamierzeniem Jerzego było wysadzić ją w przededniu szczególnie ważnej uroczystości o charakterze politycznym, aby towarzyszył temu jak największy rozgłos. Myślał o konferencji sprawozdawczo-wyborczej KW PZPR z udziałem przewodniczącego Rady Państwa Józefa Cyrankiewicza, lecz odwiódł go od tego zamiaru Ryszard, szykujący się w tym czasie do obrony pracy doktorskiej. Potem Jerzy przysięgał się do Święta Odrodzenia Polski 22 lipca, lecz z tej okazji nie odbywały się w auli żadne uroczystości. Także wrześniowe dożynki z udziałem Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza odbyły się na stadionie Odry, a nie w przygotowanej do wysadzenia auli.

Wysadzenie auli WSP w spokojnym dotąd Opolu wywołało szok i mnóstwo domysłów oraz plotek. Od razu też rozpoczęło się prowadzone na wielką skalę śledztwo mające ustalić sprawców. Nadano mu najwyższy priorytet. W jego trakcie przesłuchano kilkaset osób. W pierwszej kolejności o sprawstwo posądzano Ślązaków, głównie tych, którym odmówiono paszportów na wyjazd do Niemiec. Z czasem podejrzewano nawet, że to bufetowa chciała ukryć manko albo że pracownice księgozbioru miały w ten sposób zataić nielegalne wyprawienie starodruków.

Ustalenia prof. Tarki zdecydowanie obalają funkcjonującą do dziś legendę, jakoby wybuch wiązał się

dotarły informacje z Wyszkowa o ich wcześniejszych zainteresowaniach materiałami wybuchowymi. Wtedy do akcji włączono tajną współpracowniczkę SB – TW „Kasię”, 21-letnią kosmetyczkę z opolskiej Estrady. Udało jej się zdobyć zaufanie Jerzego i po wspólnym kilkudniowym pobycie w Karpaczu uzyskała informacje, które upewniły śledczych, że miał on związek z wybuchem. Tyle że wciąż brakowało twardych dowodów, bo śledczy nie wierzyli, że Jerzy mógł sam skonstruować taki ładunek wybuchowy. 29 lutego 1972 r. postanowiono tymczasowo aresztować braci i przewieźć ich do Warszawy, gdzie zajęli się nimi śledczy z MSW. Po miesiącu niemal codziennych przesłuchań Jerzy przyznał się do wysadzenia auli, Ryszard zaś ujawnił, że wiedział o planach brata i go wspierał. Zeznania ich poróżniły, gdyż Jerzy uznał, że brat za bardzo go obwiniął, a nawet zeznał, że Jerzy chciał wysadzić aulę z ludźmi, od czego skutecznie go odwiódł. W czasie procesu to zeznanie odwołał.

Sąd Wojewódzki w Opolu 8 września 1972 r. skazał Jerzego na karę śmierci, a Ryszarda na 25 lat więzienia. W grudniu 1972 r. Sąd Najwyższy ten wyrok podtrzymał.

Surowość wyroku wywołała akcję wysyłania listów i zbierania podpisów pod petycją do Rady Państwa o jego zmianę. Podpisali się pod nią m.in. Marian Brandys, Jacek Kuroń, Jan Józef Lipski, Adam Michnik, Jan Olszewski, Antoni Słonimski. W rezultacie Rada Państwa PRL 21 stycznia 1973 r. zmieniła Jerzemu wyrok śmierci na 25 lat więzienia.

Sprawa więźniów politycznych, w tym ułaskawienia Kowalczyków, powróciła w sierpniu 1980 r., w trakcie negocjacji władzy z Solidarnością. W maju 1981 r. o złagodzenie im wyroku wystąpiła do Rady Państwa grupa wybitnych osobistości, m.in. Aleksander Gieysztor, Jerzy Szacki, Klemens Szaniawski, Kazimierz Dejmek, Stanisław Lem i Wisława Szymborska. W rezultacie tych starań Ryszard Kowalczyk został w sierpniu 1983 r. ułaskawiony z zawieszeniem kary na pięć lat i po 11 latach wyszedł na wolność. Jerzy opuścił więzienie dwa lata później.

Wyciągnięty z kadrowego kapelusza PiS wojewoda opolski Adrian Czubak Złotą Salę w urzędzie wojewódzkim nazwał imieniem Jerzego i Ryszarda Kowalczyków i zapowiedział konkurs na ich pomnik.

W końcu Jerzy zdecydował się wysadzić aulę w przeddzień Święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, obchodzonego 7 października. Krótko po północy 6 października 1971 r. wyszedł z mieszkania brata i po sprawdzeniu, czy w gmachu WSP nie palą się światła (Ryszard wymusił na nim przyrzeczenie, że wybuch nie pociągnie za sobą ofiar w ludziach), wszedł do budynku od strony wentylatorni i dotarł do damskiej ubikacji w pobliżu warsztatów Katedry Fizyki. Tam bowiem umieścił końcówkę przewodu połączoną z urządzeniem odpalającym. Podłączył baterię do przewodu, co uruchomiło zapłon. Urządzenie odpalające jednak nie zadziało, jak należy, i do eksplozji doszło już po pięciu minutach. Zdenerwowanemu Jerzemu nie udało się wyciągnąć całego przewodu elektrycznego, co pozwoliło śledczym ustalić miejsce odpalenia ładunku.

Wybuch niemal całkowicie zniszczył aulę, magazyn książek z cennymi starodrukami, archiwum oraz bufet z przylegającą salą jadalną. Szkody oceniono na 4 mln zł.

z mającą się odbyć w auli 7 października 1971 r. akademią z okazji Święta Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, podczas której miały zostać wręczone odznaczenia za pacyfikację demonstracji ulicznych w grudniu 1970 r. w Szczecinie. Takiej akademii i tym samym wręczania odznaczeń za strzelanie do szczecińskich robotników w auli WSP w tym dniu w ogóle nie planowano. Najbliższą imprezą miała być inauguracja roku akademickiego 9 października 1971 r. Ta jednak niecierpliwemu piromanowi z kompleksem Napoleona do jego planów nie pasowała. Wybrał więc wybuch przed świętem MO i SB, który obudowano następnie rozpowszechnianym do dziś mitem o proteście przeciwko wydarzeniom grudnia 1970 r. Miało to nobilitować Jerzego Kowalczyka, zrobić z niego „pierwszego żołnierza antykomunizmu” w Opolu i służyć obronie braci, gdy zostali ujęci, a później skazani.

Na razie uczestniczyli wraz z innymi pracownikami uczelni w odgruzowywaniu auli. W kręgu podejrzanych znaleźli się dopiero 11 stycznia 1972 r., gdy do śledczych

Po wyjściu na wolność bracia nie utrzymywali kontaktów. W końcu lat 80. Ryszard wrócił do pracy naukowej w Opolu, Jerzy zaś zamieszkał samotnie w rodzinnych stronach w barakowozie na torfowiskach nad Narwią, gdzie mieszka do dziś.

W 1993 r. prezydent Lech Wałęsa przywrócił braciom prawa obywatelskie. Uruchomiona została też procedura kasacyjna w Sądzie Najwyższym, najpierw z inicjatywy Zbigniewa Romaszewskiego, potem Lecha Kaczyńskiego, wówczas ministra sprawiedliwości, który w ostatnim dniu urzędowania, 8 czerwca 2001 r., podpisał wniosek o kasację wyroku Kowalczyków, wskazując polityczne powody ich skazania. Wspominał jednak również o „skłonnościach piromaniakalnych” braci, co przyczyniło się do odrzucenia wniosku przez Sąd Najwyższy. Za to bracia jako „Bohaterowie Walki o Wolną i Niepodległą Polskę” z inicjatywy Anny Walentynowicz i Andrzeja Gwiazdy zostali uhonorowani w 2010 r. tablicą na ścianie pamięci przy pomniku Poległych Stoczniovców w Gdańsku.

Kiedy wydawało się, że na tym kończy się celebrowanie ich wyczynu, wróciło ono ze zdwojoną siłą w Opolu po wyborach w 2015 r. Gorliwym wykonawcą nowego odczytywania historii

państwa umieszczono zaś w radzie nadzorczej Grupy Azoty ZAK SA.

Nowy wojewoda, były absolwent historii opolskiej WSP z 1988 r., nie zważając na ustalenia historyków w sprawie braci Kowalczyków, uroczystie uczcił ich czyn w 50. rocznicę wysadzenia auli. Natomiast w 51. rocznicę, 6 października 2022 r., już o godz. 7.45 pognął złożyć kwiaty i zapalić znicz na grobie pochowanego w alei zasłużonych Ryszarda Kowalczyka, by następnie z przedstawicielami Stowarzyszenia Pamięci Narodowej oraz IPN uczcić

Znany opozycjonista, historyk dr Zbigniew Bereszyński, przypomniał, że Ryszard został w Zakładzie Karnym w Barczewie zwerbowany jako TW „Seep”.

wyczyn braci pod tablicą im poświęconą w urzędzie wojewódzkim. W czasie tej uroczystości wojewoda Sławomir Kłosowski z całą powagą dowodził: „Czyn braci (choć aulę wysadził Jerzy – przyp. aut.) był donośnym wyrazem tego, że także w Opolu nie ma zgody na komunizm w Polsce”. Przy okazji – jak przystało na byłego wiceministra edukacji i kuratora oświaty – wyraził nadzieję, że „ich postaci i historia trafią do szkolnych podręczników i programów”.

Wyniesiony z domu rodzinnego patriotyzm i nienawiść do narzuconego Polsce komunistycznego systemu nie pozwoliły braciom godzić się na krzywdę i kłamstwa”.

W najnowszym numerze „Indeksu”, czasopisma Uniwersytetu Opolskiego, w którym wcześniej opublikowano ustalenia prof. Krzysztofa Tarki, przeczytałem opinię jednego z obywateli Opolszczyzny, z którym trudno się nie zgodzić, znając pracowitość i gospodarczą zapobiegliwość jej mieszkańców, że „Śląsk Opolski jest naszą narodową

perłą”. Powrócił też do miasta neon „Witamy w stolicy polskiej piosenki” widniejący do 1990 r. na dachu hotelu Opole. Dziś jego replika znalazła miejsce przed Muzeum Polskiej Piosenki, a współczesna duża wersja usytuowana została na budynku Centrum Przesiadkowego Opole Główne.

Nie udało się więc Jackowi Kurkiewiczowi jako prezesowi Telewizji Polskiej przerobić Opola na stolicę disco polo. Tym bardziej nie musi ono za sprawą dzisiejszych patriotów i wyczynu pewnego piromana stać się prekursorem polskiego antykomunizmu. Wysadzenie auli nie może być przepustką do historii i do podręczników szkolnych, jak chce wojewoda opolski Sławomir Kłosowski.

Odnotujemy na koniec radośniejszy fakt. Oto grupa dziennikarzy „Nowej Trybuny Opolskiej”, z jej byłym naczelnym Krzysztofem Zyzikiem i czołowymi publicystami Krzysztofem Ogioldą i Bogusławem Mrukotem, którzy zdolali się zwolnić po wykupieniu na polecenie PiS prasy terenowej przez PKN Orlen, założyła niezależny tygodnik „O!Polska”. Miejmy nadzieję, że będzie on leczyć z głupoty, jaką prawie codziennie próbują wciskać zdroworozsądkowym obywatelom Opola czołowi harcownicy Ziobry.

Jan Cofatka

Ustalenia prof. Krzysztofa Tarki obalają legendę, jakoby wybuch wiązał się z mającą się odbyć akademią z okazji święta MO i SB. Takiej akademii w auli WSP w tym dniu w ogóle nie planowano.

lansowanego przez jego czołowych opolskich wyznawców i inicjatorów, postów Patryka Jakiego i Janusza Kowalskiego, uczyniono wojewodę Adriana Czubaka. W marcu 2021 r. zastąpił go na fotelu wojewody były opolski kurator oświaty, wiceminister edukacji w latach 2006-2007, w rządzie Jerzego Buzka, poseł na Sejm trzech kadencji, a następnie deputowany do Parlamentu Europejskiego – Sławomir Kłosowski, któremu nie powiodła się reelekcja do europarlamentu ani do Sejmu. Byłego wojewodę po przeszkoleniu na koszt

Z kolei prezes Opolskiego Stowarzyszenia Pamięci Narodowej Jerzy Łysiak z dumą przypomniał, że „kiedy dziesięć lat później Solidarność miała tytuł, aby mścić się za czasy komunizmu, to tu zemsta nie była potrzebna, bo ona się w Opolu symbolicznie dokonała”.

Sekretarz stowarzyszenia Wiesław Ukleja dowodził zaś: „Bracia Kowalczykowie po raz pierwszy po zlikwidowaniu zbrojnego podziemia antykomunistycznego, wzorem swoich poprzedników, wystąpili zbrojnie przeciwko okupacji sowieckiej.

Piewcy niepodległości

Odradzającej się w 1918 r. Polsce towarzyszyły ideały wolności, równości, demokratyzacji życia społecznego

Przemysław Prekiel

W listopadzie 1918 r. Rzeczpospolita wracała na mapę świata. Olbrzymia w tym zasługa lewicy niepodległościowej spod znaku Polskiej Partii Socjalistycznej, która wówczas nakreśliła plan odbudowy i przebudowy społecznej państwa polskiego, zachowując jego demokratyczną strukturę. Prawica od lat stara się zawłaszczyć Święto Niepodległości i stać się depozytariuszem pamięci polskiego patriotyzmu. Wbrew faktom i prawdzie historycznej.

Rewolucyjna fala

Koniec I wojny światowej i upadek państw zaborczych przyniósł ogromne zmiany na mapie Europy. Pojawiła się szansa na powrót

w listopadzie 1918 r. z rąk Rady Regencyjnej władzę nad wojskiem. Obawiano się strajków i niepokojów społecznych w kraju. Temperatura sporu była wysoka i jedyną osobą, która mogła wówczas nad tym zapanować, był dawny towarzysz „Wiktor”.

Dochodziło do olbrzymich konfliktów społecznych. W Tarnobrzegu 6 listopada 1918 r. pod wodzą Tomasza Dąbala oraz ks. Eugeniusza Okonia proklamowano powstanie tzw. Republiki Tarnobrzkiej. Głównym postulatem były kwestie socjalne. Domagano się przede wszystkim przekazania ziemi chłopom. Protestujący zwrócili się zarówno przeciwko Polskiej Komisji Likwidacyjnej, jak i galicyjskim posiadaczom ziemskim. „Czerwony ksiądz”, Eugeniusz Okoń, mówił do zebranych: „Żołnierze, robotnicy

z lizunami (daw. lizusami – przyp. red.) hrabskimi, rządcami i leśnymi! Zeżryj, ty chłopie, choć raz do syta”. Fala rewolucyjna obejmowała okoliczne miejscowości. W kolejnych tygodniach dochodziło do nowych wystąpień. Palono i rabowano dwory, zdarzały się napady na urzędy i posterunki żandarmerii.

W tym samym czasie w wielu polskich miastach powstawały rady delegatów robotniczych. Wielu Polaków powracało z Rosji, gdzie brali czynny udział w rewolucji październikowej. Program integrował środowisko robotnicze wszystkich orientacji. Mimo rozbieżności ideowych i politycznych początkowo rady delegatów robotniczych łączyły zarówno PPS, jak i Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy. Konflikt klasowy wchodził w decydującą fazę. Nic więc dziwnego, że odradzające się ziemiaństwo oraz Kościół katolicki z niepokojem obserwowały rewolucyjne nastroje. Jedynym katalizatorem tych nastrojów mógł być Piłsudski. Choć i jego poglądy oraz niektóre dekrety będą w ocenie prawy synonimem bolszewizmu.

6 listopada 1918 r. pod wodzą Tomasza Dąbala i ks. Eugeniusza Okonia proklamowano powstanie tzw. Republiki Tarnobrzkiej. Głównym postulatem były kwestie socjalne.

państwa polskiego jako państwa niepodległego. Droga do niego nie była jednak prosta ani łatwa. Odradzająca się Rzeczpospolita z każdym sąsiadem prowadziła spory dotyczące kwestii terytorialnych. Na to nakładała się sytuacja wewnętrzna. Narodowa prawica, która w czasie rewolucji kolaborowała z rosyjskim zaborcą, sprawowała de facto rząd dusz, mając ogromną pomoc Kościoła. Konsekwentną walkę o odzyskanie niepodległości i zmianę ustroju na bardziej sprawiedliwy prowadziła PPS. Powracający z więzienia w Magdeburgu Józef Piłsudski, dawny lider PPS i redaktor „Robotnika”, otrzymał

i ty, biedoto chłopska! Zaświatał wreszcie dla was wszystkich dzień wyzwolenia, swobody, porachunku za tyle krzywd doznanych, za tyle poniewierania twej godności, za tyle wyzysku ciebie, chłopie polski, który, jakkolwiek jesteś krwią, siłą i mózgiem tej ziemi, poniewierany byłeś i poniżany. (...) Dość przez tyle wieków napracowałeś się dla państw, aby oni opływali we wszystko, a ty, abyś gnił na barłogu. Pan Bóg nie stworzył tej ziemi, tych lasów jedynie dla nich. To twoja własność również. I powinieneś korzystać z tego. Precz z jaśnie wielmożnymi dziedzicami, precz z utracjuszami, precz ze strażą leśną i łkową, precz

Rząd Daszyńskiego

Sytuacja polityczna nabierała dynamiki. Działała już co prawda Rada Regencyjna, która przez wielu konserwatystów uważana jest za załączek polskiej władzy, zapomina się jednak, że działała z łaski Niemiec i Austro-Węgier, była więc zależna od zaborców. Natomiast w Lublinie 7 listopada 1918 r. powstał Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, tzw. rząd lubelski, pod wodzą Ignacego Daszyńskiego. Centralny Komitet Robotniczy PPS delegował do tworzenia rządu Tomasza Arciszewskiego, Bronisława Ziemięckiego oraz Mariana Malinowskiego.



W rządzie Jędrzeja Moraczewskiego (nz. siedzi drugi od lewej) oprócz polityków związanych z PPS znaleźli się przedstawiciele Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, PSL „Piast”, PSL „Wyzwolenie”, PSL – Lewica, Zjednoczenia Demokratycznego, Zjednoczenia Ludowego i Stronnictwa Niezawisłości Narodowej.

Ich zadanie polegało przede wszystkim na zbrojnym zabezpieczeniu tworzącego się rządu oraz przygotowaniu kadr Milicji Ludowej i Pogotowia Bojowego PPS. Było to dość skomplikowane, bo w Lublinie nadal stacjonowało wojsko, dobrze uzbrojone, w przeciwieństwie do partyjnej bojówki PPS. Batalion PPS rozpoczął działalność od rozbrajania wojsk austriackich w mieście. W takich warunkach ogłoszono manifest rządu. Wyszedł on spod pióra dwóch wybitnych działaczy: Tadeusza Hołówni z PPS oraz Stanisława Thugutta z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”. Miało to symbolizować jedność ruchu robotniczego i ludowego w budowie niepodległego państwa.

Treść manifestu była dość radykalna: „Nad skrwawioną i umęczoną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W grzyby walą się rządy

kapitalistów, fabrykantów i obszarników – rządy militarnego ucisku i społecznej wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy. I nie zaświta lepsza dola nad narodem polskim, jeżeli rdzeń i olbrzymia jego większość – lud pracujący – nie ujmie w swoje ręce budowy podwalin naszego życia społecznego i państwowego. (...)”

Do rządu Daszyńskiego po raz pierwszy w historii Rzeczypospolitej weszła kobieta – Irena Kosmowska z PSL „Wyzwolenie”, która została wiceminister propagandy.

Ludu polski! Polski chłopie i robotniku!

Jeżeli chcesz zająć należne Ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę

w Polsce, musisz sam budować gmach Niepodległej i Zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej”. W myśl manifestu wszyscy obywatele mieli otrzymać równouprawnienie pod względem politycznym i obywatelskim, co miało się wyrażać wolnością sumienia, druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, i strajków. W ramach dążeń

do poprawy warunków socjalnych zapowiedziano ośmiogodzinny dzień pracy w przemyśle, handlu i rzemiośle. To była rewolucja!

Jako jeden z pierwszych rządów na świecie Tymczasowy Rząd Ludowy potwierdzał i gwarantował prawa ▶

► wyborcze kobiet, wyprzedzając większość państw europejskich, a także USA. Oprócz ośmiodziesiętnego dnia pracy zapowiedziano w manifestacie wprowadzenie warunków służbowych minimalnych dla niższej służby folwarcznej. Rząd deklarował natychmiastowe przystąpienie do reorganizacji organów samorządu terytorialnego i utworzenie milicji ludowej. Zobowiązywał się wnieść do Sejmu Ustawodawczego projekty reform dotyczących: przeprowadzenia reformy rolnej, upaństwowienia niektórych działów przemysłu i komunikacji, udziału robotników w administrowaniu prywatnymi przedsiębiorstwami, wprowadzenia prawa o ubezpieczeniach i ochronie pracy, jak również powszechnego, świeckiego i bezpłatnego nauczania w szkołach. Program ów nie znalazł uznania w szeregach SDKPiL, z jej organu prasowego „Nasza Trybuna” można było się dowiedzieć, że „pod maską demokratyzmu ukrywa się ten sam program reakcji”.

Skład rządu odzwierciedlał siły, które go tworzyły. Było to pięciu socjalistów, pięciu radykalnych ludowców, czterech inteligentów oraz bezpartyjny żołnierz. Do rządu po raz pierwszy w historii Rzeczypospolitej

18 listopada 1918 r. Piłsudski powierzył misję utworzenia rządu Jędrzejowi Moraczewskiemu. Moraczewski cieszył się zaufaniem Piłsudskiego, był bardziej od niego zależny.

weszła kobieta – Irena Kosmowska z PSL „Wyzwolenie”, jako wiceminister propagandy. Nigdy później w II RP kobieta nie została członkiem Rady Ministrów. Rząd Daszyńskiego był pierwszą próbą stworzenia rządu robotniczo-chłopskiego. Do 1937 r. PPS świętowała odzyskanie niepodległości 7 listopada, w rocznicę jego utworzenia.

Czerwony sztandar na Zamku Królewskim

Gabinet Ignacego Daszyńskiego okazał się jednak zbyt radykalny,



a Piłsudski musiał się liczyć z prawicą, której rząd, z Romanem Dmowskim na czele, funkcjonował w Paryżu i miał poparcie Zachodu. 12 listopada 1918 r. rząd Daszyńskiego podał się do dymisji, a Piłsudski ją przyjął.

Tymczasem warszawska ulica żyła swoimi sprawami. 13 listopada 1918 r. doszło do symbolicznego zatknięcia czerwonego sztandaru na Zamku Królewskim w Warszawie. Okoliczności tej akcji mogą służyć jako scenariusz filmu przygodowego. Chwilę przed tym wydarzeniem w Warszawie doszło do dużej

manifestacji na rzecz rządu ludowego, protestujący robotnicy domagali się ustąpienia reakcyjnej Rady Regencyjnej, której siedzibą był Zamek Królewski. Znajdowali się tam jeszcze żołnierze niemieccy.

„Ktoś zawiadomił Niemców, stojących załogą w zamku, że rewolucjoniści mają na nich uderzyć i wymordować ich – relacjonował Marian Malinowski, minister robót publicznych w rządzie Daszyńskiego (PPS). – Więc Niemcy z jednej strony zaczęli w oknach zamku umieszczać karabiny maszynowe, z drugiej zaś strony zwrócili się do Piłsudskiego

o opiekę. Akurat kiedyśmy się z wielkim pochodem zjawili, pod zamek zajechało auto z Komendantem, który Niemcom oświadczył, że nie mają się czego bać, że ich wprowadzono w błąd". Niemieccy żołnierze, których uspokoił Piłsudski, ustąpili. Robotnicza delegacja udała się na dziedziniec zamku, a następnie na balkon. Tadeusz Szturm de Sztrem, dzierżący sztandar Pogotowia Bojowego PPS, namówił Piłsudskiego, aby wyszedł na balkon i pozdrowił robotników. Rzeczywiście, po paru minutach pojawił się on w towarzystwie kilku działaczy PPS. Klasa robotnicza wznosiła okrzyki na cześć rządu ludowego i Piłsudskiego, domagając się dymisji Rady Regencyjnej. „Ludzie rzucali się sobie w ramiona, klaskali. Chmura rzuconych w górę czapek i kapeluszy przestąpiła na chwilę nawet kolumnę Zygmunta. Towarzysze przymocowali do balkonu sztandar, a ja patrzyłem na dół, tykając tży największego wzruszenia”, wspominał działacz PPS, publicysta Zygmunt Zaremba.

Rząd Moraczewskiego

Po nieudanej próbie stworzenia nowego gabinetu przez Ignacego Daszyńskiego, o czym zdecydowało krytyczne stanowisko prawicy, misję utworzenia rządu Józef Piłsudski powierzył 18 listopada 1918 r. Jędrzejowi Moraczewskiemu. Wydawał się on politykiem możliwym do zaakceptowania przez prawicę przede wszystkim dlatego, że był wcześniej członkiem Naczelnego Komitetu Narodowego, reprezentacji polskich sił politycznych działających na terenie Galicji. Był to szeroki zbiór: od endecji po socjalistów. Wydawało się zatem, że jest bardziej skłonny do kompromisów. Poza tym Moraczewski cieszył się z pewnością większym zaufaniem Piłsudskiego. Był bardziej od niego zależny.

Głównym zadaniem nowego premiera było przygotowanie ordynacji wyborczej. Miał to być rząd niejako przejściowy, działający w zastępstwie. Zbudował jednak solidne fundamenty pod republikański ustrój państwa. Dzień po zaprzysiężeniu rząd wydał manifest „Do

Narodu Polskiego”, w którym czytamy m.in.: „Wysłaliśmy z ludu. Robotnicy i chłopci polscy oddali nam w ręce władzę nad wyjarzmionymi częściami Polski. Toteż pragniemy być Rządem ludowym, który interesów milionowych rzesz ludu pracującego broni, jego życiu toruje nowe drogi, jego wolę spełnia”. Podczas prac rządu zrezygnowano z tytułowania się per „pan” na rzecz „obywatel”, co miało być demokratyzacją stosunków społecznych, a jednocześnie odzwierciedlać socjalistyczny charakter rządu.

„Gdy przeprowadzamy reformę socjalną, przeciwnicy nasi wołają: »To bolszewizm!«. To nie bolszewizm, to nawet nie socjalizm, to demokracja. Chciałem po prostu przerzucić Polskę z XVIII w. do XX w. (...) Wykonano skok, mówią mi, zbyt wysoki i zbyt daleki. Jednakże ten skok był konieczny, gdyż trzeba było udzielić ludowi nieco więcej sprawiedliwości socjalnej”.

Jeśli chcemy o polskiej historii rozmawiać poważnie, to należy przywrócić jej elementarną

Rząd Moraczewskiego wydał dekrety o ośmiogodzinnym dniu pracy, Inspekcji Pracy oraz ubezpieczeniu na wypadek choroby. Zagwarantował legalność związków zawodowych i prawo do strajku.

Rząd wydał wiele dekretów, które ukształtowały młode państwo, w tym rewolucyjne jak na tamte czasy dekrety o ośmiogodzinnym dniu pracy, Inspekcji Pracy i ubezpieczeniu na wypadek choroby. Poza tym zagwarantował legalność związków zawodowych i prawo do strajku. Ogłosił powszechne prawo wyborcze, które obejmowało również kobiety. Dla prawicy i Kościoła katolickiego były to reformy wręcz bolszewickie. Naczelnik państwa Józef Piłsudski, tłumacząc się z wprowadzenia ich w życie, argumentował:

sprawiedliwość. Nie wystarczy jednak mieć rację. Należy ją upowszechniać, aby młode pokolenie, które jest dziś w większości prawicowe, wiedziało, jakie ideały towarzyszyły odradzającej się w 1918 r. Polsce. Były to zasady wolności, równości, demokratyzacji życia społecznego. Józef Piłsudski ostatecznie wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość. Zapomina się jednak, że tylko tym czerwonym tramwajem mógł do niepodległości dojechać.

Przemysław Prekiel

DWA TOMY TEKSTÓW ZNAKOMITYCH AUTORÓW

Andrzej Walicki, Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma, Andrzej Werblan, Dariusz Jarosz, Lech Mażewski, Dariusz Łukasiewicz, Krzysztof Wasilewski



PAKIET 49 zł ~~85 zł~~

W promocyjnym pakiecie taniej!

0 zł za dostawę

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

30 zł ~~42 zł~~ 29 zł ~~43 zł~~

Poezja po niej zostanie

Nina Andrycz-Cyrankiewicz była uzależniona od teatru, który był dla niej najważniejszy na świecie

Liliana Śnieg-Czaplewska

Urodziła się 11 listopada 1912 r., czyli 110 lat temu. Przeżyła 102 lata, dwa miesiące i 20 dni, do końca w niezłej formie. Przez ten czas świat zmienił się całkowicie, ale Nina, ani chybi genetycznie uprzywilejowana, całkiem sprawnie za nim nadążała. Nie twierdzę, że nauczyła się obsługiwać komórkę, ale miała swoje sposoby i zawsze znalazł się ktoś z komórką, by zamówić taksówkę.

O takich jak Nina mawia się: „Z dobrego przedwojennego materiału”, choć w jej przypadku chodziło o I wojnę światową. Przyszła przecież na świat, gdy Polacy byli, tylko Polski nie było. Zauroczony scenograf mówił: „Trzeba jej oddać – dekolot miała piękny do samego końca”.

Jej codzienna witalność (także przez ostatnią dekadę) zmieniła całkowicie mój pogląd na kwestię długowieczności człowieka. Gdy niedawno na informację o śmierci przeszło 90-letniej babci mojej koleżanki westchnęłam: „O, jaka szkoda, mogła pożyć ładnych parę lat dłużej”, napotkałam zdziwione spojrzenia, choć moja reakcja była szczerą.

Dowcipkowała, interesowała się tym, co, gdzie i u kogo, ceniła przyjemności życia, wśród których było dużo pisania, jeszcze więcej czytania i bynajmniej nie jedna lampka czerwonego wina do śniadania, obiadu i kolacji. Zawsze uczesana, również w „szlafrokowe” dni, gdy nie dała się wyciągnąć nawet na krótki spacer, polegiwała z książką lub dużym notesem w rękę, bo do końca pisała wiersze, albo z „Wyborczą” – gazeta kosztowała wtedy bodaj 2,70 zł, co pamiętam, bo kupowała ją w drodze do pracy gospośnią Małgorzata,



Gram królowe, bo się do tego nadaję – mówiła. Tyle że jak się ma królewskie role i maniery, pojawiają się kłopoty z ludzką sympatią.

a potem narzekala, że Nina zapomina jej zwrócić należność. Taaak, to ta sama gospośnią, którą czekała eksmisja za niepłacenie czynszu, ale Nina, dowiedziawszy się o tym przez przypadek, zlikwidowała lokatę i 12 tys. zł (!) wręczyła jej bez zbędnych ceregieli.

Zastanawiałam się wtedy, czym właściwie jest wdzięczność, a czym bezdusznosc; Nina popadła w wir kłopotów z drugą gospośnią, której „też się należało”. Słowem, z gospośniami radziła sobie średnio, co m.in. opisałam w książce „Nina i Józef. Sceny z życia, które minęły” (czeka na wydanie w 2023 r. w wydawnictwie Rebis).

Nina włączała telewizor wieczorami, dla newsów, filmów – najchętniej biograficznych – i programów, o których się mówiło. Na przykład

w „Taniec z gwiazdami” tak się wkręciła, że kibicowała tylko „swojej wybrance”. Gdy zwyciężyła Anna Mucha, kibicowanie zakończyło się przekazaniem prezentu dla „pokrzywdzonej” werdyktem Nataszy Urbańskiej. Z ładnym, złotym naszyjnikiem (który w podróży służbowej po Azji z mężem dostała od Indiry Gandhi) i z liścikiem posłała do teatru Buffo znajomą fryzjerkę.

A potem parę razy sprzeczałyśmy się, co jest istotą rywalizacji i czy zwycięzca to ten, co całe życie szlifuje jedną umiejętność, czy utalentowany „amator”, który w imponującym tempie zrobił postępy. Z Niną dało się sprzeczać bez ryzyka popsucia relacji, bo trzymała klasę i uznawała za normę, że w końcu każdy i tak zostaje przy swoim. W takim stylu prowadziła sobie złościwośćki z Ireną Eichlerówną, gdyż za sobą nie przepadały, ale, jak twierdził Mieczysław Gajda, nigdy nie przekroczyły akceptowalnego poziomu.

Książkę pisałam kilka ładnych lat, a tu co i rusz ktoś z moich rozmówców – bezcennych świadków historii – umierał, odchodził, jak ostatnio ambasador Stanisław Ciosek. A tak niedawno zastanawialiśmy się, czy Nina mogła uciec z przyjęcia u Stalina na Kremlu. Była tam z mężem premierem w oficjalnej podróży w Moskwie, gdy usłyszała w radiu, że przez nią nie odbędzie się wieczorny spektakl w warszawskim Teatrze Polskim, więc złamała rygory protokołu dyplomatycznego, ruszyła na lotnisko, wsiadła do samolotu i... dotarła na czas. Ja relacjonowałam szczegółowo, ambasador się zastanawiał, bo anegdotę słyszał z grubsza wcześniej (i to, że Jakub Berman miał zemdleć), ale oczywiście go przy tym nie było, bo za młody. Tyle że jako wieloletni,

kompetentny dyplomata wiedział dużo o obyczajach u nas i u nich, przedtem i potem. Przez całe lata dziennikarze tę opowieść Niny kupowali, bo opowiadać umiała, oj, umiała. O tym rozmawiałam także z wicepremierem Józefem Tejchmą, ale po analizie szczegółów, co z ochroną, protokołem itd., moi rozmówcy doszli do wniosku, że niestety ta ucieczka w realiach opisywanych przez premierową i bez zgody małżonka nie była możliwa. Konkluzja: ale bardzo byśmy wszyscy się ucieszyli, gdyby to była prawda.

Nina urodziła się w Brześciu nad Bugiem, wtedy polskim mieście, i to było zawsze jasne; tylko z kiedy było trochę kłopotu, bo ujęła sobie trzy lata w początkach II wojny światowej. Miała 27 lat, a ku rozpaczyci matki wciąż była panną. W czasach przed peselem odmładał się, kto chciał, a zawierucha wojenna sprzyjała. Prawdę Nina wyznała mi sama, ale potwierdzenie czarno na białym uzyskałam po jej śmierci. Za 49 białoruskich rubli z archiwum w Grodnie nadeszło ksero ręcznie wypisanego po polsku i rosyjsku odpisu aktu urodzenia: urodziła się w 1912 r. i ta wiadomość definitywnie kończyła sprawę.

Miała interesującą rodzinę. Dziadek Ludwik Andrycz to współzałożyciel warszawskiego Służewca, znawca i hodowca polskich koni pełnej krwi, w alei Wilanowskiej zbudował w latach 30. Andryczówkę, a w ogrodzie zasadził platan (zmierzylśmy go z rok temu z wnukiem, Kazimierzem Żórawskim, publicystą, drzewo ma ponad 5,5 m w obwodzie).

Nestor miał sześcioro dzieci, kilkanaścioro wnuków i prawnuków. Kuzynem Bolesławem Micińskim, przedwcześnie zmarłym eseistą, Nina chwaliła się i czytała jego dzieła do końca życia, Annę Micińską, znakomitą tłumaczkę, Józef Cyrankiewicz zdążył poznać, gdy była dzieckiem.

Młodszy brat ojca Niny, Czesław Tomasz Andrycz, dyplomata, szef protokołu u prezydenta

Wojciechowskiego, wzięty przez gestapo wprost z gabinetu, zginął na Szucha, nie wiadomo dokładnie kiedy, zniknęli też żona, Francuzka, i syn.

Nina była prawdziwą feministką, w słowach i czynach, które się nie rozmijały. Decydowała o swoich wyborach, swoim ciele, a do mężczyzn miała bardzo nieskomplikowany stosunek: uwielbiała ich w każdej postaci. Miała wielu przyjaciół i adoratorów, ale przyjaciółek... jak na lekarstwo, a wśród aktorek – jeszcze mniej.

Przyszła na świat, gdy Polacy byli, tylko Polski nie było.

Przyznaję, że za życia Niny przeczytałam jej trzy książki pobieżnie, ale nie na tyle, by nie zauważyć, że jak już pisze o Erosie, o sprawach damsko-męskich, robi to odważnie, dosadnie, po prostu świntuszy.

Lubiła niewinny towarzyski flirt, przepadała za adoracją mężczyzn, tyle że żaden nie był w stanie do niczego jej przymusić. Nawet mąż premier. Jak nie chciała mieć dzieci, to nie chciała i już.

Jej przyjaciele, np. Xymena Zañewska i Mariusz Chwedczuk, uważali, że „na tym się zresztą przejechała, bo Cyrankiewicz chciał potomka. Kochał ją, był zauroczony nią człowiekiem sukcesu i w życiu by się z nią nie rozwiódł, gdyby mu go dała. Premierowi się nie odmawia, a ona odmówiła, choć odpowiadało jej brylowanie na salonach”.

Przez 21 lat była żoną na swoich warunkach, po latach musiała mieć świadomość popełnionych błędów, ale nigdy się do nich nie przyznała. Do tego wszystkiego niestety była

kobietą zdradzaną na każdym etapie ich małżeństwa, w każdym aspekcie. Seksoholizm to choroba, jak każde inne uzależnienie, ale Nina mężem się nie przejmowała. Sama była zresztą uzależniona – od teatru, który był dla niej najważniejszy na świecie.

Docierały do niej plotki, nie tylko środowiskowe. Dlatego np. nie cierpiała małej rzeźby-wazonu autorstwa wielkiej artystki Aliny Szapocznikow, który od niej dostała w prezencie. Musiała dotrzeć do niej wiadomość, że ta piękna brunetka bardzo podobała się jej mężowi i że nie była to tylko znajomość platoniczna. Wazon przestał w ciemnym kącie w przedpokoju kilka dekad.

Nina z pewnością nie wiedziała, że jej mąż Józef Cyrankiewicz ma nieślubną córkę, poczętą w czasach, gdy nie byli małżeństwem, a nawet się nie znali. Jestem pewna, że nie zmieniłoby to w niczym jej decyzji, by nie mieć z mężem dzieci. Rozdział w książce „Macierzyństwo, a raczej jego brak, czyli Premierowi też odmawia się” liczy 17 stron, więc nie ma tu co się silić na streszczenie.

Z pana Józia był niezły ancymentek, ale po tym, co przeżył przez pięć wojennych lat: konspiracja, Montelupich, Auschwitz, Mauthausen, można tylko westchnąć: „niech Mu ziemia lekka będzie...”.



Na wakacjach z ulubioną kosmetyczką.



W salonie autorki, Liliany Śnieg-Czaplewskiej.

Nina była intelektualistką samoukiem, bo szkołę zaliczyła nieciekawie. Co dziś mogłaby przekazać współczesnej Polce, czego ją nauczyć? Po pierwsze, na pewno tego, że trzeba siebie kochać. Jako istotę, człowieka. No, może nie aż tak, jak Nina siebie kochała, ale żeby chociaż trochę i to sobie okazywać: być dla siebie dobrą. Po drugie i trzecie, aby kochając, także nad sobą pracować. Uczyć się, czytać, zapamiętywać, aby nie napisać Gombrowicz przez ą, jak pewna absolwentka uczelni, która przepisywała Ninie ostatnią książkę „Patrzę i wspominam”.

Jej codzienna witalność zmieniła całkowicie mój pogląd na kwestię długowieczności człowieka.

Powtarzała jak mantrę, że kobieta musi zdobyć wykształcenie, by być dobra w czymś, co zapewni jej samodzielność, niezależność. By kapelusze mogła sobie kupić za własne pieniądze, bez wyciągania ręki do mężczyzny.

Gram królowe, bo się do tego nadaję – mówiła. I odgrywała te królowe bardzo ładnie – potwierdzają ci, którym zawiść jest obca. Tyle że jak się ma królewskie role i manierę, pojawiają się kłopoty z ludzką sympatią. Stąd środowiskowa zawiść. Wszyscy uważali, że tak jest

obsadzana, bo Cyrankiewicz każe, nikt nie chciał widzieć, że ma predyspozycję. Może dlatego jej stosunek do innych aktorów pozbawiony był złudzeń. A przecież zagrała Ionesco, i to dobrze. I Dulską...

Jako małżonkę najdłużej urzędującego premiera pytano ją niejednokrotnie, czy PRL, podkreślała wtedy zawsze zdobycze kultury, zwłaszcza teatr, który był wielki, powoływała się przy tym na autorytet prof. Barbary Skargi, wybitnej filozofki, humanistki.

Ciekawostka: Nina była uczennicą Roberta Waltera, Mistra z Komorowa, teozofa, antropozofa, masona,

astrologa, homeopatę, chemika, specjalistę od ezoteryki. Na lekcje jeździła do jego domu w Komorowie, często męzkowym samochodem służbowym i w towarzystwie Sylwii Rzezyckiej, swojej najlepszej masażystki. W dywagacji na tematy teozoficzne wciągnęła męża, który – choć socjalista i racjonalista – wydawał się mocno zainteresowany światem wróżb i przewidywania przyszłości (!). Premier co najmniej kilka razy spotykał się z Walterem w alei Róż i pewnie prosił go o postawienie horoskopu, w czym Walter był ponoć mistrzem. Ich spotkania trwały do chwili, gdy Waltera

aresztowano w apogeum stalinizmu, w 1952 r., a schorowaną Sylwię Rzezycką – rok wcześniej. Każde z innych paragrafów, a same nazwiska prokuratorów budziły grozę.

Walter wyszedł w 1954 r., Rzezycka siedziała dłużej za utrzymywanie kontaktów z przybyłym z Londynu cichociemnym. Podczas przesłuchań wypytywano ją o znajomość z Niną Andrycz, ale na tym się skończyło. Dwa aresztowania tak blisko, ale bez przykrych konsekwencji.

Piszę o Walterze, bo do końca życia pozostał wiernym przyjacielem Niny, towarzyszył jej nawet przy rozwodzie. Sam umarł w 1981 r. na raka, ale znacznie wcześniej oświadczył Ninie, że umrze ona w 2013 r. Pomylił się jedynie o miesiąc.

Nina żyła tak długo, że właściwie nie miała co grać, choć pamięć dopisywała. Co po niej zostało? Trochę utrwalonych w różnych technikach spektakli Teatru Telewizji, które reżyserowali najwybitniejsi twórcy, oraz benefisów, kilka niewielkich ról filmowych: w serialu Kazimierza Kutza, u Andrzeja Barańskiego i Krzysztofa Zanussiego, trzy książki i kilka tomików z wierszami, od niezłych po zachwycające. Jak się okazało, podobały się również ks. Janowi Twardowskiemu. W 1995 r. przyszedł na spotkanie autorskie Niny i poprosił o dedykację pod wierszem „Pusta ulica” w tomiku „Wakacje w listopadzie”:

I w każdym mieście świata jest taka pusta ulica

Na której ktoś mnie dopędza chociaż ja go nie widzę

Słyszę głos zdyszanego chłopca: czekałem. Czemuś

nie przyszła?

I zmęczone kroki mężczyzny, szept. Nie czekaj.

Umarłem.

Chora matka mnie woła, stuka łaską o brzeg trotuaru.

Odwracam się – nie ma nikogo. Ulica pusta i szara.

Ks. Twardowski dedykację dostaje, a potem nawet mają wspólny wieczór U Literatów. Nina dumna puentuje: „Powodzenie mieliśmy szalone. Z tym że on miał nakład 35 tys., ja 5 tys.!”.

Liliana Śnieg-Czaplewka

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tomasz S. Markiewka

Nic się nie dzieje

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

Po wielkich, głośnych narracjach ludowych – takich jak „Ludowa historia Polski” Leszczyńskiego czy „Chamstwo” Pobłockiego – czas na



mikronarrację. Historię przez wielkie H zredukowaną do osobistej opowieści. Niech jednak nikt nie myśli, że tu tylko wokół pieca i główek kapusty wszystko się obraca. Markiewka poprzez losy swojej babci opisuje uniwersalną dolę ludzi dotkniętych przez epokowe wydarzenia. Chociaż w XX w.

działo się tak wiele, niewiele miało kontrolę nad zmianami dziejowymi. Wiejski stoicyzm, podejsście, że „nic się nie dzieje”, to zarówno motto książki, jak i wskazówka dla nas, żyjących dziś w „ciekawych czasach”. Opowieść Markiewki jest osobista i czuła, ale nie pretensjonalna; chociaż czytelnicy znają go z tekstów publicystycznych i filozoficznych, udało mu się uniknąć tonu ex cathedra, a to rzadkość wśród takich autorów.

Rafał Piłkuła

KURTyna W GÓRĘ

Czego szuka korespondent wojenny?

W monodramie „Prime Time” nie idzie o odtworzenie drogi życiowej korespondenta wojennego Waldemara Milewicz (1956-2004), który zginął z ekipą TVP w zamachu terrorystycznym w Iraku. To raczej rozprawa ze złem. Sławomir Grzymkowski, który stara się grać powściągliwie, kiedy wspomina o popełnianych zbrodniach, wynaturzeniach, zezwierzęceniu, daje się ponieść emocjom. Bo jak zaakceptować takie zło, za którym zawsze stoi konkretny człowiek? Bohater monodramu nie znajduje słów przebaczenia dla wojennych mordów i gwałtów, nie znajduje rozgrzeszenia dla wojen, nie widzi w nich żadnej drogi naprawy świata. Wygląda na to, że misje, które podejmował, przyniosły mu rozczarowanie. Nie pozwoliły wytłumaczyć, dlaczego ludzie ulegają pokusie czynienia zła. W pierwszej części bohater wraca do lat młodości. Przypomina młodzieńcze



marzenia o dziennikarstwie, a potem reporterce wojennej. Układa się to w świadomości obraną drogę, która jednak obok satysfakcji tropienia i wyjawiania światu prawdy przynosi bezmiar gorzkości. Część tego rozgo-

ryczenia zawiera tytuł – *prime time* to główne pasmo oglądalności. Telewizjom dość szybko nudzą się obrazy wojny, przemoc powszedniejsze. Korespondent wojenny może wrócić do *prime time* tylko jako ofiara.

Tomasz Miłkowski

Wiesława Sujkowska, „Prime Time”, reżyseria Anna Sroka-Hryń, Teatr Kępa, PROM Kultury Saska Kępa w Warszawie, premiera 13 października 2022

**Gdyby zaprosić Jarosława...**

Sztuka o wstydliwych problemach związanych z płcią to materiał w sam raz do edukacji niedowarzonych polityków – i jak potrzebny. Zresztą Piotr Polk, znany z serialu o ojcu Mateuszu, tutaj wciela się w rolę kogoś, kto też zabiega o głosy elektoratu. Komedia miejscami śmiertelnie poważna wywołuje jednak salwy śmiechu. To my wszyscy odreagowujemy różne bzdury ze sfery mediów publicznych.

Bronisław Tumitowicz

Jade-Rose Parker, „żONA”, tłumaczenie Irma Helt, reżyser Adam Sajnuł, scena Spektaklove, Mała Warszawa, premiera 27 października 2022

Nie jesteśmy bogami

Jako neurochirurdzy wykonywaliśmy beznadziejne operacje ratowania życia, które już się skończyło

Rozmawia Marianna Fijewska

DR MARCIN CZYŻ

Ile lat ma człowiek, gdy decyduje, że zostanie neurochirurgiem?

– O neurochirurgii zdecydowałem dopiero na studiach, ale o tym, że będę chirurgiem, wiedziałem już od 12. roku życia. Trochę dlatego, że tata zrezygnował z medycyny na czwartym roku studiów i żałował tej decyzji do końca życia, ale bardziej dlatego, że ludzki organizm budził moją fascynację. W domu mieliśmy radziecki atlas anatomiczny, który w kółko oglądałem. Potem z pudełek po butach robiłem sale operacyjne – kładłem w nich ludziki z plasteliny i z wypiekami na twarzy wycinałem ulepione narządy.

Co dokładnie fascynowało tego dwunastoletniego chłopca?

– Tajemnica. Zawsze uważałem, że medycy pracują za kulisami ludzkiego życia, a chirurdzy mają najlepszy widok na scenę. To znaczy, widzą rzeczywistość, do której nikt inny nie ma dostępu. Gdy byłem mały, mój tata pracował jako sanitariusz w świdnickim pogotowiu. Boże, jak ja czekałem, aż wróci do domu i opowie mi, co działo się na dyżurze. Pamiętam, że raz został wezwany do wisielca. Ten mężczyzna chciał odebrać sobie życie, wybierając do tego słup elektryczny. Gdy próbował się powiesić, poraził go prąd. Serce mu pękło. Ekspłodowało. A w klatkę piersiową wtopił się zamek błyskawiczny od bluzy. Aż dziwne, że tak dobrze to pamiętam. (...)

Co robi młody chłopak z małego miasta, który marzy o byciu chirurgiem? Jak się do tego przygotowuje?

– W Świdnicy były dwa licea. Wiedziałem, że muszę wybrać to lepsze i dostać się do klasy biologiczno-chemicznej. Nie było z tym problemu. Rodzice nie mieli pieniędzy na korepetycje, więc do matury i egzaminów wstępnych na wrocławską Akademię Medyczną przygotowywałem się sam. Koledzy co weekend szwendali się po knajpach, a ja siedziałem z nosem w książkach i tkłem testy. (...)

Kiedy dziś patrzę na swoją drogę do chirurgii, to myślę, że byłem bardzo skoncentrowany na celu. Leciąłem jak strzała, choć nie wszyscy nauczyciele mnie – i nie tylko mnie, ogólnie nas, studentów – jakoś szczególnie dopingowali. Studia zacząłem w 2000 r. na Akademii Medycznej we Wrocławiu i większość profesorów mówiła wprost, że bez znajomości możemy zostać wyłącznie lekarzami rodzinnymi. Ja żadnych znajomości nie miałem. Dowiedziałem się za to, że istnieje koło chirurgiczne, którego członkowie robią praktyki na ostrych dyżurach chirurgicznych. Uczą się szyć rany i po nocach asystują przy zabiegach. Poszedłem tam już na pierwszym roku studiów i poprosiłem o przyjęcie,

ale opiekun koła odesłał mnie, mówiąc, że jestem za młody. Dostrzegł jednak moją determinację i pozwolił na udział w chirurgicznym obozie naukowym w wakacje. Piwo łało się tam jak w świdnickiej knajpie, ale dałem się poznać jako chłopak, któremu zależy, więc gdy wróciliśmy do domu, dostałem zgodę, by przychodzić na ostre dyżury i do planowych zabiegów w ciągu tygodnia. Musiałem natychmiast nauczyć się zakładać szwy, myć ręce i nie przeszkadzać. Godzinami czytałem podręczniki, na oparciach krzeseł wiązałem węzły chirurgiczne i kupowałem mięsiwo, ćwicząc szycie w domu.

Zawsze myślałem, że to tylko taka scena z filmu – przyszły lekarz precyzyjnie zszywa pierś z kurczaka.

– Raczej nóżki kurze albo świńskie. Świńskie imitują skórę pleców i głowy, a kurze szyi i rąk. Najczęściej zszywałem kurze, bo wtedy asystowałem przy zabiegach tarczycy. I były to czasy, gdy rzeczywiście mogłem uchodzić za kujona i dziwoląga. (...) Zasuwałem na ostre dyżury i garnąłem się do asyst. Nie obchodziło mnie często nic, co działo się dookoła. Dzięki temu na czwartym roku mój opiekun i pierwszy mentor pozwolił mi własnoręcznie zoperować wyrostek młodej dziewczyny. Wszyscy koledzy myśleli, że sobie to „załatwiłem” w jakiś mniej lub bardziej etyczny sposób, a ja po prostu harowałem i zwyczajnie zdobyłem zaufanie lekarzy. Może coś tam we mnie dostrzegli, a może po prostu zrobiło im się mnie żal...

Kiedy zdecydowałeś, że zostaniesz neurochirurgiem?

– Mniej więcej w tamtym okresie. Moja mama, która studiowała pielęgniarstwo, zanim została psychoterapeutką, zachęciła mnie do tego. (...) Na zajęciach z neurochirurgii prowadząca młoda doktorantka

Marcin Czyż – neurochirurg specjalizujący się w leczeniu pacjentów z guzami kręgosłupa i rdzenia kręgowego, obecnie pracuje jako konsultant, wykładowca i kierownik serwisu kręgosłupowego na Uniwersytecie Medycznym w Birmingham. Specjalizację ukończył we Wrocławiu pod kierunkiem prof. Włodzimierza Jarmundowicza. Szkolił się następnie w Nottingham i Nowym Jorku, obejmując aktualne stanowisko w 2016 r.



akurat zapraszała chętnych na blok operacyjny. Poszedłem i zobaczyłem klipsowanie tętniaka. Zafascynowałem się. To było piękne, spokojne, bardzo anatomiczne i wymagające. Zaimponowała mi też swoista elitarność tej dyscypliny, bardzo ograniczony dostęp postronnych do tego, co się działo na oddziale i bloku operacyjnym. Zacząłem bywać w klinice neurochirurgii regularnie. W końcu jeden z doktorów powiedział: „Co będziesz tak stał? Przebijaj się i asystuj!”. Wtedy zorientowali się, że nie tylko chcę pomagać i uczyć się po godzinach, ale też potrafię szyc i obchodzić się z tkankami – zaczęli mnie regularnie zostawiać do zamknięcia ran po kraniotomiach (zabieg polegający na usunięciu fragmentu kości czaszki – przy. red.) i operacjach kręgosłupa. To byli poważni specjaliści i ostatnie, na co mieli ochotę po trudnej operacji, to szycie. W każdym razie zaufali mi do tego stopnia, że gdy byłem na piątym roku, zacząłem samodzielnie (choć pod baczynym nadzorem) operować ludzi z krwiami. Wtedy już wiedziałem, że zostanę neurochirurgiem. (...)

Mówi się, że neurochirurdzy to bogowie medycyny. Zgadzasz się?

– Przyznam, że czuję się niezastępowany wyróżniony, mogąc robić to, co robię. Myślę jednak, że to zupełnie inna rzecz, uważam, że nie ma w naszym zawodzie niczego boskiego. Mam wrażenie, że wielu z nas uważa się za bogów. Nie wiem do końca, czemu tak jest, ale spotykałem się z tym częściej w Polsce.

Ale nie w Wielkiej Brytanii?

– Raczej nie. Gdy przyjechałem tu na praktyki między trzecim a czwartym rokiem studiów, wielokrotnie przeżywałem szok – jak choćby wtedy, gdy po raz pierwszy brałem udział w obchodzie na oddziale chirurgii przewodu pokarmowego. Pamiętam, że odruchowo wziąłem głębszy wdech, przyzwyczajony do fetoru, który panował na polskich oddziałach

Niestety polski pacjent umiera często długo i w bólu.

(zapewne pomimo starań pielęgniarzek i salowych). Ale tam pachniało cynamonem! Jakim cudem? Nie wiem. Oni chyba nieustannie zmieniali opatrunki pacjentom, a w powietrzu rozpylali aromat. Jednak nawet to nie zdziwiło mnie tak bardzo, jak inna sytuacja: w szpitalu w Leicester spotkałem pewnego siebie, doświadczonego prof. Bella – sławę ówczesnej chirurgii naczyniowej, pioniera endowaskularnych zabiegów w obrębie aorty. Dostrzegłem go w jednej z sal operacyjnych; stałem z daleka i obserwowałem, jak kończył operację. Pielęgniarki i anestezjolodzy byli zajęci pacjentem, a on, światowy autorytet, chwycił za mop i nieproszone zaczął zmywać podłogę. Nie mogłem uwierzyć, że ten człowiek własnoręcznie sprząta, najprawdopodobniej po to, by zdążyć tego dnia zoperować kolejnego pacjenta.

Chcesz powiedzieć, że w Polsce taka sytuacja nie miałaby prawa się wydarzyć?

– Mam nadzieję, że w Polsce są lekarze, którzy chwyciliby za mop, choć myślę, że problem polskiej opieki zdrowotnej to problem systemowy.

Bo system jest hierarchiczny i sam tworzy bogów?

– Być może. W Wielkiej Brytanii też panuje hierarchia, choć nie ma władców absolutnych. Ordynatorów zastępuje szereg konsultantów, z których każdy posiada swój mały zespół składający się ze starszego i młodszego specjalizanta oraz stażysty. Szef serwisu zwany *clinical service lead*, którym sam aktualnie jestem, to zawsze jeden z konsultantów, najczęściej wystarczająco doświadczony i gotowy poświęcić tyle czasu i energii, ile to stanowisko wymaga. Oprócz pracy klinicznej *service lead* nadaje ton pracy oddziału, wyznacza kierunki rozwoju i sprawuje funkcję pośrednika pomiędzy lekarzami i menedżerami, niejako łącząc te dwa światy. Absolutnie nie ingeruje natomiast w to, w jaki sposób uprawiają medycynę jego koledzy. Nie rozkazuje i nie karci.

Dziś jesteś konsultantem, wtedy, jako student, byłeś praktykantem. Znajdowałeś się na samym końcu łańcucha, a mimo to byłeś tym systemem urzeczony?

– Byłem i jestem. Mógłbym porównać ten system do układanki, w której każdy element jest niezbędny. W Polsce stażyści podyplomowi snuli się po kątach. A ja nawet jako student praktykant za granicą musiałem bardzo aktywnie uczestniczyć w każdym obchodzie, zadawać pytania, a przede wszystkim rzetelnie wypełniać swoje obowiązki, które przydzielono mi niemal natychmiast. Chociaż nie było to nic nadzwyczajnego. Głównie pobieranie krwi. W Wielkiej Brytanii krew pobierali wówczas tylko lekarze, teraz coraz częściej specjalnie przeszkoleni flebotomiści. Oprócz tego zbieranie wywiadu czy notowanie zaleceń z obchodu w bardzo usystematyzowany i ujednolicony sposób. Byłem młodym chłopakiem z Polski z dość

► podstawową znajomością angielskiego. To poczucie, niejako wymuszone sytuacją bycia integralnym elementem układanki, motywowało mnie do nauki. Nie miałem przy tym żadnych wątpliwości, kto stanowił w niej element absolutnie najważniejszy.

Kto?

– Oczywiście pacjent i jego bliscy, a nie – jak to często bywa w Polsce – lekarz.

Czym w praktyce objawiała się ta różnica?

Jako młody student nie mogłem uwierzyć, że konsultant lub specjalizanci rozmawiają z pacjentami po 30 minut, dokładnie tłumacząc im wyniki badań i rozważając wszystkie opcje leczenia. Byłem przyzwyczajony, że lekarz poświęca choremu 30 sekund – tyle wystarczyło, by kazać mu podpisać zgodę na wszystkie procedury mogące stanowić ryzyko dla zdrowia i życia. A jakie procedury? Tego nikt nie tłumaczył.

Straszne jest przychodzenie do pracy ze świadomością, że to, co robisz, nie ma sensu.

Gdy wróciłem do Polski, zacząłem robić to samo. Szedłem do pacjenta, upewniałem się, czy nie ma żadnych pytań, tłumaczyłem, pokazywałem skany zdjęć... Część pacjentów była przerażona, bo nie byli przyzwyczajeni do takiej dawki informacji. Pamiętam też, że jeden czy dwóch starszych kolegów upomniało mnie, że jestem zbyt miły i „się cackam”.

O retę.

– Z czasem sytuacji, które odbierały mi poczucie sensu, było coraz więcej. Myśmy nieustannie wykonywali beznadziejne operacje ratowania życia, które już się skończyły. Często w środku nocy. Czasem miałem wrażenie, że zabijamy pacjentów po raz drugi.

Jak to?

– Większość tych dyżurów wyparłem, ale jeden pamiętam dość dobrze, bo noc była wyjątkowo dramatyczna. Lało, szalała burza z piorunami, byłem jedynym dyżurnym neurochirurgiem w szpitalu. O trzeciej w nocy karetka przywiozła młodziutką dziewczynę potrąconą przez samochód. Krwiał

w głowie, rokowania bardzo złe. Zoperowałem ją, choć nie było już dla niej ratunku. Tej nocy wszystkie miejscy na naszym OIOM-ie były zajęte, więc karetka musiała przetransportować ją do innego szpitala. Ojciec podszedł do mnie na korytarzu i zaczął błagać, by nie wysyłać jego córki do innego szpitala. Starałem się wyjaśnić mu, że nie mam najmniejszego wpływu na decyzje logistyczne dotyczące pacjentów. A przy tym zwyczajnie po ludzku chciało mi się płakać, bo ten człowiek nie zdawał sobie sprawy, że to, gdzie będzie jego córka, nie ma już znaczenia.

To straszne.

– Straszne jest też przychodzenie do pracy ze świadomością, że to, co robisz, nie ma sensu. A operujesz, bo prawo w żaden sposób nie chroni ciebie i twoich decyzji. Można więc powiedzieć, że operujesz ze strachu przed rodziną pacjenta i prokuratorem.

W Anglii się takich operacji nie podejmuje?

– Nie, i wynika to zwykle ze wspólnej decyzji zespołu lekarskiego i rodziny pacjenta, która temu zespołowi ufa. Podczas jednego z moich pierwszych dyżurów w Anglii na izbę przyjęć przywieziono kobietę w wieku sześćdziesięciu kilku lat, czyli zdecydowanie za młodą, by umierać. Spadła z jachtu, który stał w suchym doku. Uderzyła głową o betonowe podłoże. Nad całą lewą – w jej przypadku dominującą połowę mózgu – rozwinął się potężny ostry krwiak podtwardówkowy. Cała półkula była przy tym obrzęknięta i stłuczona, bardzo poważnie i nieodwracalnie uszkodzona. Teoretycznie można było ją ratować, bo zgodnie ze wszystkimi definicjami żyła, nie ulegało jednak wątpliwości, że nawet jeśli przetrwa operację i pierwszy okres rekonwalescencji, to już nie będzie tą samą kobietą. Najprawdopodobniej swoje życie, a żyć mogła jeszcze długo, przeleżałaby w stanie wegetatywnym, czekając na śmierć. Nasz

konsultant zaprosił jej rodzinę do gabinetu i tam spokojnie wyjaśnił, jakie życie czeka najpewniej ich bliską. Rodzina nie krzyczała, żeby ratować za wszelką cenę, tylko zdecydowała, by nie operować. To była ich decyzja, podjęta na podstawie dobrych przesłanek, a nie łapówek, znajomości czy presji mediów. Wszyscy – zespół lekarzy i rodzina – kierowali się dobrem pacjentki i pozwolili jej godnie odejść kilka godzin później. Bez dramatycznej operacji, brzęknącego mózgu, który nie pozwala czasem zamknąć rany po kraniotomii, piekła powolnego umierania na intensywnej terapii czy w zakładzie opiekuńczo-leczniczym.

Teraz, gdy pracujesz już jako konsultant, także musisz prowadzić takie rozmowy z rodzinami? Jak one wyglądają?

– Niedawno miałem pacjentkę – starszą, schorowaną panią, która przewróciła się na ulicy i złamała kręgosłup, uszkadzając rdzeń kręgowy, do tego dość szybko rozwinęło się paskudne zapalenie płuc. W Indiach, z których pochodziła, trochę inaczej podchodzi się do życia i śmierci. Jej córki wierzyły głęboko w cud i w to, że matka może nagle ozdrowieć. Mimo to z wielką otwartością wysłuchały nas, lekarzy. Wyjaśniliśmy im, że terapia matki będzie uporczywa, a niecelowa, że jej głęboki niedowład czterech kończyn i mięśni oddechowych się nie wycofa i że dalsze leczenie przyniesie jedynie ból i cierpienie. Razem podjęliśmy decyzję, że jeśli pacjentka zacznie umierać, to dołożymy starań, aby zapewnić jej komfort i godność, ale nie będziemy jej za wszelką cenę utrzymywać przy życiu. Było nas troje – dwóch konsultantów neurochirurgów oraz anestezjolog. Każdy, odwołując się do swojego doświadczenia i specjalności, tłumaczył, jakie są opcje. I ta rozmowa nie odbywała się na korytarzu albo w obłej dyżurce, tylko w specjalnie przystosowanym do tego pomieszczeniu, zaaranżowanym w taki sposób, by rodzinom było choć trochę lżej przyjmować bardzo złe informacje. Pamiętam, że po śmierci tej pacjentki do szpitala został przesłany przez rodzinę list z podziękowaniami za opiekę nad tą nieszczęsną kobietą.

Ktoś mógłby powiedzieć, że daliśmy jej umrzeć, a moim zdaniem pozwoliliśmy jej po prostu godnie odejść. Niestety polski pacjent umiera często długo i w bólu.

Ta różnica w podejściu do śmierci wydaje się mieć kolosalne znaczenie dla całego systemu ochrony zdrowia.

– W Polsce pracowałem często w warunkach niemal wojennych – mam na myśli braki kadrowe i logistyczne. Fakt, że wykonuje się operacje osób ewidentnie nierokujących rozsądnej poprawy, wpływa na to, że nie ma szczególnego zaangażowania analizowaniem wyników leczenia. Śmierć jest wpisana w tę pracę. W Anglii podoba mi się to, że każde powikłanie pooperacyjne i każdy zgon są dokładnie analizowane – nie pod kątem winy i kary, ale po to, by upewnić się, że podjęte decyzje były optymalne w danej sytuacji, i aby uczyć się na błędach, które zdarzają się niestety wszędzie. Czasem takie przypadki są kierowane do oceny przez zewnętrzną instytucję. Taką instytucją jest tutaj Coroners Court. (...)

Osiem lat temu zdecydowałeś się na stałe wyjechać do Wielkiej Brytanii. Rozumiem, że ta decyzja wynikała z hierarchiczności systemu, podejmowania zabiegów skazanych na porażkę, braku wsparcia i zabezpieczenia personalnego – czy było coś jeszcze, co popchnęło cię za granicę?

– Jeszcze cicha zgoda na to, by było właśnie tak, jak powiedziałeś. W jednym ze szpitali, w których pracowałem po studiach, poznałem starszego chirurga. Facet równocześnie prowadził prywatną praktykę. Był moim zdaniem dość przeciętnym lekarzem i chirurgiem, a jednocześnie utalentowanym menedżerem. Po konsultacji w prywatnym gabinecie następowała szybka operacja w szpitalu publicznym. W razie powikłań do rozmowy z pacjentem i rodziną byliśmy delegowani my, młodzi. Bardzo często miałem ochotę powiedzieć tym ludziom, że przecież to oni podjęli decyzję, by ich bliski był operowany przez tego właśnie człowieka. Czego się spodziewali?

Ale nie powiedziałaś?

– Byłem za młody i wystraszony. Nie czułem się na siłach stanąć do walki z systemem. To była powszechnie znana i akceptowana sytuacja. Takie trochę bagno, w którym nie bardzo wiedziałem, jak się poruszać. Chciałem operować i skończyć specjalizację, pomagając tym, którym mogłem pomóc, a nie walczyć z wiatrakami.

Polski system ochrony zdrowia ma szansę się zmienić?

– Pamiętam, że w 2015 r. na ekranie wszedł film „Bogowie” o przeszczepie serca dokonany przez prof. Religę w latach 80. Byłem wówczas na stażu w Nowym Jorku.

Po prostu harowałem i zdobyłem zaufanie lekarzy. Może coś tam we mnie dostrzegli.

Mieszkalem bardzo blisko szpitala, w którym praktykował prof. Religa przed powrotem do Polski i utworzeniem ośrodka w Zabrze. Byłem zafascynowany i natchniony. Chciałem nieść kaganek oświaty i naprawiać to, co w Polsce od dawna nie działało. Bardzo naiwnie, ale też bardzo szczerze. Razem z moim mentorem z Anglii postanowiliśmy zorganizować konferencję szkoleniową dla neurochirurgów na temat zachodnich rozwiązań systemowych. To miało być bardzo solidne i atrakcyjne przedsięwzięcie w moim ukochanym Wrocławiu. Wszystko było dopięte na ostatni guzik – program, miejsce, sponsorzy i przede wszystkim prelegenci z naprawdę górnej europejskiej półki. Zgubiła mnie, myślę, pycha – popełniłem kardynalny błąd, nie zapraszając do grupy wykładowców nikogo z chirurgów z Polski oprócz profesora Jarmundowicza, mojego byłego szefa, który miał uświetnić kurs wykładem na temat historii neurochirurgii. Nagle wycofali się wszyscy sponsorzy, a mnie poinformowano bardzo uprzejmie, że polskie towarzystwo organizuje własny cykl szkoleń i nie ma potrzeby, abyśmy się fatygowali z naszej Anglii. To było

przykre, bo to przedsięwzięcie miało służyć wyłącznie edukacji i dać pole do rozwijającej wymiany poglądów. Nie udało się, „nie było potrzeby”... Odpowiadając więc na pytanie, czy polski system ochrony zdrowia ma szansę się zmienić: nie wiem.

Wyjechałeś do Anglii szukać sensu. Mam nadzieję, że go znalazłeś.

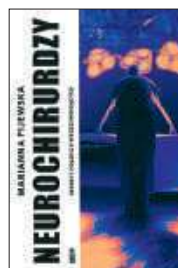
– Jako konsultant specjalizuję się w neurochirurgii kręgosłupa, która ma w sobie pierwiastek niesamowitości. Kilka godzin, kilkadziesiąt zamaszystych ruchów topornymi dłutami, uświetnionych serią precyzyjnych manewrów pod mikroskopem, i życie człowieka leżącego na stole operacyjnym odmienia się raz na zawsze.

Miałem takiego pacjenta: informatyka i hokeistę z bardzo złośliwym guzem kręgosłupa lędźwiowego. W przypadkach guzów takich jak jego dobra operacja leczy z nowotworu na dobre, zła – daje początek powolnemu konaniu. Operacja się powiodła, a gdy pacjent wrócił do sportu, sprawił mi prezent w postaci koszulki swojej drużyny z moim nazwiskiem i numerem jeden. To są bardzo miłe momenty. (...)

A co jest twoim celem nadrzędnym jako neurochirurga?

– Oprócz wykonywania swojej pracy najlepiej, jak potrafię, chciałbym też coś po sobie zostawić. I mówiąc to, nie wyobrażam sobie własnego popiersia w szpitalu ani pogrzebu, na którym setki osób, płacząc, wychwalają mnie pod niebiosa. Najbardziej na świecie chciałbym zostawić po sobie dobrą praktykę. Chciałbym być tym, który nie zabija etosu naszego zawodu, entuzjazmu w młodszych i poczucia sensu w starszych kolegach po fachu, a przede wszystkim nie zabija godności pacjentów i ich bliskich.

Rozmowa z książki Marianny Fijewskiej *Neurochirurgdzy. Sekrety polskich wszechmogących*, Znak, Kraków 2022



Dziękuję za ślepotę

Choć stracił wzrok, nie poddał się. Stworzył kawiarenkę muzyczną, uczy, jak postępować z niewidomymi, prowadzi telefon zaufania

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

– No, może tak do trzydziestki będzie pan widział, obcesowo rzuciła okulistka. Informując jednocześnie, że choruję na jaskrę. Wyszedłem z gabinetu wściekły – wspomina Grzegorz Dudziński, 56-latek spod Bydgoszczy. – Miałem wtedy dwadzieścia parę lat. Świetnie się czułem. Studiowałem dziennikarstwo na warszawskim uniwerku. Pracowałem jako reporter lokalnego wydania „Gazety Wyborczej”. Widziałem dobrze. Wprawdzie od dzieciństwa lekarze sygnalizowali, że wzrok jest osłabiony, ale ślepotą? Bez przesady!

Jednak okulistka dobrze zdiagnozowała chorobę. To była jaskra. Ośiem operacji w najlepszych ośrodkach pomogło o tyle, że proces tracenia wzroku się wydłużył. Najpierw miał kłopoty z rozpoznawaniem twarzy. Potem widział tylko sylwetki. Wkrótce jedynie cienie. – Zostało mi poczucie światła – mówi Dudziński. – Jest coraz słabsze i słabsze, ale ciągle widzę, gdy jasność wpada przez okno do pokoju, a nocą dostrzegam świecące reflektory samochodu.

Zderzenie ze słupem

Maciej Różycki, bydgoski muzyk, kompozytor, nauczyciel, wieloletni juror festiwalu stworzonych przez Dudzińskiego: – Grzegorza zawsze było pełno. Gdy wyrzucali go drzwiami, wchodził oknem. Może dlatego nie od razu zorientowałem się, że ma



Lucek, siedmioletni golden retriever, bardzo pomaga Grzegorzowi Dudzińskiemu.

kłopoty z widzeniem. A sam nic nie mówił. Dopiero gdy kiedyś, w czasie festiwalu piosenek Jacka Kaczmarskiego, wszedł w szary słup, który stał na tle szarej ściany, zorientowałem się, że jest niedobrze.

Dla samego Dudzińskiego zderzenie ze słupem też było momentem przełomowym. Choć to był inny słup: – Ośiem lat temu wpadłem na uliczną latarnię. Uderzyłem się w środek głowy. I usłyszałem gdzieś z boku sceniczny szept: „Zobacz, ale się nawalił!”. Wtedy zrozumiałem, że czas skończyć z udawaniem, że jest dobrze. Trzeba sięgnąć po białą laskę. Dotarło do mnie, że już nigdy nie będę widzieć, i zawałił mi

się świat. Edyta – moja niepracująca zawodowo żona, która zajmowała się domem i dwoma synami – też przeszła traumę. Zastanawialiśmy się, co będzie dalej. Za co będziemy żyli?

Julian, młodszy syn, dziś 23-letni, wspomina, że nie przeraziło go, gdy tata stracił wzrok. – Bo to rozciągnęło się w czasie. Można było się oswoić – tłumaczy. Ale może już nie chce pamiętać, że mieli z bratem problem. Grzegorz Dudziński: – Synowie nie chcieli chodzić ze mną, gdy miałem białą laskę. Bo nagle ich tata – energiczny dziennikarz zarabiający kupę kasy, założyciel sekcji judo – zamienił się w biednego inwalidę. Dopiero potem, gdy powstała Światłownia, a w niej koncerty, i zaczęło do nich docierać, że innym, a zwłaszcza kolegom, to się bardzo podoba, powoli zmienili nastawienie.

Stawianie do pionu

Pomocną dłoń wyciągnął wtedy Jerzy Olszewski, niewidzący od urodzenia nauczyciel z bydgoskiej szkoły dla niewidomych. – To Jurek ustawiał mnie do pionu – podkreśla Dudziński. – Z nim godzinami chodziłem po bydgoskich Bartodziejach z białą laską, ucząc się nowego życia.

– Grzegorz miał wtedy potężnego doła, bo każdy ma doła, gdy straci wzrok – wspomina Jerzy Olszewski. – W dodatku był w trudniejszej sytuacji, bo wiadomo było, że swojego zawodu – reportera prasowego – już nie będzie mógł uprawiać. Ale on zawsze był otwarty. I szybko zaczął wchodzić w świat niewidzących. Bo chciał wejść. Chciał nauczyć się

Ze swoim autorskim „Programem obsługi niewidomego” Grzegorz Dudziński pokazuje nawet dzieciom, jak postępować z osobą niewidomą.



samodzielności. I uczył się, jak chodzić po mieście, jak korzystać z komputera, jak ogarnąć wszystko wokół siebie. Szybko się otrząsnął. Ja mu tylko trochę pomogłem – ocenia Olszewski, który słyszy, że przechodzi obok krzewu czy siatki ogrodzeniowej. – Wystarczy laską stuknąć w chodnik i słuchać, jak rozchodzi się fala głosowa – tłumaczy.

– Takiej biegłości nigdy nie osiągnę – uśmiecha się Grzegorz Dudziński. – Ale dzięki Jurkowi i tajemnikom echolokacji, które mi przekazał, już „słyszę” ścianę czy przejście podziemne.

Samodzielność

– Samodzielność jest najważniejsza, pozwala pracować, żyć pełnią życia – twierdzi pan Grzegorz. – Znakomicie pomaga mi w tym udźwiękowiony laptop, a najbardziej iPhone, bo jest dostosowany do potrzeb niewidomych. Ma wbudowaną gadaczkę, a aplikacje na wszystkich iPhone’ach działają tak samo. Poza tym jest już sporo apek stworzonych specjalnie dla niewidomych. Są np. takie, które rozpoznają banknoty, skanują otoczenie i informują, gdzie się znajdujesz, odczytują wydrukowany tekst. Jest również świetna aplikacja Be my eyes (bądź moimi oczami) łącząca z pierwszym dostępnym wolontariuszem, który może być na drugim krańcu Polski, ale widzi przez kamerę mojego telefonu.

Koncert w Świątłowni.



Co pozwala poprowadzić mnie do celu. Czy choćby odnaleźć laskę.

Komfort życia i samodzielność Dudzińskiego polepszył znacznie sympatyczny Lucek – obecnie siedmioletni golden retriever, pies przewodnik specjalnie wyszkolony do pracy z niewidomymi. – Dostałem go trzy lata temu. Jest niezastąpiony – mówi pan Grzegorz. – Dzięki niemu stałem się bardziej mobilny. A to pozwala szybciej pogodzić się z utratą wzroku. Znam takich, którzy przez wiele lat nie przepracowali swojej traumy. Mają strasznie. Ciągłe są w fazie buntu, gorzkniej i nie idą naprzód.

Świątłownia

Gdy uczył się poruszać z białą laską, już miał zbudowany muzyczny przyczółek do nowego życia

– Festiwal Piosenek Jacka Kaczmarskiego „Źródło wciąż bije”, który organizuje corocznie od 2006 r. Później wymyślił i zorganizował Festiwal Widzących Duszą „Muzyka otwiera oczy” dla niewidzących i niedowidzących artystów. A dziesięć lat temu stworzył Świątłownię.

– Po odejściu z dziennika „Fakt” przeszedłem na rentę i zacząłem działać w Polskim Związku Niewidomych. Ale szybko się zraziłem. Bo PZN niewiele pomaga niewidomym. Rozumie problemy niedowidzących, ale nie dostrzega potrzeb niewidzących. Dlatego postanowiłem

sam stworzyć przestrzeń dla takich jak ja. I tak przy ulicy Świętej Trójcy, w zdewastowanym pustostanie należącym do bydgoskiego ADM, powstała Świątłownia, magiczne miejsce, które łączy ludzi. Muzyczna kawiarenka może pomieścić ok. 100 osób. Śpiewają tu i grają artyści z całej Polski, m.in. Jacek Wójcicki, Jan Jakub Należyty, Marian Opania, Wiktor Zborowski, Edyta Geppert, Marek Gałuszka, Jan Kondrak. Zaczęliśmy od zespołu Czerwony Tulipan, nie mając zupełnie środków. Muzycy zagrali bez honorarium piękny koncert. A tuż po nim dostaliśmy wiadomość, że zmarł Przemek Gintrowski. Wielki bard odchodzi, rodzi się Świątłownia, potraktowałem to symbolicznie – nie kryje Grzegorz Dudziński. Świątłownia organizuje też kursy szkoleniowe, m.in. obsługi ▶

► sprzętu. A ostatnio – pomoc dla niewidomych i niedowidzących uchodźców z Ukrainy.

Jak czolg

– Znamy się z Grzegorzem od momentu powstania Światłowni. Zaprosił mnie wtedy na występy. I już zostałem. Bo Grzegorz przyciąga. Ma charyzmę. Jest otwarty, pomocny, wrażliwy na cudzą niedolę i zupełnie niepamiętliwy, niemściwy – wylicza Marcin Białczyk, przyjaciel, lider zespołu szantowego Pilersi. – Najbardziej podoba mi się w Grzegorzu to, że nie załamuje się przeciwnościami, że kroczy prosto do celu. Uparcie prowadzi Światłownię. Zupełnie moim zdaniem niedocenioną. A to lokal jedyny taki. Dla ludzi, którzy chcą czegoś dla duszy. Upór to jednocześnie wada Grzegorza. Niekiedy trzeba dużo czasu i siły, żeby przekonać go do zmiany zdania czy decyzji.

– Nie ma kompleksów. Idzie jak czolg – potwierdza Różycki. – Lubi wchodzić na tereny, na których jeszcze nikt nie był. A przynajmniej nikt niewidzący. Nie znosi, gdy ktoś mu mówi, że czegoś nie może. Wtedy robi wszystko, żeby udowodnić, że jednak może. Latał już na motolotni, sunął na wodnej kanapie, chodzi w góry. Tak buduje przyczółki



Grzegorz Dudziński latał na motolotni, sunął na wodnej kanapie, chodzi w góry.

dla niewidzących. Czy się zmienił? Na pewno jest bardziej niecierpliwy niż kiedyś.

– Jaki jest tata? – zastanawia się Julian. – Najkrócej mówiąc, jest porządny. Bardzo stara się wszystko, co robi, doprowadzić do końca.

Obsługa niewidomego

Wchodząc w świat ociemniałych, pan Grzegorz szybko się zorientował, że choć niewidomi zawsze byli na świecie, to ludzie widzący nie potrafią z nimi postępować. Zamiast zapytać człowieka z białą laską, czy

mogą w czymś pomóc, nagle łapią go za rękaw i ciągną np. do autobusu. Choć może on wcale pomocy nie potrzebuje i do autobusu wsiadać nie chce, a takie nagłe pochwycenie za rękaw odbiera jako napaść. Dlatego Dudziński opracował autorski „Program obsługi niewidomego”. I szkoli policjantów, strażaków, strażników miejskich, urzędników, młodzież i dzieci, jak postępować z niewidomym. Jak pomagać. A przede wszystkim jak nie przeszkadzać.

Szef Światłowni prowadzi również telefon zaufania dla tracących wzrok. – To trudne i długie rozmowy. Bo ludziom tracącym wzrok często rozpada się kariera, rodzina, koledzy się odsuwają. Dlatego buntują się przeciw Bogu. Pytają: dlaczego właśnie ja?! Czasem taka pełna płaczu rozmowa trwa dwie-trzy godziny. Oczywiście mogą tylko wysłuchać i wskazać kierunek zmian. Reszta należy do dzwoniącego. Ale mam sygnały, że takie rozmowy są bardzo potrzebne. Niektórzy dzwonią po paru miesiącach raz jeszcze i dziękują za wsparcie.

– Dziś moje niewidzenie nazywam wprost ślepotą, jak Onufry Zagłoba – podsumowuje Grzegorz Dudziński. – I już nie traktuję jako niewyobrażalnej straty. Wręcz przeciwnie. Mam wrażenie, że teraz dostrzegam i robię więcej. Napisałem nawet felieton, który zatytułowałem: „Dziękuję Bogu za ślepotę”.

Małgorzata Szczepańska-Piszc
m.piszc@tygodnikprzeglad.pl



www.wydawnictwomg.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Zepsuty cud

Wybory w Izraelu wygrał Netanjahu, fanatyk i nawiedzony cynik, więc izraelski Kaczyński, w przymierzu ze skrajną prawicą będzie tworzył rząd. Carolina z Jerozolimy pisze do mnie, komentując sytuację jednym zdaniem: „Gorzej być nie może”. Grzegorz, mój kolega z klasy, teraz żyje w Aszkelonie, ocenia: „Będzie nami rządzić banda fanatyków. Ich nie nawisć do Arabów popierają cytatami z Talmudu. My, liberalni ateści, jesteśmy ich wrogiem. Endecja. Ohyda. Demografia jest przeciwko nam. Będzie coraz gorzej”. Odpisuję: „Jak można tak psuć cud powstania i istnienia tego państwa? W tym jest potężna dawka autodestrukcji. Polska też jest autodestrukcyjna, my z kolei psujemy cud odzyskania niepodległości. Ale jestem optymistą, wierzę, że nasza endecja przegra za rok wybory.

Według „Daily Mail” u 70-letniego Putina zdiagnozowano chorobę Parkinsona oraz raka trzustki. Niewykluczone, że choruje także na raka prostaty. I rosyjski przywódca ma być „nafaszerowany” sterydami. To są źródła podobno zbliżone do Kremla. Marzenia, marzenia. Pamiętam, jak jeszcze niedawno pewne źródła mówiły, że Jarosław Kaczyński ma raka trzustki. To są oczekiwania, które wynikają z gniewu i z bezradności. Koszmar tej wojny na Ukrainie, młodzi ludzie, dzieci niemal jeszcze, mordują się nawzajem. I tak od tysiącleci, zawsze bez sensu. Jak człowiekowi przybywa lat, jaskrawiej widzi ten absurd.

Odnutowuję największe kretynizmy PiS. Oto kolejny. Barbara Nowak, słynna już z bezdennej głupoty pisowska kurator oświaty – tacy ludzie zajmują się teraz polską edukacją – napisała przed Świętem Zmarłych: „Niedługo Święto Wszystkich Świętych. Zaprosimy ich do domów, na polskie ulice. Niech oczyszczą je z niewoli ekologizmów, haseł mordowania najsłabszych i demoralizowania ludzi. Wyrzucimy do kosza bzdury o klimacie, eksperymenty z pfciami. Wolność, a nie niewola jest nam dana od Boga”. Już widzę tych świętych, jak chodzą po polskich ulicach i je czyszczą z niewoli ekologizmów i z haseł mordowania płodów, proszę sobie to wyobrazić. Żelazny elektorat PiS w zmiany klimatyczne nie wierzy. Ekologia to kolejny wróg prezesa.

Polska się wyludnia. W 2021 r. urodziło się najmniej dzieci od czasów II wojny światowej. Co piąty

mieszkaniec Polski ma więcej niż 65 lat. Na początku lat 90. wskaźnik był zdecydowanie na korzyść osób młodych. Teraz, patrząc na dane, widzimy rosnący odsetek osób w wieku 65+. I będzie coraz gorzej. O tym wszystkim demografowie mówili od wielu lat. Nie widać jednak, żeby przez obecne i poprzednie władze podejmowane były jakiegokolwiek wysiłki, które miałyby nas przygotować na nadchodzącą sytuację demograficzną. Prezes, który jeździ po kraju i wszystko wie, i gadu-gadu, jak podchmielony wujek na weselu, wie też, czemu w Polsce jest taka mała dzietność. Niedawno w Ełku powiedział: „Jeżeli np. utrzyma się taki stan, że do 25. roku życia dziewczęta, młode kobiety, piją tyle samo co ich rówieśnicy, to dzieci nie będzie”. Wielka kariera w mediach tej mądrości.

Jest podpisana umowa, kupujemy elektrownię atomową w Stanach, ma być gotowa w 2033 r. Ciekawe, czy jej dożyję. Jestem wielkim zwolennikiem takich elektrowni, ale dlaczego ma powstać w Stajszewie, dokładnie na naszej plaży? Bajecznie piękne miejsce, duży las, plaża największa w Polsce, szkoda tego dla elektrowni. Ludzie tu wiele zainwestowali w infrastrukturę turystyczną, są stadniny koni, wszystko szlag trafi. I co na to bociany, których tu tyle? Wójt pobliskiego Choczewa mówi: „Teraz jesteśmy biedni i piękni, za to później będziemy brzydszy i bogaci”.

Szkoła była dla mnie udręką. Teraz obserwuję, jak moje dzieci są dręczone przez szkołę, jak przeładowany jest program, ile trzeba się uczyć na pamięć rzeczy, które nigdy nie będą im potrzebne. Jakby nie dosyć Czarnka i jego ideologicznych pomysłów, nauka szkolna ma stworzyć nowego Polaka, patriotę. Ale i bez tego ten program jest skandaliczny. Jest archaiczny, ważna jest pamięć, a nie kreatywność. A dzisiaj pamięć mieszka w internecie. To szkoła w stylu XIX w., jakby świat nie zmienił się radykalnie. Wszystkie kolejne rządy są odpowiedzialne za to, że nie zreformowano edukacji. No i te nauczycielskie pensje, trwa selekcja negatywna w tym zawodzie.

Antek, mój 16-latek, dokonuje z mojego konta bankowego zakupu telefonu dla siebie. Po raz pierwszy kupuje w internecie, a robi to błyskawicznie. Gra pewnie na klawiaturze, z wigorem Chopina. Czuje się w tym świecie jak ryba w wodzie, ja w tej wodzie tonę.

Michael Bar-Zohar
Nissim Mishal

7 marca 2007

Ibrahim Othman wysiadł z windy na czwartym piętrze hotelu i ruszył w stronę swojego pokoju, ale kilka kroków od niego się zatrzymał. Na podłodze przy sąsiednich drzwiach siedziała młoda kobieta i gorzko płakała. Obok niej leżała duża srebrzysta walizka. Nieznajoma uderzyła pięściami w jej solidną pokrywę i nacisnęła dwa zatrzaski, próbując ją otworzyć. Na próżno.

Othman wahał się przez chwilę, po czym podeszedł do niej.

– Co się stało? – zapytał po angielsku. – Czy mogę pani pomóc?

Uniosła zapłakaną twarz.

– Nie mogę otworzyć walizki – odpowiedziała, szlochając. – Zgubiłam klucz. Nie wiem jak. Nie wiem, co robić.

– Może zapyta pani na dole, w recepcji – zasugerował. – Oni mogą wiedzieć...

– Nic nie wiedzą! Włożyłam do niej torebkę ze wszystkimi dokumentami i kluczem do mojego pokoju. Nie mogę do niego wejść. A... moje dokumenty i pieniądze...

– Mogę spróbować pani pomóc – rzekł lekko zakłopotany.

– Nie, nie może pan.

Uklękła obok niej i nacisnęła zatrzaski, próbując otworzyć walizkę. Nic się nie stało.

– Może jednak zadzwonimy do recepcji? – zapytał ponownie.

– To nic nie da. – Zawahała się. – Chwileczkę, ktoś mi kiedyś powiedział... Ma pan może jakiś inny klucz, śrubokręt... albo szczyrtek, którego mogłabym użyć?

Wzruszył ramionami.

– Nie, przykro mi. – Nagle wpadł na pomysł. – Może klucz do mojego pokoju? Spróbujmy.

– Nie sądzę – odparła. – Ale... niech pan mi pozwoli spróbować.

Dał jej klucz do swojego pokoju. Pochyliła się nad walizką, odwracając się do niego plecami tak, że nie widział jej rąk, a następnie zręcznie odcisnęła jego klucz w jakimś podobnym do plasteliny materiale,

Nina, „Marilyn” i Kira

Osiągnięcie trzech funkcjonariuszek operacyjnych Mosadu było jednym z największych dokonań tej służby

który miała ukryty w dłoni. Nie tracąc czasu, wsunęła klucz Othmana do wąskiej szczeliny nad zatrzaskami walizki, po czym ponownie je nacisnęła. Rozległo się metaliczne kliknięcie.

– Boże! – Spojrzała zdumiona na walizkę. – Udało się! (...)

Wszedł do pokoju. Nie miał pojęcia, że młoda kobieta zrobiła odcisk jego klucza. W mniej niż godzinę towarzysze zapłakanej dziewczyny, Niny, zrobili jego kopię. Dzięki temu zespół operacyjny Mosadu zyskał możliwość wejścia do pokoju Ibrahima Othmana, szefa syryjskiej rządowej komisji do spraw energii jądrowej.

Mosad śledził Othmana już od dłuższego czasu, ale bez większych sukcesów. Strzępy informacji z różnych źródeł, a głównie raport mjr. Jakobiego, służącego w Amanie, izraelskim wywiadzie wojskowym,

znaleźć odpowiedź na pytanie, czy Syria buduje instalację nuklearną. Zadanie to powierzono wydziałowi „Keszet” (Łuk), specjalizującemu się w wyrafinowanych operacjach wywiadowczych za granicą.

Przeprowadzający setki operacji rocznie „Keszet” był najbardziej aktywnym wydziałem Mosadu. Jego pracownicy wyróżniali się kreatywnością i nieszablonowością. Obmyślali pomysłowe akcje w celu zdobycia informacji, dokumentów i urządzeń, rozwinęli także sposoby subtelnej podchodzenia ważnych oficjeli wroga, którzy działali poza granicami swoich krajów. Czasem celem inwigilacji i śledztwa stawały się osoby lub delegacje wysłane przez nieprzyjazne rządy do Europy, Azji czy Afryki, czasem byli to sojusznicy wroga, dostawcy, a nawet wysocy rangą oficerowie obcych armii, którzy współpracowali z nieprzyjaciółmi Izraela.

Zdobycie klucza do pokoju Othmana było pierwszym z trzech etapów operacji, z których każdy stanowił samodzielną misję.

wzbudziły podejrzenie, że Syria, być może śladem Iranu, Iraku i Libii, próbuje zbudować własną broń jądrową. Większość ekspertów Mosadu odrzuciła jednak tę teorię. Jednym z ich głównych argumentów było to, że „takie przedsięwzięcie nie pasuje do Baszara [al-Asada]”. Pasowało czy nie, debata toczyła się dalej; aż w końcu ramsad (dyrektor Mosadu) Meir Dagan postanowił zweryfikować hipotezę Jakobiego. Na spotkaniu z szefami wydziałów Mosadu Dagan uparcie odrzucał wszystkie zastrzeżenia i wątpliwości. W końcu nakazał wszelkimi sposobami

Przeciwdziałanie zagrożeniu nuklearnemu znajdowało się na szczycie listy najważniejszych zadań Mosadu, a na szczycie listy krajów mogących stanowić takie zagrożenie był Iran. Jednakże ramsad Dagan uważał, że jeśli Iran był głęboko zaangażowany w projekt nuklearny, a Irak również próbował rozwinąć podobny program, to jego obowiązkiem było dopilnowanie, by żaden inny wrogi kraj nie zbudował potajemnie broni jądrowej. To dlatego uparcie nalegał, aby podległe mu służby dowiedziały się dokładnie, co robi Ibrahim Othman, „Mister Atom” syryjskiego rządu.

Według zagranicznych źródeł to Ram Ben Barak, szef „Keszetu”, wysłał swoich ludzi, by śledzili Othmana. Syryjczyk dużo podróżował.

– Dagan kazał nam dowiedzieć się, czy Syria ma program nuklearny, czy go nie ma – powiedział Ben Barak dziennikarzowi wiele lat później. – Przez kilka miesięcy przeprowadzasz różne akcje na całym świecie, dopóki nie dopisze ci szczęście. Ktoś popełnia błąd w jednym miejscu, a ktoś odnosi zwycięstwo w innym. Meir Dagan był bardzo wytrwały. Wiele osób mówiło mu, że w Syrii nie może być reaktora. Że wszystkie te wydatki i czasochłonne zabiegi są na darmo. Ale my wykonywaliśmy jego rozkazy i nie odpuściliśmy.

Najwyraźniej różne operacje przez dłuższy czas nie przyniosły żadnych owoców. Wysyłanie zespołów „Keszetu” śladem Othmana kosztowało fortunę, a wyniki były zerowe. Ale później funkcjonariusze Mosadu dowiedzieli się, że Othman przyjeżdża do Wiednia na doroczną konferencję Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Chociaż miał mieszkanie w stolicy Austrii, tym razem zdecydował się na pobyt w hotelu i tam poznał zapłakaną izraelską amazonkę.

Zdobycie klucza do pokoju Othmana było pierwszym etapem „tria” – trzech etapów operacji, z których każdy stanowił samodzielną misję. We wszystkich główne role odegrały trzy młode funkcjonariuszki operacyjne Mosadu.

Etap drugi. Następnego ranka Othman zszedł na śniadanie do hotelowej restauracji. Rozejrzał się i zobaczył, że wszystkie stoliki są zajęte. Nie wiedział oczywiście, że większość osób jedzących i zamawiających śniadanie to funkcjonariusze Mosadu. Zostawili mu tylko jedno miejsce w całej restauracji: puste krzesło przy stoliku, przy którym siedziała młoda kobieta. Rozmawiała przez telefon komórkowy, popijając kawę.

– Czy mogę tu usiąść? – zapytał.
– Jasne. – Wzruszyła ramionami i wróciła do rozmowy telefonicznej, którą prowadziła po angielsku i z narastającą złością. Kilka razy podniosła głos, po czym rozejrzała się wściekła i w końcu zakończyła rozmowę, uderzając telefonem w blat stolika. – Drań – wyszeptała. – Żeby mi to zrobić!
– Uniosła wzrok i spojrzała na swojego nowego sąsiada. – Przepraszam, straciłam panowanie nad sobą, ale ten drań znowu się wymiga!



Mosad śledził Othmana już od dłuższego czasu, ale bez większych sukcesów.

Othman pokiwał głową ze współczuciem, a rozwścieczona dziewczyna wciąż ciskała gromy. Opowiedziała mu o swoim chłopaku, na którym nie mogła polegać w żadnej sprawie. (...)

Othman uprzejmie pokiwał głową na znak, że się z nią zgadza.

– Najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, co traci – powiedział.

Spojrzała na niego.

– A pan kim jest?

Przedstawił się, ale nie wspomniał o swoim stanowisku w Komitecie do spraw energii jądrowej.

– Mam na imię Marilyn. – Uśmiechnęła się. Zadała kilka przypadkowych pytań i dowiedziała się, że on dobrze zna Wiedeń i dużo podróżował po świecie. Stopniowo pograżyli się w łatwej, przyjemnej konwersacji. Podobała się Othmanowi i delectował się rozmową z tak młodą i piękną kobietą.

Wróciła do nieudanej randki ze swoim chłopakiem.

– Tak się starałam, żeby ten wieczór był niezwykły – powiedziała. – Zamówiłam stolik u Silvia Nickola. Miejsca rezerwuje się tam z miesięcznym wyprzedzeniem. To najlepsza restauracja w Wiedniu!

– Tak, słyszałam.

Nagle uniosła głowę i zmarszczyła brwi.

– A co pan robi dziś wieczorem? – zapytała.

Zaskoczyła go.

– Dlaczego pani pyta?

– Szkoda byłoby anulować rezerwację – odparła. – Może... może razem zjemy tam kolację? (...)

O ósmej wieczorem spotkali się w hotelowym holu i pojechali takśówką do restauracji. Gdy opuścili hotel, członkowie zespołu „Keszetu” rozeszli się po holu. Dwie funkcjonariuszki i ich kolega usiedli na fotelach w pobliżu wind. Gdyby Othman nagle zmienił zdanie i wrócił za wcześnie, mieli go zatrzymać, zanim udałby się do swojego pokoju. Dowódca zespołu, Ejtan, siedział w samochodzie zaparkowanym niedaleko hotelu. Po kilku minutach usłyszał w słuchawkach głos jednego ze swoich ludzi, który użył umówionego hasła, by go poinformować, że para przyjechała do restauracji i już jest przy stoliku. Othman nie wiedział oczywiście, że przy sąsiednich stolikach siedzą inni funkcjonariusze Mosadu, którzy mieli pilnować, by kolacja przebiegała zgodnie z planem, i chronić „Marilyn”, gdyby Othman zaczął sprawiać kłopoty...

Wszystko było gotowe na trzeci etap operacji. Ejtan wysłał zespół operacyjny – Ejala i Kirę – na czwarte piętro hotelu. Mieli klucz do pokoju Othmana, więc bez problemu weszli do środka i zaczęli go przeszukiwać. Na biurku leżało kilka rzeczy osobistych Othmana – i telefon komórkowy! Syryjczyk prawdopodobnie nie chciał, żeby przeszkadzano mu podczas kolacji z „Marilyn”, i dlatego zostawił go w pokoju.

Telefon był chroniony hasłem. Kira wzięła go i w ciągu kilku minut zdołała się do niego włamać. Sprawdziła jego zawartość – był ▶

► pełen wiadomości i dokumentów. Aż tu nagle...

Nagle natknęli się na duży plik fotografii. Jeden po drugim na ekranie pojawiały się zdumiewające obrazy. Ukazywały ogromny budynek, a w nim reaktor jądrowy w zaawansowanym stadium budowy, duże części jego rdzenia i stojących obok Azjatów – Chińczyków lub Koreańczyków. Inne zdjęcia przedstawiały plac budowy reaktora, gdzieś na bezludziu. W pamięci telefonu było 35 takich fotografii. Ejla i Kira nie mogli uwierzyć własnym oczom. Othman sfotografował swoim telefonem tajny reaktor i azjatyckich ekspertów!

Opanowawszy emocje, dokonali robotę. Ejla przejrzał rozłożone na biurku dokumenty, ale nie znalazł niczego interesującego. Kira skopiowała zdjęcia z telefonu komórkowego za pomocą urządzeń, które przyniosła. Odłożyli potem wszystko z powrotem na biurko i wymknęli się z pokoju. Po wyśmienitej kolacji Othman i „Marilyn” wrócili do hotelu. Rozstali się w holu i dziewczyna gorąco podziękowała Syryjczykowi za miły wieczór.

Zasłużył na te podziękowania.

Jak głosi raport, to osiągnięcie trzech funkcjonariuszek operacyjnych Mosadu było jednym z największych dokonań tej służby. Zdumiewający materiał, który uzyskano dzięki Ninie, „Marilyn” i Kirze, został natychmiast przedstawiony ramsadowi, szefowi Sztabu Generalnego i premierowi. Zdjęcia wykonane w budynku ujawniły dużą cylindryczną konstrukcję z cienkimi, ale solidnymi ścianami. Inne fotografie przedstawiały rusztowanie wzniesione w celu wzmocnienia zewnętrznych ścian reaktora. Były też zdjęcia drugiego, mniejszego i wyposażonego w dystrybutory paliwa budynku, wokół którego można było zaparkować kilka ciężarówek. Trzecią budowlą była najwyraźniej wieża dostarczająca wodę do reaktora. Ramsad Dagan położył na biurku premiera Olmerta brązową kopertę zawierającą 35 fotografii, które pracownicy Mosadu przywieźli z Wiednia. Ehud Olmert osłupiał na ich widok.

– To jest reaktor produkujący pluton – poinformował go Dagan. Trudno było sobie wyobrazić bardziej zdumiewające odkrycie, które ujawniałoby istnienie śmiertelnego zagrożenia dla Izraela.

– Znaki zapytania się skończyły – powiedział Olmertowi asystent Dagan. – Teraz mamy tylko wykrzykniki!

Natomiast Dagan zapytał:

– Panie premierze, co robimy?

– Zniszczymy to! – odparł Olmert.

Było to rzeczywiście zdumiewające osiągnięcie, ale odstraszyło też poważne niepowodzenie izraelskich służb wywiadowczych. W ciągu kilku lat, do przypisywanej Mosadowi operacji wiedeńskiej, tuż pod nosem Izraela budowano reaktor jądrowy, o którym nikt w tym kraju nie wiedział. Gdyby nie lekkomyślne zachowanie Ibrahima Othmana, Izrael mógłby się przebudzić w ponurej rzeczywistości – w której jego najbardziej nieprzejednany wróg miałby broń atomową.

Zdjęcia pozyskane przez amazonki „Keszetu” przekazano do laboratoriów badawczych Mosadu i Amanu.

Ejla i Kira nie mogli uwierzyć własnym oczom. Othman sfotografował swoim telefonem tajny reaktor i azjatyckich ekspertów!

Analitycy szybko ustalili dokładne położenie reaktora: Al-Kibar, odizolowane miejsce na pustyni w prowincji Dajr az-Zaur we wschodniej Syrii, nad Eufratem i stosunkowo blisko granicy z Irakiem. Budynek miał postać dużego prostopadłościanu o wysokości 20 m i powierzchni 16 tys. m kw.

Teraz, gdy zdjęcia zostały przeanalizowane i specjaliści Mosadu wiedzieli, gdzie szukać, związana z nimi historia nabrała kształtu. Azjaci sfotografowani na terenie reaktora byli Koreańczykami z KRLD. Współpraca Syrii z Koreą Północną rozpoczęła się od wizyty w 1990 r. w Damaszku prezydenta Kim Ir Sena, podczas której on i prezydent Syrii Hafiz al-Asad podpisali porozumienie o współpracy wojskowej

i technologicznej. Umowa zawierała paragraf dotyczący energii jądrowej, ale koncentrowała się głównie na dostawach rakiet Scud z Korei Północnej do Syrii; pierwszy ładunek scudów dotarł do Syrii w lutym 1991 r., podczas amerykańskiej operacji „Pustynna Burza”.

Kwestia nuklearna została znów podjęta dopiero w czerwcu 2000 r., kiedy północnokoreańska delegacja przybyła do Damaszku na pogrzeb Hafiza al-Asada i spotkała się z jego synem oraz następcą Baszarem. Ich rozmowy o budowie obiektu jądrowego w Syrii zwieńczyło dwa lata później trójstronne spotkanie w Damaszku, podczas którego do projektu przyłączył się Iran. Trzy strony zgodziły się, że Korea Północna zbuduje syryjski reaktor, a Iran pokryje koszty budowy, sięgające 2 mld dol. Reaktor Al-Kibar miał być kopią północnokoreańskiego reaktora z Ośrodka Badań Jądrowych w Jongbjonie.

Budowa się rozpoczęła, ale amerykańskie i izraelskie służby wywiadowcze nie zdawały sobie z tego sprawy. Nawet wizyta w Damaszku

w 2006 r. irańskich naukowców, specjalistów w dziedzinie badań nuklearnych, nie zapaliła żadnego światła ostrzegawczego.

Ale nowe informacje, które trio funkcjonariuszek operacyjnych Mosadu przywieźło z Wiednia, uświadomiły izraelskiemu rządowi, że trzeba podjąć dramatyczne decyzje. Kopie zdjęć wysłano do CIA; w czerwcu 2007 r. Ehud Olmert przedstawił szczegółowy raport prezydentowi USA George'owi Bushowi i zasugerował, żeby USA zbombardowały reaktor, który stanowił poważne zagrożenie dla państw Bliskiego Wschodu. Kilka osób z amerykańskiej administracji, jak wiceprezydent Richard Cheney, poparło plan zbrojnego ataku, ale Bush się wahał. Ostatecznie, za radą sekretarz

stanu Condoleezy Rice i niektórych swoich asystentów, powstrzymał się od działania, argumentując, że zbombardowanie reaktora byłoby atakiem na suwerenne państwo. Zamiast tego wołał wykorzystać instrumenty dyplomatyczne. W rozmowie telefonicznej Olmert bez ogródek powiedział Bushowi:

– Pańska strategia jest dla mnie bardzo niepokojąca. Zrobię to, co uważam za konieczne, aby chronić Izrael.

– Ten facet ma jaja – powiedział później Bush. – Dlatego go lubię.

Tymczasem zadanie obserwacji reaktora przekazano satelitom USA i Izraela. Okazało się, że władze syryjskie, by nie ściągnąć na niego uwagi, nie rozmieściły wokół miejsca budowy baterii przeciwlotniczych. Syryjczycy rozrzucili nawet dokoła śmieci, aby stworzyć wrażenie, że nie prowadzi się tam żadnych robót. Mimo to z obserwacji satelitarnych wynikało, że budowa postępuje w zawrotnym tempie. Waszyngton i Jerozolima doszły do wniosku, że reaktor zostanie uruchomiony pod koniec września; każdy późniejszy atak na niego spowodowałby zatem uwolnienie śmiertelnych substancji radioaktywnych ze strasznymi skutkami zarówno dla środowiska, jak i dla ludzi w Syrii oraz poza nią.

Olmert postanowił bezzwłocznie zbombardować reaktor. Operacja nosiła kryptonim „Poza Szablonem”.

Według londyńskiego „Sunday Timesa” 4 września 2007 r. pododdział elitarniej jednostki komandosów sił powietrznych „Szaldag” (Zimorodek) został przerzucony śmigłowcami do rejonu Dajr az-Zaur, gdzie prawie cały dzień ukrywał się w pobliżu reaktora. (Wedle innej wersji wydarzeń byli to żołnierze Sajeretu Matkal). Jego zadaniem było podświetlenie ścian reaktora laserami, aby wskazać cele pilotom izraelskich odrzutowców.

Samoloty – cztery F-15 z bazy Chacirim i sześć F-16 z bazy Ramon – przyleciały następnej nocy o godz. 11. Aby zapobiec wojnie z Syrią, podjęto wszelkie możliwe działania mające ukryć zaangażowanie Izraela w tę operację. Samoloty

poleciały najpierw na północ, nad Morze Śródziemne, a kiedy dotarły do granicy syryjsko-tureckiej, skręciły na południe, jakby leciały z Turcji. Zbliżyły się do Dajr az-Zaur, lecąc na niezwykle niskiej wysokości. Powietrzne i naziemne jednostki walki elektronicznej Sił Obronnych Izraela (SOI) zakłóciły pracę syryjskich stacji radiolokacyjnych, wskutek czego nie wykryły one nadlatujących samolotów. Nad Al-Kibar piloci zrzućili bomby, które nakierowały się na świetlne plamki znaczników celu

W ciągu kilku lat, do przypisywanej Mosadowi operacji wiedeńskiej, tuż pod nosem Izraela budowano reaktor jądrowy, o którym nikt w tym kraju nie wiedział.

na ścianach reaktora, i zniszczyli całą budowlę.

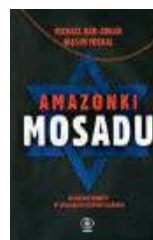
W następnych dniach światową prasę zalały sensacyjne doniesienia z krzykliwymi nagłówkami przypisujące zbombardowanie Al-Kibar Izraelowi, co wydawało się logiczne. Eksperti prorokowali, że wojna między Syrią a Izraelem jest nieuchronna. Ale prezydent Asad postanowił jej uniknąć. Izrael milczał jak grób i nie przyznał, że miał coś wspólnego z tą operacją. Asad i syryjski sztab generalny oczywiście rozumieli, że to izraelskie lotnictwo zbombardowało reaktor. Ale milczenie Izraela pozwoliło im uniknąć konieczności przeprowadzenia uderzenia odwetowego; poza tym Syria nie była zainteresowana ujawnieniem, że zniszczona budowla była reaktorem jądrowym, zbudowanym, jakby tego wszystkiego było mało, przez Koreańczyków z KRLD... Po długich godzinach ciszy i zamieszania syryjska państwowa agencja informacyjna opublikowała wielce zagmatwane oświadczenie. Podała w nim, że o pierwszej w nocy izraelskie samoloty naruszyły przestrzeń powietrzną kraju, „zrzuciły bomby na obszarze pustynnym, po czym nasze siły powietrzne zmusiły je do odwrotu. Nie wyrządziły szkód ludziom ani sprzętowi”.

Operacja ta miała jeszcze jeden rozdział, nie mniej dramatyczny. Szefem syryjskiego projektu nuklearnego był gen. Muhammad Sulejman, dowódca syryjskiej „armii cieni” – małej tajnej jednostki, w której służyli najlepsi oficerowie i eksperci wojskowi w kraju. Sulejman, jeden z najpotężniejszych ludzi w Syrii, był także zaufanym doradcą prezydenta Asada. Działal za grubą zastoną tajemnicy, z dala od mediów. Po zniszczeniu reaktora

w Dajr az-Zaur zaczął planować budowę nowego, ale nim się do tego zabrał, wziął kilkudniowy urlop, który chciał spędzić w swoim domu na plaży w Rimal al-Zahabii, na północy Syrii. Sulejman zaprosił grupę przyjaciół, po czym wszyscy zasiedli na werandzie z widokiem na spokojne Morze Śródziemne i delektowali się kolacją. Według doniesień prasowych nie zauważyli dwóch cieni, które wyłoniły się z fal leniwie toczących się w stronę brzegu. Byli to snajperzy, którzy wyjęli z wodoszczelnych futerałów karabiny, wycelowali je w głowę Sulejmana i jednocześnie wystrzelili. Sulejman upadł na stół i w powstałym zamieszaniu nikt nie zauważył komandosów, którzy ponownie zanurkowali i płynąc pod wodą, wrócili do swojej łodzi.

Rząd syryjski opublikował komunikat w sprawie śmierci Sulejmana, spowodowanej – jak napisano – „zawałem serca”.

Na tym zakończyła się misja, którą zapoczątkowała podróż trzech młodych amazonek do romantycznego Wiednia. (...)



Fragment książki Michaela Bar-Zohara i Nissima Mishala *Amazonki Mosadu. Niezwykłe kobiety w izraelskich tajnych służbach*, przekład Jan Pyka, Rebis, Poznań 2022



Dlaczego czasami
wyobrażamy sobie
zabijanie i przemoc

Mordercze fantazje

Łukasz Jach

Fantazje i wyobrażenia związane z przemocą są w naszej kulturze obłożone znacznie mniej poważnymi restrykcjami niż te dotyczące seksu. Spójrzmy choćby na ekrany telewizorów, gdzie filmy zawierające tzw. momenty oznaczane są jako dozwolone od 18. lub co najmniej 16. roku życia, podczas gdy przemoc w takiej czy innej formie pojawia się nawet w produkcjach dla kilkulatków. Pomysły też, ile razy zdarza nam się wypowiedzieć w stosunku do przyjaciół, znajomych lub nawet ludzi, których znamy znacznie słabiej, zdania typu: „zaraz cię zabiję”, „chętnie bym cię udusiła”, „ja cię chyba zamorduję” czy „no, chyba cię zastrzelę”? Zauważmy też, że podobne zdania odnoszące się do sfery seksualnej uchodziłyby nam na sucho znacznie rzadziej i wywoływałyby raczej niesmak i konsternację.

Zachowania seksualne w oczywisty sposób wiążą się z historią naszego gatunku. Ale czy podobnie jest z przemocą i zabijaniem, o których także zdarza nam się fantazjować? Cóż, w ewolucyjnej historii ludzkości

pojawiało się wiele problemów, których jedną z potencjalnych form rozwiązania było właśnie zastosowanie przemocy, i to na dodatek w jej krańcowej, morderczej postaci. Co takiego nasi przodkowie mogli osiągnąć dzięki przemocy? David M. Buss i Todd K. Shackelford wymieniają tutaj chociażby przejmowanie od innych pożądanego zasobów, takich jak urodzajne terytorium lub dostęp do wody, rywalizowanie na rynku matrymonialnym czy zdobywanie i utrzymywanie statusu społecznego. Na dobrą sprawę wszystko to można zauważyć również współcześnie, wśród motywów przemocy pojawiającej się np. u nastolatków. Joshua D. Duntley i David M. Buss poszli jednak o krok dalej. Zastanawiając się nad tym, w jakim stopniu ludzie są przystosowani do mordowania innych ludzi, Duntley i Buss sformułowali teorię adaptacji do zabójstwa (ang. *homicide adaptation theory*). Warto przyjrzeć się jej przez chwilę, ponieważ rzuca światło m.in. na nasze dzisiejsze mordercze fantazje.

Punktem wyjścia zaproponowanej przez Duntleya i Bussa teorii jest założenie, że problemy adaptacyjne, przed jakimi stawali nasi przodkowie,

w niektórych kontekstach faktycznie mogły być rozwiązywane poprzez morderstwo. W koncepcji tej morderstwo nie stanowi uniwersalnego wytrycha, ale jest raczej jedną z opcji możliwych do wykorzystania, gdy inne charakteryzowałyby się mniej korzystnym bilansem szeroko rozumianych zysków i strat. Kiedy mówimy o zyskach i stratach, mamy na myśli m.in. wydatkowanie lub zdobywanie zasobów, narażanie własnego życia i zdrowia czy wzmacnianie bądź osłabianie wizerunku społecznego. Wśród okoliczności, w których morderstwo stanowiłoby szczególnie adekwatne rozwiązanie problemu adaptacyjnego, są wymieniane: obrona samego siebie lub kogoś z najbliższych przed byciem wykorzystanym, zgwałconym bądź zabitym, zabezpieczanie własnej reputacji oraz ochrona bądź pozyskiwanie pożądanego zasobów.

Dostrzegając ciemniejszą stronę człowieczeństwa, Duntley i Buss zauważają również, że zabójstwo mogło być sposobem na eliminowanie z otoczenia osób, które wymagają inwestowania nieprzekładającego się na obecne lub przyszłe korzyści, takich jak niespokrewnione dzieci,

osoby chore lub potrzebujące stałej opieki. Z innej perspektywy teoria adaptacji do zabójstwa postuluje, że prawie każde zabójstwo ma swój konkretny cel, funkcję i motyw, a budzące grozę postacie opętane żądzą mordu powinno się spotykać raczej w horrorach czy thrillerach niż w rzeczywistości.

Jednym z mechanizmów związanych z adaptacjami do zabijania w pewnych typowych okolicznościach są zdaniem Duntleya i Bussa właśnie związane z zabijaniem wyobrażenia i fantazje. Ich funkcje są właściwie analogiczne do fantazji seksualnych.

W męskich marzeniach pojawiał się bardziej zróżnicowany zakres ofiar.

Po pierwsze, mają za zadanie utrzymywać ludzi w stanie gotowości do podjęcia relatywnie rzadkiego działania, które ma swoją wartość adaptacyjną. Po drugie, poprzez wpisywanie się w szerszy kontekst wyobrażeń o sytuacjach życiowych mają pomagać w lepszym rozpoznawaniu bilansów kosztów i korzyści, jakie można byłoby osiągnąć przez dokonywanie morderstw.

Przedstawione podejście znajduje poparcie w licznych doniesieniach z badań, takich jak choćby te przeprowadzone kilka dekad temu przez Douglasa Kenricka i Virgila Sheetsa z Uniwersytetu Stanowego Arizony. Psychologowie poprosili kilkusetosobową grupę studentów o udzielenie odpowiedzi na pytania dotyczące ich morderczych fantazji. Okazało się, że tego rodzaju wyobrażenia występowały u około trzech czwartych badanych mężczyzn i sześciu na dziesięć badanych kobiet. Sugeruje to, że choć zdecydowana większość współcześnie żyjących ludzi nie ma na swoim koncie rzeczywistego morderstwa, to w zaciśniętym umyśle często zdarza nam się snuć takie scenariusze. Podobne badania przeprowadzono przed niespełna 10 laty na grupie 617 fińskich studentów, których zapytano o fantazje związane z zabijaniem i innymi formami przemocy fizycznej, z uwzględnieniem licznych dodatkowych szczegółów.

Snucie morderczych fantazji w jakimś momencie życia zadeklarowało mniej więcej dwie na trzy badane kobiety oraz czterech na pięciu badanych mężczyzn. Generalnie tego rodzaju fantazje występowały niezbyt często – w tygodniu poprzedzającym badanie pojawiły się one jedynie u ok. 30% mężczyzn i 15% kobiet, choć byli i tacy (mniej niż co 10. mężczyzna i co 20. kobieta), którzy doświadczali ich kilka razy dziennie. Częstotliwość to jednak tylko jeden z aspektów fantazji na temat zabijania. Inną istotną cechą tego rodzaju wyobrażeń stanowi ich obiekt.

W omawianym badaniu okazało się, że w męskich marzeniach pojawiał się bardziej zróżnicowany zakres ofiar niż w marzeniach kobiecych. Kobiety częściej fantazjowały natomiast wielokrotnie o zabijaniu tej samej osoby. Zasadniczo, niezależnie od płci w fantazjach dosyć często pojawiał się wątek mordowania osób nieznanymi. W pozostałych przypadkach mężczyznom zdarzało się częściej wyobrażać sobie morderstwa kolegów lub osób publicznych, kobietom zaś fantazjować o zabijaniu członków rodziny bądź byłych partnerów.

Pobieżne spoglądanie na tego rodzaju wyniki może budzić niepokój. Czyżby otaczały nas mordercze wilki w owczej skórze? Głębsza analiza zebranych danych pozwala jednak zauważyć znaczącą spójność wyników z teorią adaptacji do zabójstwa, która daje nam powody do ulgi. Ankietowani zapytani o możliwe wyzwalacze fantazji o zabijaniu jako podstawowe powody wskazali zemstę, publiczne upokorzenie, bycie ofiarą przemocy i kłótnie. Jedynie naprawdę nieliczne grono uczestników wskazywało takie motywy jak chęć stymulacji, korzyść finansowa czy potrzeby seksualne.

Po pierwsze, wyniki te są spójne z perspektywą Duntleya i Bussa. Podstawowe problemy adaptacyjne, dla których jednym z możliwych rozwiązań jest zabójstwo, wiążą się z podniesieniem poziomu swojego bezpieczeństwa, swoich zasobów lub swojej reputacji. Po drugie zaś, sugerują, że starając się być

w codziennym życiu miłym człowiekiem, który nie traktuje innych przedmiotowo bądź z wyższością, zapewne ustrzeżemy się obsadzenia w roli obiektu morderczych fantazji osób z naszego otoczenia. Po trzecie, fantazje o mordowaniu w przypadku fińskich studentów nie prowadziły wyłącznie do poczucia relaksu czy konieczności rozładowania napięcia, ale często wiązały się także z przeżywaniem negatywnych stanów emocjonalnych i obaw. Po raz kolejny sugeruje to, że nawet w marzeniach mordowanie ma raczej status środka do osiągnięcia innego celu niż celu samego w sobie. Po czwarte, choć w wyobrażeniach mamy bardzo szerokie możliwości działania, fantazje o mordowaniu były wśród ankietowanych dosyć sztywne. Przykładowo w większość przypadków, gdy badani mówili o zabijaniu z użyciem narzędzi, to w stwarzanych przez nich scenariuszach pojawiały się broń palna oraz ostre lub tępe narzędzia. I tak najczęściej mówiono zaś o mordowaniu gołymi rękami. Zapewne rozczaruje to tych wszystkich, którzy sądzą, że w wyobraźni mordujemy niczym przerażający złoczyńcy z horrorów klasy B.

Kobiety częściej fantazjowały o zabijaniu tej samej osoby.

Choć snucie morderczych fantazji zdarza się większości ludzi, to jednak zwykle budzą one niepokój, gdy pojawiają się w dyskursie publicznym. Jest tak m.in. dlatego, że sprawcy poruszających opinię publiczną, szczególnie wyrachowanych zbrodni zwykle okazują się osobami, które wyobrażały sobie swoje czyny już znacznie wcześniej. Działają to podobnie do słynnej etykiety z filmu Stanisława Barei pod tytułem „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?”, gdzie o pewnym człowieku powiedziano, że „to złodziej i pijak, bo każdy pijak to złodziej”.

Chociaż wielu sprawców bulwersujących zbrodni wcześniej fantazjuje na ich temat, nie oznacza to, że każdy człowiek snujący mordercze fantazje musi stać się zabójcą. Biorąc pod

► uwagę statystyki, jest wręcz bardziej prawdopodobne, że tak się nie stanie. Sprawie tej przyglądali się jakiś czas temu dwaj amerykańscy psychiatrzy – David M. Gellerman oraz Robert Suddath – w kontekście nakładania na terapeutów obowiązku informowania osób pojawiających się w morderczych fantazjach ich klientów o potencjalnym zagrożeniu.

Niezależnie od płci w fantazjach dosyć często pojawiał się wątek mordowania osób nieznanym.

Badacze wskazali liczne przykłady konkretnych spraw kryminalnych, w których późniejsze brutalne czyny sprawców były poprzedzane wyobrażeniami na temat podobnych sytuacji, relacjonowanymi bądź w trakcie terapii, bądź bardziej spontanicznie, podczas rozmów z bliskimi i personelem. Zarówno analizy Gellermana i Suddartha, jak i informacje, które już się tu pojawiły, sugerują, że podejście „fantazjuje o zabijaniu,

więc pewnie zabije” nie jest najbardziej trafione.

Co można więc uznać za względną wskazówkę mówiącą, że w tym czy innym przypadku należy się zaniepokoić? Choć Gellerman i Suddarth wyraźnie stwierdzają, że wyrokowanie o prawdopodobieństwie określonych czynów na podstawie pojawiania się fantazji przypomina wróżenie z fusów, ich praca dostarcza kilku punktów orientacyjnych. Jednym z nich jest poziom makabry – choć ludzie fantazjują o mordowaniu, a elementy sadomasochistyczne pojawiają się również w ich marzeniach seksualnych, zdecydowana większość nie wyobraża sobie wymyślnych tortur czy poważnego okaleczania ofiar. Pojawiają się one natomiast u sprawców szczególnie brutalnych czynów. Zastanawiać może też spontaniczna chęć do dzielenia się takimi fantazjami, która może wskazywać na trudności z utrzymaniem samokontroli. Choć terapeutyci

czy naukowcy zachęcają badanych do opowiadania o swoich fantazjach w sposób nieskrępowany, ludzie zwykle wiedzą, że temat ten jest społecznym tabu, i otwierają się dopiero, gdy mają poczucie bezpieczeństwa i zaufanie. Łatwość dzielenia się z otoczeniem brutalnymi fantazjami to zatem kolejna właściwość, która może dawać powody do namysłu.

Autorzy zauważają jednak, że czynnikiem ryzyka może być tu również... osamotnienie. Inni ludzie mogą przecież zawczasu alarmować o potencjalnym niebezpieczeństwie, ale również pełnić funkcję czegoś w rodzaju zewnętrznego sumienia lub dodatkowego głosu, wprowadzając argumenty i punkty widzenia odwołujące osoby snujące mordercze fantazje od ich realizacji.



Fragment książki Łukasza Jacha *Wyobraź to sobie! Psychologiczna opowieść o bujaniu w obłokach*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Zbrodnia i kara

Nie ma co udawać, że tak nie jest: każdy autor/autorka sztuki chce zawlec na swój spektakl jak największą grupę przyjaciół i znajomych. Oczywiście pod warunkiem, że sztuka jest udana. Ale kiedy sztukę wystawia teatr w innym mieście, trudno wysłać tam ludzi, którzy mają swoje kłopoty, zajęcia, choroby, romanse, a przede wszystkim – swoje sztuki. Dlatego kiedy jakaś grupka wybiera się z Wrocławia do Wałbrzycha na moją (naszą) „Niewolnicę Isaurę”, ja także pakuję się z nimi do auta – w ramach wdzięczności. Czuję, że powinnam pełnić funkcję jakby oprowadzaczki i jakby zabawiaczki. Jestem, naturalnie, nieco spięta, więc historie, które opowiadam, dobrze się zaczynają, ale wkrótce mutują, zniekształcają się i głupieją do tego stopnia, że zamieniam je dla niepoznaki w jakieś plotki. Te dla odmiany zawsze działają i wprawiają wszystkich w nastrój wesołej przygody.

Po drodze bardzo się staram, więc kiedy wysiadam pod teatrem, kręci mi się w głowie. Zdejmuję płaszcz i – żeby jakoś ukryć zażenowanie – zachęcam wszystkich do pozowania pod napisem TEATR. Powstaje seria dziwnie podświetlonych zdjęć, na których desperacko podnoszę nogi albo ręce, a moi przyjaciele przyjmują formy kół, kwadratów i trójkątów. Promieniejemy.

W tym momencie ktoś zauważa – tuż za przezroczystymi szklanymi drzwiami – wannę pełną białych i niebieskich kulek. Lećmy tam! Och, nam nie trzeba dwa razy powtarzać, o pięć minut młodszy już wchodzimy na podest i ląduję w wannie z piłeczkami. Och, co to będą za zdjęcia! Ja na brzuchu, ja na plecach, ja na boku, ja na krawędzi. Piłeczki wysypują się z wanny i pani z kasy zerka z przerażeniem. – To autorka! – przyjaciółka próbuje ratować sytuację.

Wreszcie udajemy się do Żabki po małpki. Nikt nie wie, ile czasu zostało do spektaklu, na który przyjechalśmy przecież z Wrocławia. Wesoła grupka podśpiewuje i pokrzykuje, jakby antycypowała działanie alkoholu we krwi. Lokalne psy umykają do bram, ptactwo patrzy na nas z politowaniem. Jeśli coś udajemy, to młodość. W powietrzu jest tyle pyłu, że czarne robi się szare. Do Żabki idzie się kwadrans, średnio bym się czuła, gdybyśmy się spóźnili, gdyby nas nie wpuszczono. Zabawa zabawą, ale czasu trzeba pilnować.

Szukam telefonu, żeby sprawdzić, która godzina. – Zgubiłam telefon! – Pewnie w kulkach! – przytomnie zauważa koleżanka i postanawia mi towarzyszyć, rzucając przez ramię do tamtych, że chce pigwówkę. Pośpiesznym krokiem, tracąc resztki wdzięku, podbiegam do drzwi teatru (koleżanka za mną), wchodzimy. W środku kłębi się tłum. To ostatnia „Isaura” w tym miesiącu. Ania dzwoni, mój telefon rzeczywiście odzywa się w wannie, w głębi kulek (W GŁĘBI KULEK!). Co robić – przy zdziwionych i zniesmaczonych ludziach zanurzam się w kulkach i usiłuję wymacać telefon. Pani coś szepcze drugiej: że to instalacja znanej artystki i że nie wolno tak dewastować, „tym bardziej że jest tabliczka”. I rzeczywiście – jest. Oto

Każdy autor/autorka chce zawlec na swój spektakl jak największą grupę przyjaciół i znajomych. Oczywiście pod warunkiem, że sztuka jest udana.

kara za próżność, za fotki w stylu „ja na brzuchu, ja na plecach, ja na boku, ja na krawędzi”. Oto upokorzenie.

Wreszcie lokalizuję, prawie przy dnie wanny, mdłe światelko. Jeeeeest. Znajduję telefon. Nieźle spocona postanawiam czegoś się napić. Och, przecież TU JEST BAR! Bez koncesji. Zamawiam duże ciasto i kawę, ale przecież trzeba już wchodzić! Przyszli przyjaciele: dyskretnie (u kolan) machają flaszkami, miejsca nie są numerowane. Jemy ciasto błyskawicznie – w pięć osób. Wypijam duszkiem kawę i przez pierwsze 15 minut spektaklu usiłuję nie zemdleć. Wszystko gra, publiczność się śmieje i CHCE się śmiać – jest dla nas łaskawa. A kiedy przechodzimy do drugiego budynku szukać toalet – podbiega do mnie pani z baru i mówi, że nie zapłaciłam ani za ciasto, ani za kawę. A bar już zamknięty.

Bardzo przepraszam, płacę blikiem z nadzieją, że już dość tych upokorzeń. Przyjaciele śmieją się ze mnie serdecznie i może nawet trochę mi lżej. Wracamy do Wrocławia, zagryzając paskudną pigwówkę żelkami Haribo. Przeglądam zdjęcia w telefonie: wyglądam jak Turul, z którego ktoś już zrobił gulasz. Kasuję je wszystkie. Wiecór uważam za udany.



W PUSZCZY NIC NIE JEST OCZYWISTE

Jarząbek lubi bałagan, włochatka stare sosny

Paweł Średziński

Jeśli ktoś zapytałby mnie o to, z jakim ptakiem kojarzy mi się Puszcza Knyszyńska, wskazałbym jarząbka. Dziś jego knyszyńska populacja jest wciąż jedną z największych w Polsce i stanowi aż 5% wszystkich kuraków tego gatunku w naszym kraju. To skryty ptak, ale łatwo go rozpoznać, kiedy dojdzie do nieoczekiwanego spotkania. Jarząbek zrywa się wtedy w pośpiechu i z furkotem odlatuje w inne miejsce, gdzie kryje się pośród podszytu i drzew. Budowa jego ciała umożliwia mu zręczne manewrowanie wśród przeszkód, o jakie nietrudno w jego naturalnym środowisku. Jarząbka można też wypatrzyć na leśnych trybach i drogach, kiedy przekracza odkryty pas szlaku wytyczonego przez ludzi. (...)

Z radością mogę stwierdzić, że te niepozorne kuraki leśne od kilku lat pojawiają się w Puszczy Knyszyńskiej w miejscach, gdzie wcześniej ich nie obserwowano. By się pojawiły, musi być spełniony tylko jeden warunek: skrawek lasu powinien zostać zapomniany przez właściciela. Poważone i nieuprzątnięte drzewa

dodadzą temu obszarowi dzikości, a taki „bałagan”, który osoby uprawiające lasy gospodarcze przyprawia o ból głowy, jest tym, co jarząbki lubią najbardziej. Łatwiej się tam skryć, zmylić drapieżnika i odchowac pisklęta.

Dużą reprezentację jarząbków w naszym kraju zawdzięczamy puszczołom północno-wschodniej Polski, szczególnie tym, gdzie prowadzono bądź wciąż prowadzi się „nieuporządkowaną gospodarkę leśną”. To dlatego populacja tych ptaków ma się najlepiej w Puszczy Białowieńskiej, a nie tam, gdzie struktura lasu jest uproszczona i brakuje podszytu, świerkowych podrostów i martwych drzew przewróconych na ziemię. W Puszczy Knyszyńskiej wielkość populacji jarząbka szacuje się na 2,1-2,5 tys. par. Jest to jedna z większych populacji w Polsce. (...)

Co najważniejsze, jarząbek zostaje w Polsce przez cały rok. Prowadzi osiadły tryb życia, chociaż jego rewir zmniejsza się zimą.

Mimo że ptak ten nie jest gatunkiem uciążliwym, wciąż znajduje się na liście zwierząt łownych. Ornitodzy często poruszają kwestię zasadności polowań na te ptaki. Owszem,

ich odstrzał nie jest powszechny, ale można zapytać, jaki jest jego cel. (...)

To, że zamieszkiwany przez te ptaki las nie jest uporządkowany przez ludzi, potwierdza Tomasz Tumiel, ornitolog, który przebadał Puszcę Knyszyńską i przemierzył w jej ostępach setki kilometrów. Tomek mówi, że gatunek ten można spotkać nawet w rozległych młodnikach – pod warunkiem, że znajduje się w nich martwe drewno oferujące dobre kryjówki. „To ptak, który lubi urozmaicony krajobraz w sąsiedztwie cieków wodnych – dodaje Tomek. – Najwyższe zagęszczenia jarząbka stwierdziłem w rezerwacie Woronicha, gdzie jest wąski ciek otoczony sosnowymi borami i świerkami. Odnotowałem tam aż sześć par na kilometr kwadratowy”.

Tomek jest ornitologiczną legendą Puszczy Knyszyńskiej. Spotykamy się w jednym z jego ulubionych miejsc – w rezerwacie Krzemianka, gdzie, jak wspomina, prowadził kiedyś inwentaryzację ptaków. Rezerwat przecina droga krajowa numer osiem, ale mój rozmówca pamięta czasy, kiedy ruch samochodowy na tej trasie był znacznie mniejszy. Na obszarach położonych bliżej szosy zdarzały się

dłuższe chwile ciszy i wtedy można tam było usłyszeć głosy jarząbków. Wraz z szumem nadjeżdżających samochodów ptaki cichły. (...)

Około 2004 r. Tomek zainteresował się ornitologią, a najbardziej jednym z gatunków dzięciołów – dzięciołem trójpalczastym, który w tym okresie nie był jeszcze zbadany w Puszczy Knyszyńskiej. Ostatnie obserwacje

par dzięciołów trójpalczastych żyjących w Puszczy Knyszyńskiej jest związanych z rozlewiskami bobrowymi. Dlaczego? Mogą tam znaleźć wiele martwych drzew. Trójpalczaki można również zaobserwować w rezerwacie Krzemianka, wędrując ścieżką przyrodniczą. Liczniejsza od knyszyńskiej jest populacja dzięcioła trójpalczastego w Puszczy Białowieskiej. Szacuje

(...) Drugim rzadkim gatunkiem dzięcioła związanym ze starymi lasami jest dzięcioł biało-grzbiety, większy od trójpalczastego. Jak wskazuje jego nazwa gatunkowa, wyróżnia się białą plamą na grzbiecie widoczną w trakcie lotu. Samiec tego gatunku ma zaś czerwoną czapeczkę. Wyspecjalizował się w żerowaniu na owadach związanych z martwym drewnem drzew liściastych, chociaż, jak mówi Tomek, zdarzają się też obserwacje dzięcioła biało-grzbiatego na świerkach.

By pojawiły się jarząbki, musi być spełniony tylko jeden warunek: skrawek lasu powinien zostać zapomniany przez właściciela.

zostały przeprowadzone na przełomie lat 80. i 90. Tomek zaczął więc chodzić za trójpalczakiem po najbliższych ostępach puszczy. Szukał go tam, gdzie znajdował dużo martwego drewna i gdzie presja gospodarki leśnej była najmniejsza. Ścieżka do poznania dzięcioła z trzema palcami, który jest unikatem wśród czteropalczastych dzięciołów, wiodła więc przez lasy i bagna. (...)

Dzięki Puszczy Knyszyńskiej powstało Towarzystwo Przyrodnicze Dubelt, w którym działa Tomek. Grupa białostockich ornitologów postanowiła podjąć współpracę przy monitoringu ptaków i w 2012 r. utworzyła organizację ekspercką. Tomek podkreśla, że Puszcza Knyszyńska stała się spoiwem Dubelta.

W Puszczy nic nie jest oczywiste. Idziemy leśną ścieżką: z jednej strony mamy rezerwat, z drugiej las gospodarczy. Czy ten las w rezerwacie to faktycznie raj dla ptaków? – zadaje kolejne pytanie, a Tomek odpowiada, że to umowny raj: „Użytkowany gospodarczo las będzie »rajem« dla lelka. Wszystko zależy od tego, na jakie gatunki patrzymy. Gatunki najrzadsze, najbardziej wyspecjalizowane żyją w mniejszych zagęszczeniach i wymagają dzikiej kniei, którą znajdują w rezerwacie”.

Jednym z wymagających i skrajnie rzadkich gatunków jest wspomniany dzięcioł trójpalczasty. W Puszczy Knyszyńskiej występuje ok. 50 par tego gatunku. Żyją w małych zagęszczeniach i potrzebują rozległych płątów lasu. Są wyspecjalizowane pokarmowo, a co za tym idzie – mocno terytorialne. Warto zaznaczyć, że 60%

się, że wynosi ona 200-300 par. Dane dotyczące tego, ile jest ptaków danego gatunku, zmieniają się jednak z roku na rok. Liczba dzięciołów trójpalczastych zależy także od działania korników – kornikowe lata sprzyjają tym ptakom.

Chociaż trójpalczak preferuje świerki, to w Puszczy Knyszyńskiej nie występuje tak licznie w borach czy w świerczynach rosnących na torfie. Częściej pojawia się w siedliskach łęgowych i olsowych, gdzie wśród drzew liściastych można również zauważyć świerki. Pytam mojego rozmówcę, dlaczego ptak wybiera takie obszary. „W borach większość martwych drzew się usuwa i zagęszczenia martwych świerków są tam małe, stąd nie miałby się czym żywić, oczywiście poza borami chronionymi przed wycinką w rezerwatach”, odpowiada

W Puszczy Knyszyńskiej więcej ptaków tego gatunku występuje w olsach i łęgach. Z kolei w sąsiedniej Puszczy Białowieskiej dzięcioły te pojawiają się również w grądach. Z racji tego, że grądy o naturalnym charakterze mają dziś mały udział wśród lasów Puszczy Knyszyńskiej, dzięcioły biało-grzbięte obserwuje się właśnie w knyszyńskich łęgach i olsach. Niestety, takich lasów obfitujących w martwe drewno jest również niewiele. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę, że dzięcioł biało-grzbiety musi mieć odpowiednio rozległy rewir – o powierzchni około kilometra kwadratowego – zrozumiemy, dlaczego w Puszczy Knyszyńskiej żyje jedynie 25 par tego gatunku. „Na tak rozległy kompleks leśny to mało – wyjaśnia Tomek. – Dla porównania w Puszczy Białowieskiej występuje 10 razy więcej tych dzięciołów”.

Dużą reprezentację jarząbków w naszym kraju zawdzięczamy puszczom północno-wschodniej Polski.

Tomek i dodaje, że z tego powodu knyszyńska populacja jest tak mocno związana z rozlewiskami bobrowymi, gdzie nie brakuje martwych drzew.

Najłatwiej zatem szukać dzięcioła trójpalczastego wzdłuż cieków wodnych. Nie jest on gatunkiem płochliwym. Jeśli pojawimy się w miejscu, gdzie występuje, mamy dużą szansę na udaną obserwację – musimy tylko wypatrywać charakterystycznej żółtej plamy na głowie ptaka. Po palcach raczej go nie poznamy, bo sposób, w jaki się porusza, utrudnia ich policzenie.

Gdzie zatem szukać knyszyńskich dzięciołów biało-grzbiętych? – pytam Tomka, a w odpowiedzi słyszę, że nie jest to aż takie trudne, ograniczają one bowiem swoje występowanie do wspomnianych siedlisk łęgowych i olsowych. Tym samym 90% Puszczy Knyszyńskiej nie odpowiada im ze względu na skład gatunkowy drzewostanu. Najlepiej wypatrywać tego dzięcioła w lasach objętych ochroną, wędrując wzdłuż ich granic lub udostępnionymi dla turystów ścieżkami.

Jest jeszcze jeden gatunek dzięcioła, który zastępuje na naszą

► szczególną uwagę – to dzięcioł czarny należący do moich ulubieńców. Bardzo łatwo rozpoznać jego głos – wydaje dwa specyficzne dźwięki, które pomogą nam zidentyfikować ten gatunek. Pierwszy jest dość złożony, drugi płaczący i krótki. W tych wołalnych popisach dzięcioła czarnego słychać coś naprawdę dzikiego.

Pod względem wyboru siedliska dzięcioł czarny jest bardziej elastyczny niż jego kuzyni trójpalczasty i biało-grzbiety. Spotkamy go zarówno w lasach wilgotnych, jak i w suchych borach. Potrzebuje jednak starszych, minimum 80-letnich drzew, w których wykuwa dziuple. Gatunek drzewa nie odgrywa w tym wypadku

ponieważ strefa oznacza wyłączenie z wycinki obszaru o promieniu zaledwie 50 m od gniazda. To nie wystarczy, ponieważ włochatka potrzebuje znacznie większych, zwartych płatów starego lasu.

Ponadto ta niewielka sowa co roku może zmieniać dziuplę i zasiedlać inne drzewo. To jej strategia obrony przed drapieżnikami, w tym szczególnie groźnymi dla niej kunami. Dlatego, jak wyjaśnia mi Tomek, znacznie lepsze byłoby tworzenie większych stref o promieniu pół kilometra od miejsca lęgowego – jak w wypadku ptaków drapieżnych – lub wręcz wyłączenie z gospodarki leśnej większego obszaru starodrzewów

na obfite posiłki. Oprócz tego – na co zwraca uwagę Tomek – te małe sowy mogą liczyć na większe populacje gryzoni w lasach starych, gdzie zasoby pokarmowe są stabilniejsze, zaś ich ofiary cieszą się dogodnymi siedliskami. Jak stwierdza mój rozmówca: „Pojawiają się, głosy, że wycinka lasu sprzyja temu gatunkowi. Nic bardziej mylnego. Włochatka nie wyżywi się na zrębie i potrzebuje dużego skupiska drzew, a nie trzech sosen zostawionych po wycince. Jej sposób polowania opiera się na zasiadce w zwartym lesie. Jeśli wyczekiwanie w jednym miejscu nie daje efektów, co jakiś czas zmienia swoje punkty obserwacyjne na wysokości kilku metrów. Do czatów wykorzystuje świerki. Nie będzie za to polować na otwartym terenie”.

U włochatek terytorializm wykazują samce, które zajmują swoje rewiry przez cały rok. Samice zaś często migrują i zmieniają partnerów. U małych gatunków ptaków wierność mogłaby okazać się fatalna dla przetrwania gatunku, dlatego podczas wyboru partnera samica kieruje się nie tylko pohukiwaniem samca, lecz także przez pewien czas przebywa w jego rewirze, aby sprawdzić, czy jest to terytorium zasobne w pokarm. Jeśli brakuje gryzoni, szuka dalej. Nie wszystkie samce mogą liczyć na stworzenie pary. Zdarzają im się lata samotne, a pohukująca w maju sowa ma już bardzo niewielkie szanse na odbycie lęgu, tym bardziej że większość włochatek rozpoczyna okres lęgowy w kwietniu. Niektóre z samców mogą się jednak znaleźć w odmiennej sytuacji. „Samiec może mieć w danym sezonie lęgowym dwie partnerki, a samica może po wyprowadzeniu jednego lęgu zmienić samca i założyć z nim kolejny”, tłumaczy mi Tomek, ale podkreśla, że takie zjawiska są sporadyczne. Zimą, gdy pokrywa śnieżna utrudnia polowanie na gryzonia, włochatka nie pogardzi innymi ptakami.

Jednym z wymagających i skrajnie rzadkich gatunków jest wspomniany dzięcioł trójpalczasty.

znaczącej roli, bo ważniejszy jest stan pnia. Dzięcioł czarny poszukuje w nim miejsc osłabionych, ze zgnilizną, do której może przebić się uderzeniami dzioba. W Puszczy Knyszyńskiej może żyć od 550 do 650 par tego gatunku.

Opuszczone dziuple wykute przez dzięcioły czarne stają się później schronieniem ssaków, w tym nietoperzy, a w okresie lęgowym także innych gatunków ptaków. Największą beneficjentką tych domostw jest włochatka, jedna z najmniejszych i najrzadszych sów Polski. Występuje niemal wyłącznie w borach. „Potrzebuje starych drzewostanów – mówi Tomek. – Najlepiej w wieku powyżej 80 lat. W latach 2014-2016 prowadziliśmy badania, które miały ustalić liczebność włochatki w Puszczy Knyszyńskiej. Przez trzy lata prac terenowych znaleźliśmy zaledwie 25 włochatkowych dziupli”.

Zdaniem Tomka włochatka jest bardzo ciekawym ptakiem. Badacze mówią, że jest gatunkiem parasolowym. „Ochrona włochatki rozpina parasol ochronny nad innymi gatunkami związanymi ze starymi lasami” – tłumaczy Tomek. – Tam, gdzie są znajdowane lęgi włochatek, powinny powstawać strefy ochrony”. Chociaż, jak zauważa mój rozmówca, taka ochrona strefowa nie wystarcza,

sosnowych. Z obserwacji ornitologów w Puszczy Knyszyńskiej wynika, że prawie wszystkie miejsca lęgowe włochatki są dziuplami, które zostały wykute bądź powiększone przez dzięcioły czarne. Włochatka preferuje sosny – Tomkowi tylko raz zdarzyło się zlokalizować jej siedzibę w świerku. (...)

Tomek opisuje mi swoje niepokojące obserwacje: „Kiedy w 2009 r. po raz pierwszy liczyłem włochatki w Puszczy Knyszyńskiej, przebrałam trzy powierzchnie. Każda zajmowała 33 km kw. Wtedy zagęszczenie włochatek było w skali Polski imponujące. Odnotowywałem obecność od dwóch i pół do trzech par na 10 km kw. Kilka lat później, kiedy powtórzyliśmy liczenie, okazało się, że ich liczebność wyraźnie spadła”.

Z opowiadania Tomka wynika, że włochatka jest wyspecjalizowanym gatunkiem, który poluje na drobne gryzonie. Występuje w niewielkich zagęszczeniach, ponieważ tych gryzoni w borach nie jest tak dużo jak w innych siedliskach. Należy pamiętać, że dostępność pokarmu w danym miejscu również podlega zmianom. W latach, kiedy gryzonie mają nadwyżki żołądki i innych nasion, włochatki mogą liczyć



Fragmenty książki Pawła Średzińskiego *Puszcza Knyszyńska*, Wydawnictwo Państwowy Instytut Wydawniczy, Białystok 2022

Arabie szanujemy

Tym razem – optymistycznie. Bo oto MSZ udało się przedstawić dobrych kandydatów na ambasadorów. Takich, których nie powstydziliby się żadna ekipa. Choć sprawa ma drugie dno.

Zacznijmy od kandydatów. Pierwszy to Robert Rostek. Wielki znawca świata arabskiego, arabista z wykształcenia. Rozpoczął pracę jeszcze w latach 90., w sekcji interesów USA przy ambasadzie RP w Bagdadzie. Zaliczył też pracę na placówkach w Egipcie i Kuwejcie. A potem został skierowany do Bagdadu i m.in. był asystentem Marka Belki, który kierował administracją koalicyjną w Iraku.

W roku 2006 przeniesiono go do Ad-Dauhy, do Kataru, gdzie zakładał polską ambasadę. To niełatwa praca, ale została uwieńczona powodzeniem – Rostek w 2008 r. został pierwszym ambasadorem RP w Katarze. Misję tę pełnił do końca 2013 r. W roku 2016 został z kolei ambasadorem w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, skąd powrócił do Warszawy dwa lata temu.

I teraz kolejny wyjazd – tym razem do Arabii Saudyjskiej. Będzie piątym ambasadorem RP w królestwie. Pierwszym był Krzysztof Płomiński, który placówkę zakładał. Jego następcami byli Adam Kułach, Witold Śmidowski i Jan Stanisław Bury. Wszyscy z grupy orientalistów. Gospodarze takich ambasadorów cenią, to, że wysyła się do nich fachowców, jest oznaką szacunku.

Z tej grupy Adam Kułach już nie żyje, przez pisowskie MSZ był szczypany, i to mocno, powodem były studia na MGIMO. Ale to, co przeszkadzało naszemu ministerstwu, nie martwiło urzędników Unii Europejskiej. Po odejściu z MSZ Kułach był ambasadorem Unii

w Arabii Saudyjskiej i w państwach Zatoki, a potem w Republice Dżibuti. W Dżibuti – dlatego że nasze MSZ nie udzieliło mu poparcia w staraniach o przedłużenie kadencji w Rijadzie. Bruksela więc skierowała go na mniej prestiżową placówkę.

Historia Roberta Rostka i innych orientalistów, którzy kierowali ambasadą w Arabii Saudyjskiej, daje sporo do myślenia. Otóż w tym szale przejmowania ambasad przez krewnych i znajomych królika jest obszar broniący się przed niekompetentnymi nominatami. To państwa arabskie. Tak się dzieje od lat. I to jest drugie dno nominacji Roberta Rostka.

Cóż, widocznie politycy uznali, że świat arabski jest miejscem dla tych, co się znają. To zresztą chyba tłumaczy nieoczekiwaną sytuację, że w państwach arabskich Polska ma wpływy znacznie powyżej tego, co w świecie znaczy. Nie mówimy, że są to wielkie wpływy, ale na tle naszych możliwości w innych rejonach globu – wyraźnie większe.

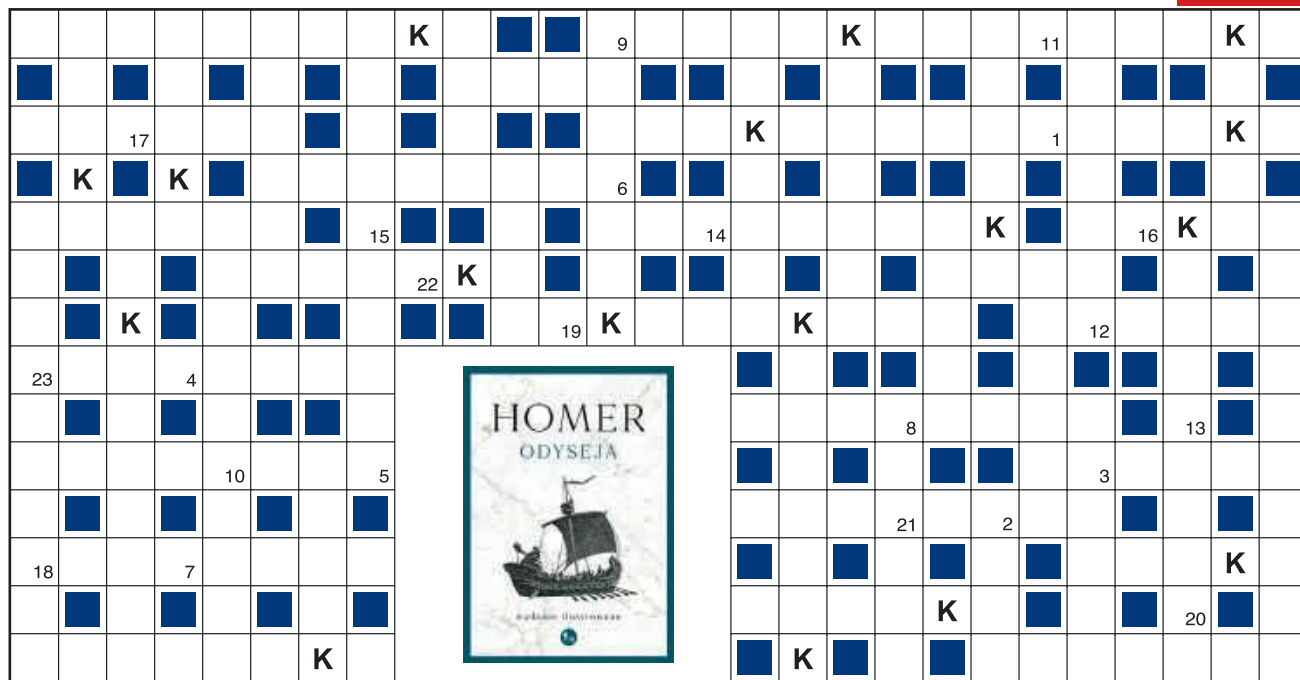
Drugim kandydatem, który budzi optymizm, jest Bartłomiej Zdaniuk. On z kolei wywodzi się nie z MSZ, ale z Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizował się w Mołdawii, więc od września 2017 r. do lutego 2022 r. był ambasadorem w Kiszyniowie. Teraz ma przejąć ambasadę w Senegal.

I tu uwaga. Szkoda, że specjalista od Europy Południowo-Wschodniej zostaje rzucony na placówkę w Afryce Zachodniej. Ale to także efekt pracy MSZ – przez lata kontynent afrykański był dla Polski coraz mniej ważny. Dlatego kadr znających ten region nie mamy. Trzeba ściągać ludzi z innych działek.

Attaché



Vox populi, vox Dei – Amerykanie głosują. Lokal wyborczy w Detroit, 8 listopada 2022 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- kulista fryzura z drobnych loczków
- i owoc, i gagatek
- rzeka wypływająca z Bajkału
- Svalbard lub Wyspy Liparyjskie
- imitacja jakiegoś przedmiotu

- resorak albo jeździk
- długa, wąska pierzyna dla bobasa
- zszyte skóry na futro, podszycie płaszcza
- opis czyichś cech
- tyżka koparki
- nantejski, mediolański lub wieluński

- twórcą jej podstaw Ampère
- stolica Armenii
- „...nikomachejska” Arystotelesa
- i poziomy pas dekoracyjny, i zimnokrwisty koń
- bada korzenie rodów
- wiedźmin ... z Rivii
- bułka z razowej maki pszennej
- zgiełk, hałas, zamieszanie
- miasto nad Jeziorakiem
- duchowni kierujący modłami w meczecie

- Mamoń lub Karwowski
- karny w slangu piłkarskim
- imię Przybory lub Mordasewicza
- oberża, gospoda
- szycie odzieży jako fach
- szympans dla nas lub okapi dla żyrafy
- strach na wróble albo marzanna
- szpital lub przychodnia
- „Tak nas powrócisz cudem na Ojczyźnie...”
- nieprzejrzystość wody, zawilość wypowiedzi
- niewielki zakres zjawiska
- dokupywane do syfonu
- brak, niedostatek, niedomiar

- autorka tekstu „Małgośki”
- ...jadalny – grzyb nazywany kurką
- mody, siły lub sztucznych ogni
- ...nauczy szukać chleba
- korelacje, współzależności
- nabór na studia, pracowników
- manuskrypt, autograf
- pole po skoszeniu
- kosmetyk do mycia włosów
- ciemny jak... w rogu
- zdalny odczyt pomiarów
- Abisyńska lub Tybetańska
- wyjątkowa złośliwość

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1091”. Do rozlosowania książki „Odyseja” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 listopada 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1088” z nr. 44: Potrzeba zaostroża umysł.

Nagrody otrzymują: Gabriela Kownacka z Bielska-Białej, Ilona Michalska z Kielc, Ireneusz Wanecki z Bielń Wrocławskich.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

**BARBARA J. FIELDS
i KAREN E. FIELDS,**
HISTORYCZKA I SOCJOLOŻKA
Z UNIwersYTETU COLUMBIA

Wiadomo, że Grecy i Rzymianie zniewalali ludzi o tym samym kolorze skóry; że Europejczycy trzymali innych Europejczyków w niewoli lub poddaństwie i że w Anglii, w epoce Tudorów, prawo przewidywało zniewolenie jako karę za wścigostwo. Odkryć można również bez trudu, że Anglicy nie stronili od brutalności, gdy przychodziło im tępić irlandzkiego rzekomego dzikusa. Oliver Cromwell sprzedał ocalałych z masakry w Droghedzie jako niewolników na Barbadosie, na Antylach zaś jego agenci wystawiali na aukcji irlandzkie dzieci. Od Peterloo do Santiago de Chile, od Gwangju w Korei Południowej po plac Tiananmen i *barrios* w San Salvadorze ludzkość wciąż na nowo odkrywa, że ten sam kolor skóry czy wspólna narodowość same z siebie nie zapobiegają uciskowi.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

**PROF. JASON
STANLEY,**
FILOZOF, UNIwersYTET YALE

Czeka nas katastrofa. Myślę, że Europa musi się przygotować na faszystowską Amerykę. Po najbliższych wyborach do Kongresu republikanie zapewne przejmą Izbę Reprezentantów. Wielu z nich nie uzna rezultatu wyborów prezydenckich

w 2024 r., jeśli nie wygra Trump. Jeśli gubernatorem Arizony zostanie Kari Lake, to nie zatwierdzi zwycięstwa nikogo innego. W Sądzie Najwyższym rządzą prawicowi radykałowie. W tym roku SN ma zbadać sprawę Moore vs. Harper i rozstrzygnąć, czy władze stanowe mają prawo zmieniać federalne procedury wyborcze. Jeśli uzna, że konstytucja nie stoi temu na przeszkodzie, to o wyniku głosowania będą mogli przesądzać stanowi legislatorzy, a nie wyborcy. A wtedy zostaniemy skazani na świat, w którym jedyną bezpieczną i stabilną demokracją będą Niemcy.

PANI HANNA POLAK,
REŻYSERKA
DOKUMENTALISTKA

Kiedyś rozmawiałam z jezydem, który był psychologiem i pomagał skrzywdzonym dziewczynkom i kobietom w Iraku. Któregoś dnia, po kolejnych zwierzeniach, wyszedł i coś złamał z wściekłości. Powiedział ze łzami w oczach: „Obowiązuje mnie tajemnica, bo jestem psychologiem. Mogę tylko powiedzieć, że to, co słyszę, mnie zabija, jest tak nieludzkie i tak straszne. Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie z tym poradzę”. Zrozumienie tego ludobójstwa na jezydach bez zrozumienia, kim oni są, jest niemożliwe. To mniejszość etniczna i religijna. Nie są to muzułmanie ani chrześcijanie. Ich religii nikt nie rozumie i nie akceptuje.



Reprezentantka Islandii Thelma Aðalsteinsdóttir podczas kwalifikacji do mistrzostw świata w gimnastyce sportowej w Liverpoolu.
29 października 2022 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki...

**JAROSŁAW KACZYŃSKI W OLEŚNICY
O SOBIE**

Tak naprawdę to nie ma na świecie ludzi mądrzejszych niż ja.

DAWID OGRODNIK O TVP

TVP została totalnie sprywatyzowana przez koncern PiS.

**GEN. RADOSŁAW KUJAWA
O WYWIADZIE**

Nie da się przygotować poradnika kontrwywiadowczego dla wszystkich. Do poszczególnych grup należy kierować odmienne przekazy.

**KUBA WOJEWÓDZKI
O ROBOCIE FELUSIU**

Były naczelny „Faktu” i „Wprost” jak mało kto wie, jak zmienić pewne rzeczy w ściek.

**WOJCIECH WAGLEWSKI
O INTERECIE**

Mówiąc wprost: chamstwa przybiera. Jesteśmy chorzy z nienawiści.

**ANNA DZIEWIT-MELLER
O MARSZU KOBIET Z ROKU 2017**

Ostatecznie osiągnął znacznie mniej celów, niż można było oczekiwać po tak masowym proteście.

**ROBERT GAWLIŃSKI
O ŻYCIU NA KRECIE**

Nad naszym domem często latają myśliwce, a do portu w Kalamacie wpływają zatankowane amerykańskie krążowniki.

**AGATA KULESZA
O SKUTECZNOŚCI**

Nie jestem skutecznym, szybkim taktikiem. Moją najlepszą strategią jest cierpliwość. Życie pokazało, że potrafię pewne rzeczy przeczekać.

**DAWID PODSIADŁO
O SOBIE**

Nie jestem wulgarny, nie jestem wyzywający, nie podkurwiam społeczeństwa obnoszeniem się ze swoim bogactwem. Wyglądam na poukładanego gościa.

**JOANNA SZCZEPKOWSKA
O RZĘBIE WAGINY**

Widzę złotego robala zasklepionego w skamieniałym wybrzuszeniu.



W Zefirze nadzieja

Wysokie ceny paliw oraz dążenie do ograniczenia emisji gazów cieplarnianych mogą spowodować wielki powrót... żaglowców. Jaskółką zmian jest kontenerowiec MN Pelican, należący do Compagnie Maritime Nantaise i kursujący między brytyjskim Poole a Bilbao w Kraju Basków. Zainstalowano na nim wyprodukowany przez koncern Michelin nadmuchiwany, chowany żagiel WISAMO o powierzchni 100 m kw. Jeżeli testy potwierdzą jego wydajność, na statku zostanie zainstalowana znacznie większa wersja. Firma przekonuje, że korzystanie z energii wiatru jest w stanie zmniejszyć zużycie paliwa nawet o jedną piątą. Szczerze wierzymy, że nie próbuje nas zrobić w balona!

Goło, lecz niewesoło

Niejaka Gigi Dior, zarabiająca na bezpruderyjnych treściach wideo, została oskarżona przez luksusowy dom mody Dior o zły wpływ na jego wizerunek. – To, jak się nazywam, nie ma nic wspólnego z modą, a to, co robię, zwykle polega na nienoszeniu żadnych ubrań – skomentowała sprzeciw wobec rejestracji swojego pseudonimu artystycznego jako znaku towarowego. 40-lotka podkreśla, że zbudowała osobistą markę i druzgocąca jest myśl, że może będzie musiała zacząć od zera. Gigi, nie daj się gigantowi puścić w samych skarpetkach!

Podczerven prawdę ci powie

W magazynie „International Journal of Intelligent Information and Database Systems” opisano algorytm sztucznej inteligencji, który na podstawie zdjęć twarzy w podczerveniu praktycznie bezbłędnie określa, kto jest pod wpływem alkoholu. Zdaniem autorów rozwiązania, naukowców z Wietnamskiego Uniwersytetu Narodowego w Ho Chi Minhu, można je z łatwością wprowadzić w samochodach, ale także w centrach miast czy na dużych imprezach. Może wreszcie doczekamy się powszechnego przestrzegania zasady: „Piłeś? Nie jedź! Nie piłeś? Wypij!”.

Czuwać musi algorytm

Podczas gdy wietnamska sztuczna inteligencja będzie identyfikować osoby zamierzające jechać na podwójnym gazie, jej izraelska koleżanka pomoże zadbać o bezpieczeństwo na przydomowych basenach. Trwa przedsprzedaż systemu Mylo, stworzonego przez firmę Coral Smart Pool i promocyjnie wycenionego na 999 dol. Dzięki kamerom i czujnikowi ciśnienia stale monitoruje on przestrzeń zarówno nad wodą, jak i pod nią, a w razie potrzeby przesyła odpowiednie powiadomienia na smartfon wyznaczonej osoby – że dziecko bez opieki weszło do basenu, że wykryto ruchy charakterystyczne dla tonięcia lub podejrzany brak ruchu. Co więcej, Mylo włączy domowe sygnały alarmowe, jeśli będzie to konieczne. Gdy algorytmy wyślą ostatniego ratownika na emeryturę, czyją dziewczyną zostanie Monika?

Oszustwo patykiem pisane

Mnożą się przestępstwa dokonywane przez winiarzy. Śledztwo francuskiej policji wykazało, że w prawie 5 mln butelek, które wprowadziła na rynek grupa producentów i sprzedawców ze słynnego regionu Bordeaux, w rzeczywistości było tanie wino z Hiszpanii. Na niektórych butelkach znalazły się oznaczenia prestiżowych bordoskich apelacji, resztę sprzedawano jako wina stołowe, które jednak nadal kosztowały więcej niż ich iberyjskie odpowiedniki. Najciekawsze jest to, że żaden z konsumentów ani handlowców nie zorientował się, że coś jest nie tak. Mimo to winni powinni być ukarani!



Nietypowy pelikan w obiektywie fotografki Alison Jenkins. St. James's Park w Londynie.

Jak sobie pośmiesz, tak (nie) pojedziesz

Władze sycylijskiej gminy Santa Croce Camerina w ramach walki z nielegalnym pozbywaniem się odpadów wprowadziły nowe przepisy, które przewidują za ten występki konfiskatę samochodu. „Kara finansowa jest niewystarczająca, a poza tym często nie można jej od razu wyegzekwować”, napisał samorząd w komunikacie. Nowe regulacje przewidują zapobiegawcze przejęcie auta, z którego wyrzucane są śmieci, a następnie jego definitywny przepadek, jeśli brudas nie zapłaci grzywny w terminie. W ten sposób samochodowym skrytościuchom mówią stanowcze NIE!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytaryzacja: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszkiw, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Bruno Schulz: **Sex-Fiction**

Bruno Schulz jest ofiarą stereotypu interpretacyjnego. Zrobiono z niego fetyszystę i masochistę, a podstawą tej diagnozy są „wyznania” artystyczne – rysunki i cykl grafik „Xięga bałwochwalcza”. Kilkadziesiąt prac Schulza prezentowanych w MOCAK-u oraz towarzysząca wystawie publikacja starają się podważyć taki wizerunek tej niezwyklej indywidualności, ponieważ wydaje się zbyt dużym uproszczeniem.



Naga kobieta i mężczyzna, ok. 1933 r.,
Muzeum Literatury im. Adama
Mickiewicza w Warszawie



Kobieta – panna Kuziw, pies,
mężczyzna – autoportret, przed 1936 r.,
Muzeum Literatury im. Adama
Mickiewicza w Warszawie

Mężczyźni-karły, autoportrety
Brunona Schulza, ok. 1934 r.,
Muzeum Literatury im. Adama
Mickiewicza w Warszawie



Muzeum Sztuki
Współczesnej
w Krakowie
ul. Lipowa 4
do 19 lutego



Cytat wizualny z rysunku
Brunona Schulza



• TEATR CAPITOL •

★ OLŚNIEWAJĄCY ★ SYLWESTER 2022/2023

Przywitaj Nowy Rok z Gwiazdami!

Kiedy kota nie ma...

TEATR CAPITOL Duża Scena

Wystąpią:

Viola Arlak, Jacek Lenartowicz, Cynthia Kaszyńska,
Zbigniew Suszyński, Agata Puterko oraz Marta Bryła

START godz. 17:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- Słodka Fantazja od Cheesecake Corner i kieliszek wina / w przerwie spektaklu

Bilety od 249 zł

START godz. 21:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu magiczna impreza do białego rana!
- DJ, wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 5:00

Bilety od 799 zł

MIŁOŚNICTWO TO MORDERSTWO

TEATR CAPITOL Scena Mniejsza

Wystąpią:

Olaf Lubaszenko, Anna Gornostaj

START godz. 18:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- Słodka Fantazja od Cheesecake Corner i kieliszek wina / w przerwie spektaklu

Bilety od 249 zł

START godz. 21:30

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu magiczna impreza do białego rana!
- DJ, wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 5:00

Bilety od 749 zł

• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

RMF
MAXX

100% Fajności

WIECZOSPOLNA

ams

onet

P

Kobiety

Familie.pl

Partnerzy Teatru

STREFA
MUSICA

Obag.pl

WIECZOSPOLNA

ARTYWA
MARSZA

Teatr Capitol

100% Fajności

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 87dbc341e7



NAJLEPSZY FILM MIKROBUDŻETOWY

47. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH



„KINO ZROBIONE Z POTRZEBY SERCA”

MICHAŁ KACZOŃ, RADIO ZET

„TO KINO, JAKIEGO POTRZEBUJEMY”

MAŁGORZATA CZOP, MOVIEWAY

„TO JEST WŁAŚNIE TEN FILM. OCALAJĄCY I AFIRMATYWNY”

KAMIL KALBARCZYK, EKRANY

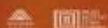
JAN HRYNKIEWICZ PAWEŁ TOMASZEWSKI EWA SKIBIŃSKA



słoń

REŻYSERIA KAMIL KRAWCZYCKI

wykopują JAN HRYNKIEWICZ PAWEŁ TOMASZEWSKI EWA SKIBIŃSKA w pozostałych rolach EWA KOLAJSKA WITOLIN FILIUS MACIEJ KOSIŃSKI MICHAŁ FRĄK scenarzysta EWA MROZOWSKA MARCIN KULIŚ kostiumy JOLITA JÓZEK drukarnia pociąg ZARÉLLA KRZYSZTOF KOSIŃSKI KATARZYNA SZYSZAK MARTA KACHNICKA dźwięk MARIOLA TYRAKOWSKI STANISŁAW NAJNIEC muzyka JAN KINACZY KRÓL KOWSKI montaż KAMIL KRAWCZYCKI AGNIESZKA BIAŁEK ZADOKOWSKA zdjęcia JAKUB SZULIK Honorowność produkcji KRAWCZYCKI PRODUCTIONS produkcja JAKUB MNÓŻ scenariusz i reżyseria KAMIL KRAWCZYCKI produkcja TONARRO RELEASEING film współfinansowany przez Polskę Łódźską Sztuki Filmowej



W KINACH OD 18 LISTOPADA

